7137 IV

SYGNAŁY

NUMER LWOWSKI

TARGI

MIĘDZYNARODOWE WSCHODNIE

1—16 WRZEŚNIA 1934

CENA 1 Zł. LWÓW, 1 WRZESNIA 1934 NR. 10 — 11

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: SYGNAŁY
LWÓW, UL. KRASICKICH 18 a. — P. K. O. 503.400

OPŁATA POCZTOWA
UISZCZONA RYCZAŁTEM

Pijcie Piwo Lwowskie!

GAZETA PORANNA jest najtańszym dziennikiem porannym Małopolski

Tylko 10 gr. Abonament miesięczny 2·80 Zł. Tylko 10 gr.

LÓD z wody bakterjologicznie czystej dostarcza jedynie **MIEJSKA FABRYKA LODU**
LWÓW, UL. NOWA RZEŹNIA L. 24. — — TEL. 23-58.

CHWILA Dziennik dla spraw politycznych, społecznych i kulturalnych. — Specjalne dodatki literacko-naukowe ze szczególnem uwzględnieniem wszystkich najnowszych prądów i ruchów w literaturze, sztuce i teatrze.
Codziennie dwa wydania. — Adres Redakcji: Lwów, ul. Podwale 3. Telefony: 3-22, 87-50, 28-16, 27-68.

Od jakości oleju zależy zadowalająca i niezawodna praca silnika

Dlatego tylko oleje i smary

„POLMIN"

Centrala: Lwów, Akademicka 7.
Rafinerja w Drohobyczu.

Już wszędzie dotarła **BONA** Tabliczka 100 g. — Zł. 0·60
TANIA CZEKOLADA DLA WYBREDNYCH SMAKOSZY
BRANKA S. A. Lwów

SYGNAŁY

należy czytać prenumerować rozpowszechniać

KONTO P. K. O. 503.400

Ogień nie spali
Woda nie zniszczy
Złodziej nie ukradnie
Pieniędzy złożonych

w MIEJSKIEJ KOMUNALNEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI

we LWOWIE, ul. Wałowa 7 i 9 (Gmachy własne).

Oddział I. ul. Gródecka l. 60. Oddział II. ul. Żółkiewska l. 75.

KASA przyjmuje wkłady oszczędności w złotych codziennie od godz. 8—1 przed- i od 5—6$^1/_2$ popołudniu.

Wydaje książeczki wkładkowe **POSAGOWE, WAKACYJNE** i **GWIAZDKOWE** wyżej oprocentowane, aniżeli normalne.

SKARBONKI OSZCZĘDNOŚCIOWE wydaje bezpłatnie za złożeniem wkładki na książeczkę wkładkową Zł. 6·—

SZKOLNYM KASOM OSZCZĘDNOŚCI udziela fachowych porad, oraz wydaje potrzebne druki bezpłatnie.

Otwiera **RACHUNKI BIEŻĄCE,** wydaje książeczki czekowe, oraz załatwia wszelkie czynności wchodzące w zakres bankowości.

MIEJSKI ZAKŁAD ZASTAWNICZY — Oddział M. K. O. udziela kredytu na podkład złota, srebra i kosztowności na dogodne spłaty.

W myśl rozporządzenia p. Prez. Rzplitej o Komunalnych Kasach Oszczędności, wkłady na książeczkach KASY posiadają charakter **FUNDUSZÓW ULOKOWANYCH Z BEZPIECZEŃSTWEM PRAWNEM** (PUPILARNEM).

FUNDUSZE REZERWOWE KASY wynoszą Zł. 5,059.508.59

ZA WKŁADKI I ICH OPROCENTOWANIE, RĘCZY GMINA MIASTA LWOWA CAŁYM SWYM MAJĄTKIEM.

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

cena 1 zł.

REDAKCJA: LWÓW, KRASICKICH 18 a

w sierpniu i wrześniu 1934 roku wydajemy we Lwowie 10-ty i 11-ty numer pisma:

Sygnały — miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •

7137 IV czasop.
7197 IV czasop. Rara 2(1934)

STEFAN KAWYN

PRZESŁANKI KULTURY LWOWA

Nie będzie to chyba poczytane za jakieś regjonalne samochwalstwo, jeśli się powie, że w dorobku ogólnopolskiej kultury, zarówno w jej przeszłości jak też w jej współczesnych przejawach, Lwów ma i zapewne mieć będzie swój zawsze ważny udział, swe twórcze słowo, własny twórczy czyn. Wobec najrozmaitszych zjawisk w rozwoju kultury polskiej Lwów zdobywał się zawsze na postawę oryginalną, świadczącą nietylko o pełni dojrzałości do współtworzenia dóbr duchowych na równi z innemi ogniskami naszej kultury, ale także o tem, że w najgłębszych pokładach struktury kulturalnej Lwowa znajdują się składniki gdzieindziej niepowtarzalne. Wytworzyło je może specjalne położenie geograficzne, ten mianowicie fakt, że Lwów jest miastem kresowem (ileż razy używano tego określenia do różnych pseudopatrjotycznych propagand!), miastem o wielkich i słusznych ambicjach szerzenia ideałów kultury zachodniej na Wschodzie, że ciągle o te ideały musi walczyć, bronić ich, że nie wolno mu ani na chwilę zmniejszyć czujności i oddać się kwietyzmowi i kontemplacyjnym zabawkom estetycznym.

Ukształtował się tu we Lwowie pod wpływem tych warunków specjalny typ psychologiczny człowieka o bohaterskiej postawie wobec życia, człowieka o bujnej, żywej wyobraźni, ale równocześnie o wielkiej precyzji myślenia i poczucia konkretności środków w działaniu. Intelektualnie zdyscyplinowany, zawsze świadomy celu i dróg do niego wiodących, lwowianin reprezentuje swoisty, rzadko w Polsce środkowej spotykany typ romantyka, walczącego po wszystkie czasy o prawo obywatelstwa w życiu polskiem dla najwyższych wartości duchowych, romantyka, który jednak nie pogardza sferą konkretności, z niej właśnie czyniąc bazę dla swych podróży w świat ideału.

Kiedy w okresie pozytywizmu ówczesny Kraków „stańczyków" patetycznie rozdzierał szaty i w bolesnem samobiczowaniu oskarżał przeszłość o winę niewoli, kiedy na tem oskarżeniu budował sobie wcale wygodną koncepcję bytowania w obecności, Lwów, pogardliwie „Tygrysowem" przezwany, trzeźwemi oczyma swych historyków, n. p. Henryka Schmitta widział istotne przyczyny zła gdzieindziej, w przemocy zewnętrznej. Kiedy Paweł Popiel rzucał anatemę na konspirację polską, tenże sam Henryk Schmitt odpowiedział mu godnie, broniąc idei „nieprzerwalności powstania", konspiracji, jako jedynej realnej drogi do wywalczenia niepodległości. Tak więc historjografja lwowska łączyła w sobie ścisłość badania naukowego z bohaterską, śmiałą, bezkompromisową postawą wobec życia. Wierzyła ona w moc irracjonalnych pierwiastków duszy narodu, które skutecznie przeciwstawić się mogą wszelkiej wrogiej przemocy materjalnej. Wierzyła w zwycięstwo ducha ponad siłą fizyczną, ale nie zatracała z oczu konkretnych zadań i potrzeb ówczesnego życia narodowego.

Nie był bowiem Lwów obcy ani hasłom „pracy organicznej", nie lekceważył „pracy u podstaw", ani badawcza dociekliwość, tak znamienna tym czasom, nie była czemś dla Lwowa zewnątrz narzuconem: wynikała bowiem z temperamentu, z wrodzonej ciekawości i z żywej wyobraźni kresowca. Pasja poznania świata, uczestniczenia w twóczości kulturalnej Zachodu wyraziła się w tem, że kapitalne dzieła najznakomitszych przedstawicieli pozytywizmu europejskiego doczekały się przekładów właśnie we Lwowie, n. p. Buckle'a: „Historja cywilizacji Anglji" w przekładzie Zawadzkiego w r. 1864.

Stąd ze Lwowa wyszedł też, na długo przed Warszawą, zdecydowany głos Szajnochy i Dobrzańskiego przeciw estetyzmowi literackiemu, przeciw manierom romantycznym w imię odpowiedzialnej przed sumieniem narodu twórczości literackiej. W wiele lat później, kiedy fantazje filozoficzno-literackie Przybyszewskiego, importowane żywcem z zagranicy, święciły bezgraniczne, zdawałoby się, tryumfy, kiedy t. zw. „Młoda Polska" krakowska tkwiła w indeferentyzmie moralnym, co mogło pociągnąć za sobą również indeferentyzm narodowy, właśnie ze Lwowa rozległ się głos o „dezinfekcję prądów europejskich", o „kwarantannę moralną". Był to głos Stanisława Szczepanowskiego z żądaniem wobec literatury polskiej, by ta zerwała z „pięknościami estetycznemi", sięgnęła do tradycyj „promienistych" Mickiewicza i Zana: wszak „nie szukali Grecy piękna, kiedy gromili Persów i bronili całości swego kraju. Ale dopóki trwał bohaterski nastrój, to niechcący wszystkie płody ich ducha przyoblekały szatę nieśmiertelnej piękności".

Mogła „cyganerja krakowska" nasycać się błyskawicami frazeologji niby filozoficznej Przybyszewskiego, mogła w języku jego pełnym sprzeczności dopatrywać się objawień sztuki, Lwów jednak wytworzył cyganerję typu innego, swoistego. Patronował jej duchowo nie poeta, nie artysta, nie krytyk, ale filozof, założyciel lwowskiej szkoły filozoficznej, profesor Kazimierz Twardowski. Jak śmiesznie brzmią puste słowa „przybyszewszczyzny" o „absolutach", „nagiej duszy" wobec żelaznej logiki dowodzenia, którą odznaczał się mistrz szkoły filozoficznej lwowskiej i jego uczniowie.

Przy stolikach kawiarnianych we Lwowie gromadziła się cała ówczesna elita literacka, bo Staff, Brzozowski, Irzykowski, Womela, Ortwin i wielu innych, którzy dopiero wtedy zdobywali pierwsze święcenia literackie. Ale w rozmowach ich napróżnoby szukać improwizacyj poetyckich, przeciwnie, rozprzestrzeniała się atmosfera seminarjum filozoficznego. Tam właśnie tworzyła się specyficznie lwowska dialektyka literacka, którą tak celuje dziś Irzykowski i Ortwin, dialektyka, oparta na ścisłości pojęć i ich wyrazu, ale właśnie poprzez tę ścisłość i precyzję zdolna dotrzeć do głębi zagadnienia, zbliżyć się do praw sztuki, przeczuwanych gdzieindziej tylko intuicją. Nie obcym składnikiem w kulturze Lwowa jest metafizyka: wszak obronę jej głosi od lat z katedry lwowskiego uniwersytetu profesor Wartenberg. Kult jej przecież nie ogranicza się do sali wykładowej czy bibljotecznej, wyrasta z życia Lwowa, z jego potrzeb specjalnych, z dróg jego pochodu.

I oto zbliżamy się już do konkluzji, które pozwolą nam wykreślić perspektywy twórczości kulturalnej Lwowa. Jest ona z rodzaju tych przejawów życia ducha ludzkiego, które początek swój biorą z irracjonalnych potrzeb duszy człowieka, organicznie związanego z wiecznością, z boskim porządkiem rzeczy. Nie zatraca ona jednak kontaktu z ziemią, z której czerpie soki żywotne i która staje się dla niej terenem realizacji prawd wiecznych, prawd boskich. To są podstawy tej kultury, której Lwów jest w Polsce najwierniejszym wyznawcą i apostołem. Konsekwencje jej w różnych dziedzinach życia praktycznego noszą zawsze odblask owej idei, która głosi zgodę nieba z ziemią, ideału z rzeczywistością konkretną. W polityce wyraża się pragnieniem zachowania niepodległości państwa w jego nienaruszalnej całości historycznej kosztem choćby ofiary krwi i życia. W życiu gospodarczem znajduje wyraz w skrzętnej zapobiegliwości, którą spotkać można chyba w tym stopniu w innem mieście kresowem, w Poznaniu. W nauce odznacza się Lwów śmiałością koncepcyj i świadomością konkretnych dróg dojścia. W literaturze czujnością sumienia pisarskiego i wrodzoną niechęcią do zabawek estetycznych. W życiu towarzyskiem wkońcu — bezpośredniością, radością mądrą i skupioną. Ta radość, która prześwietla nawet szarego człowieka Lwowa, radość naprzekór troskom dnia, rodzi się z tchnienia wyższego porządku rzeczy, powstaje z bohaterskiego porywu wobec życia, z gotowości do czynu.

Te oto pierwiastki tworzą specyficzne przesłanki kultury Lwowa. Gdziekolwiek je znajdziemy w ogólnopolskim dorobku kulturalnym, bądźmy przekonani, że źródłem ich był w większej lub mniejszej mierze — twórczy Lwów.

W rozszerzaniu horyzontów naszych usiłowań nie ustaliśmy. W ciężkich warunkach materjalnych podjęliśmy się wydania numeru Sygnałów, poświęconego twórczości autorów związanych z naszem miastem. (I jeśli mówimy tu „miasto Lwów", to nie chodzi nam o wykres topograficzny, ale o centrum, o ośrodek i ognisko tworzenia i promieniowania kulturalnego i duchowego).

Lwów jest dziwnem, ciekawem i twórczem miastem. Ma własną historję i przeszłość taką, jakiej nie posiada może żadne inne miasto na świecie. Leżąc na przejściu z Zachodu na Wschód, ulegając w ciągu wieków wielu różnym, często sobie przeciwstawnym prądom i ruchom kulturalnym i społeczno- politycznym, potrafił z czasem wytworzyć z nich własną, nie dla każdego może pojętą rozumowo i uczuciowo — twórczą syntezę. Syntezę współżycia i walki, syntezę kultur, religij i narodów. Złożyły się na nią cechy jego nieustannej kresowości — od Wschodu i Zachodu. Gdybyśmy byli tak próżni i zabawni jak Włosi, moglibyśmy wygłosić, że Lwów — to środek całego świata.

Numer „lwowski" naszego pisma jest próbą uchwycenia życia na gorącem. Jest fragmentem tego, co Lwów tworzy dał, daje i dać może jako niezniszczalny wkład do ludzkiej kultury Ludzkiej, a więc nietylko polskiej. Mamy tu również przedstawicieli narodu ukraińskiego i żydowskiego. Jesteśmy im wdzięczni, że tak serdecznie odnieśli się do naszego przedsięwzięcia i dali możność wydana naprawdę lwowskiego numeru.

Naszem pragnieniem i usiłowaniem było zaprosić do współpracy wszystkich uczonych, poetów, krytyków, artystów, publicystów, wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób są z naszem miastem związani. Ale było to fizyczną niemożliwością. Nasze środki są za skromne. Z konieczności więc nasz wybór musiał być subjektywny.

Żałujemy tylko bardzo, że nie wszyscy, do których zwróciliśmy się, mogli wziąć udział i że niektórzy z takich lub innych względów współpracy odmówili lub też na nasze zaproszenie nie odpowiedzieli.

Tym zaś, których nazwiska znajdują się w tym numerze, serdecznie dziękujemy za życzliwą i zupełnie bezinteresowną współpracę oraz za to, że z taką przyjaźnią i zaufaniem odnieśli się do naszego wydawnictwa.

Dziękujemy również tym firmom, które chociaż rozumiały, że nie przedstawiamy narazie wielkiej atrakcji reklamowej, jednak przez udzielenie ogłoszeń umożliwiły pokrycie kosztów wydawnictwa i w ten sposób dopomogły w naszej pracy społeczno-kulturalnej.

SYGNAŁY

Bibl. Jagiell.
2000 CD 104/43

LEOPOLD STAFF

NOC KSIĘŻYCOWA

Księżyc, dwuskrzydły gołąb nocy,
Pośród chmur śpieszy nieba,
Niesie nowinę, dobrą nowinę,
Której tak sercu trzeba:

Że to Wielkanoc wreszcie, że prawdą
Niepodobieństwo się stało:
Zmartwychpowstanie! I świat cały
To jedno Boże Ciało!

Że miłość idzie, nienarażona
Na drwiny i natrząsy
I trzeźwy dzień ją bóstwem uzna...
Ot — nonsens czarujący...

Lecz taka jest ma prawda nocna,
Natchniony płód rojenia,
I którą mi uroczy księżyc
Podaje do wierzenia.

JÓZEF WITTLIN

EPITAPHIUM ARYSTYDESA BRIANDA

W staromodnym, sztywnym kołnierzu
W nieprasowanych spodniach
W meloniku na grzywie lwa
Z Marylandem, przylepionym do wargi —
Jak bretoński rybak poszedłeś na dno
Bez słowa skargi.

Czemu, stary kocie, mrużyłeś chytre oczy?
Nie chciałeś widzieć szczurów, co już wypadły na żer?
Nie chciałeś widzieć prawdy, nie chciałeś widzieć zła?
Jak gallijski kogut zapiałeś przed śmiercią:
„Tant je suis là —
Il n'aura pas
La guere!"

Straszliwe, straszliwe brzemię
Na starcze włożyłeś barki,
Ty, co ufałeś Europie,
Bez chwały gryziesz dziś ziemię:
Nie Twój był sztandar zwycięski.

Lecz kiedyś dzień ów nadejdzie —
Gdy Francja Twe kości odkopie,
Szeroko otworzy Panteon dla tych, co ponieśli klęski.

BEATA OBERTYŃSKA

MELON

Na jedną chwilę, po zgonie,
myśl, zanim wyparuje
i w Niewiadomem utonie,
przekona się wreszcie zbliska,
że ziemia jest kulista.
O globu melon złoty
otrze się bokiem twarzy
i zdąży zauważyć,
nim zgaśnie,
że świat, — jak melon właśnie
pokryty szarą siatką, —
jest rzeczą szorstką, nie gładką,
nie modrą, nie zieloną
lecz popielatą ze złotem...
A potem,
chcąc i nie chcąc,
zobaczy mimochodem,
jak świat ni sycząc, ni szeleszcząc,
przez pustki cisze mrożone,
toczy się złotym melonem
po szafirowej grzędzie...
A potem,
coś jeszcze zechce pomyśleć napewne,
ale jej już nie będzie...

KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI

Krótki djalog o odnowieniu kultury

Piotr: Nie mogę się zgodzić na żadną formę waszego samozakłamania. Pojęcie kultury jest pojęciem czegoś, co bezwarunkowo trzeba zachowywać, chronić, co istnieje tylko przez ciągłość. W samem tem pojęciu tkwi zachowawczość. O nowej kulturze, o kulturze rewolucyjnej nie może być mowy, bo są to określenia w założeniu sprzeczne. Wszelkie rewolucje kulturalne, każdy „Sturm und Drang" w dziejach kultury przynosi zawsze jeden i ten sam rezultat: utrzymanie dotychczasowej kultury, wzbogaconej przez cały szereg indywidualnych wartości, dorzuconych przez nowe talenty. Ale wnoszenie ich nie zmienia założeń kultury. Kultura bowiem, jak przyroda, w swem niezmierzonem bogactwie i w swych nieograniczonych możliwościach jest zawsze jedna i ta sama.

Paweł: To jest znana metoda. Stosuje ją zawsze kontrrewolucja burżuazyjna przeciwko rewolucyjnemu społeczeństwu proletarjackiemu. Wszak ekonomiści również twierdzą, że możliwa jest tylko jedna ekonomja: ta, którą stworzono na użytek liberalnego mieszczaństwa. Okryjmy jeszcze te zasady płaszczykiem religji, ustalającej niezmienne prawidła stosunku człowieka do t. zw. Boga, wyłączającej wszelki rozwój dziejowy, wszelkie przetwarzanie się ludzkości, a otrzymamy zwykłą reakcyjność. Materjalizm dziejowy poucza nas, że wartości kulturalne stanowią tylko rozbudowę stosunków społeczno-gospodarczych, wynikających z podstawowego faktu produkcji. A ponieważ te stosunki podlegają rewolucyjnym zmianom, przeto możliwe są także i rewolucje kulturalne.

Piotr: Rozmowa z tobą jest trudna. Oczywiście jednak, acz przypadkowo, masz rację, zestawiając nasz pewnik o niezmienności kultury z pewnikiem o niezmienności prawideł, na jakich opiera się stosunek między człowiekiem a Bogiem. Bez względu na twe określenia, któremi chcesz mnie dotknąć, pójdę jeszcze dalej i stwierdzę, że właśnie w założeniu twórczości kulturalnej tkwi zawsze akt religijny: dążenie człowieka ku Bogu. Nie jest to przypadkiem, że wszystkie kultury wyrastały na podłożu religijnem. I w Sowietach na dnie twórczości kulturalnej tai się pod maską urzędowego ateizmu dążenie religijne. Napróżno twoi tamtejsi przyjaciele z kasty rządzącej starają się wstydliwie je ukryć w fałdach swej marksowskiej frazeologji. „Kolektyw", „socjalistyczna republika", „proletarjat", „ludzkość" są tylko pseudonimami tego „t. zw. Boga", którego ludzkość potrzebuje i od którego nie może odpaść, cokolwiek sądzą jego „osobiści nieprzyjaciele", jakich zresztą wydaje każda epoka rewolucyjna.

Paweł: Religja służyła zawsze i służy jeszcze — i to każda — tylko do ujarzmienia mas. Ukazuje się im jakieś „królestwo nie z tego świata", jakiś raj, aby nie szemrały i aby spokojnie znosiły swój los na tym realnym świecie. Stąd też kultura oparta na religji jest kulturą niewolniczą. Tylko my, marksiści, możemy stworzyć kulturę ludzi wolnych, usuwając ucisk klasowy, stwarzając bezklasowe społeczeństwo. Kultura proletarjacka, jaka w takiem społeczeństwie rozkwita, jest całkowicie nowa i niepodobna do kultur, które wyrastały na gruncie ucisku klas pracujących.

Piotr: I to także jest samozakłamanie. Wszystko, co w tej nowej kulturze jest wartościowe, jest takie same, jak w tamtych burżuazyjnych. I to tylko się ostoi, w próbie czasu, jakiej musi się poddać kultura sowiecka, jak każda inna. Reszta stanowi tylko bagaż różnych ekstrawagancyj, z których sobie żartował sam Lenin i z których nie zostanie ani śladu.

Paweł: Musnelibyśmy jeszcze sprecyzować, co nazywasz „ekstrawagancjami", a co uważasz za „wartościowe". Sądzę, że i w tem nie doszlibyśmy do zgody. Pozatem jeszcze trzeba pamiętać, że i w Sowietach okres obecny, jest to okres przejściowy. Przejściowem jest bowiem całe nasze pokolenie. Nowa kultura będzie się mogła przeciwstawić starej dopiero po całkowitem zakończeniu powszechnej rewolucji, w jakiej żyjemy. Ale właśnie ta przejściowość naszego pokolenia sprawia, że trzeba wyznaczyć ostre linje demarkacyjne między starą i nową kulturą, między burżuazją a proletarjatem, między rewolucją a reakcją. Odrzucamy wszelkie zacieranie przeciwieństw, wszelkie szukanie pośrednich stanowisk. I dlatego cieszę się, że sam bez ogródek określiłeś się jako wróg rewolucji proletarjackiej.

Piotr: Nie jestem wrogiem żadnej rewolucji. Nie zajmuję się polityką. Odrzucam możność jakiejkolwiek rewolucji kulturalnej.

Paweł: Więc jesteś wrogiem rewolucji proletarjackiej na odcinku swoich zainteresowań. Jesteś specem kontrrewolucji w dziedzinie teorji kultury.

Piotr: A ty jesteś zwykłym agitatorem bez żadnej kultury (obaj wstają).

Jan: Taka dyskusja do niczego prowadzi! Każdy z was ma swoją rację. Ale tylko „swoją". I dlatego nie może to być racja zupełnie doskonała. Spróbujmy jednak...

Piotr: Nie można równocześnie przyznać racji mnie i Pawłowi. To jest relatywizm, który właśnie do niczego nie prowadzi. W tem bowiem jedynie jesteśmy zgodni, ja i Paweł, że obaj odrzucamy sformułowanie relatywistyczne.

Paweł: Szukasz trzeciego stanowiska, „trzeciej strony barykady". Co do mnie, to już powiedziałem, co o tem myślę. Jesteś sojusznikiem Piotra. Stosujesz tylko inną taktykę dla obrony tych samych pozycyj po stronie burżuazyjnej kontrrewolucji.

Jan: Przyzwyczajony jestem do tego, że mnie nazywają to komunistą, to znowu reakcyjnym faszystą. Nie dbam o te określenia. Ale dla wyjaśnienia sytuacji muszę stwierdzić, że stosunek do akcji proletarjackiej jest pozytywny (nie do Trzeciej Międzynarodówki, która na takie stanowisko wcale nie ma monopolu... nie rozkładaj rąk Pawle). Muszę też stwierdzić, że wynikiem rewolucji ustrojowej musi być odnowienie kultury, którego zapowiedzi sięgają zresztą wstecz wgłąb XIX wieku. Jestem głęboko przekonany, że warunkiem takiego odnowienia, czy powiedzmy — odrodzenia jest ustanowienie bezklasowego społeczeństwa swobodnych, ale zorganizowanych wytwórców. Ale ten fakt, który bezwątpienia musi stanowić końcowy rezultat wielkiego przewrotu, w jaki wstąpił świat, zmieni tak dalece założenie kultury, że nie możemy nawet w myśli ogarnąć rozmiarów owej zmiany.

Piotr bardzo ładnie powiedział, że kultura, jak przyroda, jest niezmienna w niezmierzonem bogactwie swych możliwości. Ale właśnie takie stanowisko moze nas wszystkich pogodzić. Możemy zgodzić się na niezmienną tożsamość przyrody, ale przecież musimy pamiętać, że w ciągu miljonów lat podlegała ona przeobrażeniom olbrzymim. I kultura i przyroda, to życie, którego cechą jest właśnie nieograniczona zmienność w niezmiennej wieczystości. Wyzwolenie proletarjatu stworzy nietylko nowe założenia twórczości kultury, ale i nowe ogromne możliwości dalszego rozwoju kultury. A jeśli kto się boi ciasności stanowiska proletarjackiego, to tylko dlatego, że pewna szkoła rewolucyjna rozmyślnie je zwęża. Nie oddaje zresztą przez to dobrej usługi sprawie rewolucji.

Rozmawialiście tutaj o religji. Paweł powiedział nawet, że religja służyła zawsze do ujarzmienia mas. Być może nawet miał słuszność. Ale czy z tego wynika, że wyzwolenie mas kładzie kres istnieniu religji? Czy kościoły w społeczeństwie proletarjackiem przestaną istnieć? Śmiem wątpić. Wydaje mi się natomiast, że doprowadzenie do końca rewolucji proletarjackiej umożliwi dopiero religję, jako kroczenie człowieka ku Bogu, religję, która przestanie nareszcie służyć celom tego świata, przestanie być atutem w sprawie ujarzmiania mas. Odwracam bowiem twierdzenie Piotra i w religji widzę poprostu kulturę. I jedna i druga służy do przezwyciężania cierpienia (powołuję się tutaj na głębokie ujęcie Sorela w studjum pt. „Ludzkość przeciwko cierpieniu" — L'humanité contre la douleur). Walka z cierpieniem — to sprawa ludzkości, która będzie zawsze aktualna, a będzie — przyznajmy to — niezmiernie ułatwiona w ustroju, do którego zmierza rewolucja proletarjacka.

Piotr: Twoje ujęcia trafiają mi do przekonania.

Paweł: Piotr zmienia taktykę i uznaje, że taktyka kontrrewolucyjna stosowana przez Jana jest skuteczniejsza...

ARTUR RIMBAUD

CO WSTRZYMUJE NINĘ?

ON:

Pierś twoja przy mojej piersi,
Pójdziem w uścisku,
W oddechu powietrzem szersi,
W świeżym rozbłysku

Ranka, gdy błękit nas w winie
Dnia jasnem pławi...
Las niemy, z miłości ginie
I drżący krwawi

Kroplami zieli z gałązek,
Jaśń w pąk ujàwszy,
I czuć w otwarciach zawiązek
Drgających miąższy.

Zaś ty peniuar w lucernie
Długi ubroczysz,
Boska, gdy błękit zaczerni
Obręczą oczy.

W sielskości rozmiłowana,
Siejąca wszędzie
Śmiech, co jak piany szampana
Musować będzie

Ku mnie, gdy w szale ochoty
Brutalnie skryję
W dłoń — ot tak — piękne twe sploty
I gdy wypiję

Twój smak: maliny, poziomki,
— O ciała kwicie! —
Ku wiatrom, co idąc z łąki
Całują skrycie,

Ku różom głogów, co trocha
Kłują kolanka,
Śmiejąc się zwłaszcza, płocha,
Do ust kochanka.

Lat siedmnaście! Szczęśliwa!
O wielkie niże!
Wieś cała miłością żywa!
Pójdź do mnie bliżej...

Pierś twoja przy mojej piersi,
Głosem zmieszani,
W wąwóz zejdziemy weselsi,
W lasy bez granic.

A potem nieżywa prawie,
Z omdlałym krokiem,
Bym niósł cię, powiesz łaskawie,
Z przymkniętem okiem.

A ja cię będę niósł w dreszczach,
Na mchów ścieżynie,
Gdy ptak andante wypieszcza
Tkliwe w leszczynie.

Mówić ci będę wprost w usta,
Idąc otulał
Ciało, jak dziecię, co w chustach
Kładzie matula.

Pjany krwią, co w lic róże
Błękitem wnika,
Przy dobrze znanym ci wtórze
Bez słów języka.

Lasy zapachną sokami,
Słoneczna psota
Rzuci w sen mroczny garściami
Sypkiego złota.

Wieczorem? wrócimy drogą
Białą do sioła,
Jak trzody, noga za nogą,
Błądząc dokoła.

Sad dobry, trawy w nim tyle,
Krzywe jabłonie,
Tak się rozniosą na mile
Ich silne wonie.

Gdy wrócim do wsi, na calem
Niebie mrok siędzie,
I będzie wieczór nabiałem
Pachniało wszędzie.

Czuć będzie pełną oborą
I ciepłem łajnem,
Gdzie rytmy oddechów wzbiorą
Ciał jednostajnem

Lśnieniem, gdy blask je wybieli,
Krowa na boku,
Dostojnie gnoju tarcz ścieli
Na każdym kroku.

Tam w okularach jest krzywa
Babcia, nos zgięty
W mszalniku i kufel piwa
W ołów ujęty

Pieniący się, gdzie cybuchy
W krąg zawadjacko
Ćmą dym, gdy grubych warg ruchy
Wstrętnie je mlaszczą.

Szynkę z widelców pochłania
Łyk, łyk, za łykiem,
Ogień oświeca posłania,
Igra z łyżnikiem.

Pośladki lśniące i tłuste:
Niemowlę piszcze
Z kolan, w garnuszki pcha puste
Swój biały pyszczek.

Muska je mordka w pieszczocie,
Mruczy cichutko,
Oślinia drogiej istocie
Buzię calutką.

Na zydlu czarna urąga
Wiedźma straszliwa,
I przy kominku wyciąga
Nitki z przędziwa.

Czego nie ujrzym! jedyna,
W wieśniaczej norze,
Gdy płomień rzucać zaczyna
Na tafle zorze.

A później, świeża, spowita
W wonne bzy strzecha,
Jak gniazdko, szyba ukryta
Tam się uśmiecha...

Ty przyjdziesz, będziemy: kocha!
Szeptali wtórem!
Ty przyjdziesz, przyjdziesz? — tak... trocha...

ONA:

Ale co z biurem?

15-go sierpnia 1870.

Tłumaczyła Anna-Ludwika Czerny.

JAN KASPROWICZ

JESZCZE JEDNA PIEŚŃ*)

Jeszcze dziś jedną poświęcam pieśń tobie,
W której się życia mojego rdzeń mieści**)
Ty, co na własnym spoczywając grobie,
Stroisz się w łachman przedawnionej cześci,
I potrząsając krwawemi ogniwy,
W które cię dłonie przeznaczeń zawarły,
Nie na świat patrzysz, co dzisiaj jest żywy,
Lecz na umarły.

. . . .

Ty męczennicą jesteś Chrystusową, —
Bo tak Cię zowią rozmarzeni chwalce —
A porzuciłaś świętą skrę zniczową,
Którą przystało rozniecać westalce;
Ty się opierzasz białością niebianów,
A zapominasz, że pod pióry temi,
Wiszą ci strzępy skalanych łachmanów
Grzechy dawnemi!
O Polsko! Polsko! nie przeklinaj syna,
Że cię takiemi obarcza wyrzuty,
Że ci twą nicość dzisiaj przypomina
I gardzi wątkiem przedawnionej nuty.
On Spartakowej dziś myśli dziedzicem,
Więc miecz Spartaka chce ci w ręce wcisnąć,
Ażebyś mogła ze zwycięskiem licem
Katom zablysnąć.
O Polsko! Polsko! nie zawsze rozczulać
Będziesz te tłuszcze swych cierpień rozjękiem,
O, i nie zawsze swe piersi przytulać
Do płyt grobowych z jakimś dziwnym lękiem;
Lecz dawnych grzechów przywiódłszy zagładę
Potężnym czynem, nie płonnemi łzami,
Na uroczystą zmartwychwstań biesiadę
Pójdziesz z ludami.

———————

*) Nieznany wiersz Kasprowicza, przeznaczony do „Przeglądu Społecznego", wychodzącego we Lwowie pod redakcją Bolesława Wysłoucha. Wiersz nie ukazał się z powodu zawieszenia wydawnictwa (r. 1887).

**) Przepięknym komentarzem do tego wyznania wiary są ówczesne słowa Kasprowicza, omawiające w „Przeglądzie Społecznym" stosunki zaboru pruskiego. Oto urywek artykułu „Z Poznańskiego":

„Czy wiecznie będziemy poddańczuchami"? Słów tych słyszanych z ust prostego i stosunkowo wcale niewykształconego chłopa, nie zapomnę przenigdy. Dziś jestem młody, i dopóki młodość będzie we mnie, wyrazy te, pełne bolesnej poezji, pełne głębokiej żądzy czynu, pełne skutecznej nadziei, pozostaną najpotężniejszym składnikiem krwi mojej; gdy będę stary, gdy atomy krwi, posłuszne swemu przeznaczeniu zaczną krążyć powoli, ten składnik będzie jeszcze rozczerwieniał moją starość bladą i ostatni zamrze w mych żyłach; gdy umrę, jeszcze trawa będzie mi szeleścić na opuszczonym i samotnym grobie moim te chłopskie słowa: czy wiecznie będziemy poddańczuchami? Będzie mi szeleścić tak długo, dopóki przedemną, którego słodki, dziwny szelest ten do wieczystego ukołysał spokoju, nie stanie ów chłop, przemieniony w olbrzymiego ducha ludu i nie powie mi: „już nie jesteśmy". O, wtenczas podniosę się cały; martwe oczy zapłoną życia ognistym promieniem; na wybladłe lice wystąpi rumieniec rozkoszy; piersi rozszerzy świeży oddech swobody, serce zabije tak potężnie jak biło za lat młodych, a usta nie wyszepcą ale złota wydźwięczą metalem: Byłem twój nietylko z krwi ale i z ducha; byłem twój z twego cierpienia i z walki twojej, niech będę twym i z twego zwycięstwa, i z twego szczęścia!...

— Darujcie, bardzo proszę, że ośmieliłem się przed wami wyrzucić cząstkę serca, podepcie ją, jeśli chcecie; a jeśli nie, to ją podnieście i — zróbcie resztą co się wam podoba".

JAN PARANDOWSKI

FRAGMENT

Adam po raz pierwszy szedł o tej porze przez miasto. Było tak cudne jak nigdy. Jakby wróciła wiosna, w powietrzu było lekkie ciepło z odrobiną wilgoci. Słońce świeciło po dachach, po oknach, zasłoniętych storami, uśpionych. Puste ulice oddawały każdy głos: czyjeś dalekie kroki, turkot wozu którego się nie widziało, dzwon zegara.

— Bernardyn bije — rzekł ojciec, i spojrzał na zegarek, aby sprawdzić tę odwieczną różnicę paru minut między kościołem a ratuszem.

Świat, niezakłócony jeszcze życiem, był jakby przeźroczysty. Ulice były niewypowiedzianie jasne, place dziwnie przestronne, droga do domu, w rzeczywistości pełna zakrętów, zdawała się biec w linjach równoległych i nieskończonych.

Ludzie, którzy się pojawiali bardzo rzadko, mieli w sobie coś odświętnego: — konduktor tramwajowy z torbą na brzuchu, śmietanczarka z koszem owiniętym w płótno na plecach, policjant z mosiężnym półksiężycem pod szyją, stróż przy bramie wsparty na miotle i sennie zapatrzony w zasunięte rolety sklepów wyglądali nieprawdziwie i powabnie, jak postaci z powiastki, gotowe każdej chwili bawić, rozrzewniać i wzruszać.

Adam domyślił się, że jest to pora Dobrego Franusia, ta niewyraźna dłań dotychczas godzina na przełomie nocy i dnia, kiedy Franuś nie usłuchał pokusy i kiedy Złemu Kostusiowi szeptał przez zamknięte drzwi parku: „Nie byłbym wart oglądać słońca, gdybym to zrobił co mi radzisz..."

W tej chwili ogród Jezuicki ogarnął go nakształt bajki.

Szło się pod promiennemi koronami drzew, o liściach świeżych i błyszczących, wśród świergotu ptaków, i wszystko było przejmująco nowe. W rondzie, przy okrągłej altanie, na paru ławkach spali jacyś ludzie, z głową na ramieniu. Adam wziął ich za cząstkę tego rozkosznego świata, jakby to byli wędrowcy korzystający z opieki lasu albo zuchwali chłopcy, którzy porzucili swe łóżka i obrali sobie za sypialnię ten zielony i błękitny gmach Boży.

Dwaj byli rzeczywiście młodzi, ale trzeci napełnił Adama głęboką nieufnością. Leżał na wznak, kapelusz zesunął mu się z głowy, odsłaniając siwe włosy, a jedna ręka była wyciągnięta w górę, dziwnie skrzepła i sztywna, z dwoma palcami podniesionemi jak do przysięgi. Adam myślał, że człowiek ten uczynił ruch i że chce przemówić. Ale, odwróciwszy się jeszcze parę razy, spostrzegł, że ów nie zmienił położenia, tylko jego pierś podnosiła się głębokim oddechem snu.

Babka już wstała gdy wrócili do domu i modliła się chodząc po ganku. W kuchni skrzypiał młynek od kawy. Adam wbiegł do swego pokoju i otworzył okno, wychodzące na podwórze.

Widok zasłaniał mur sąsiedniej kamienicy, nagi i szorstki, z kwadratową szparą wielkości dłoni, gdzie gnieździły się wróble. Wyżej widać było kawałek dachu z gołębnikiem i komin. Z komina wywinęła się cienka smuga dymu i szła prosto wgórę jak z ofiary Abla i na swej drodze spotykała promień słońca, który ją ozłacał. Z gołębnika wyleciał szary ptak o tęczowej szyi i rozbijał skrzydłami pył słoneczny. Ale jeszcze wyżej Adam widział ławkę z ogrodu Jezuickiego, z człowiekiem leżącym na wznak, z siwą głową wspartą na ramieniu, z dwoma palcami wzniesionemi do góry, jak do przysięgi...

WŁADYSŁAW KOZICKI

O pewnej pozornej dysharmonji

Pragnę zwrócić uwagę na rzecz, która nie została dotychczas, o ile mi wiadomo, podkreślona, mianowicie na zasadniczą napozór sprzeczność, zaznaczającą się wyraźnie pomiędzy tendencjami dwóch wielkich dziedzin współczesnej twórczości duchowej: pomiędzy nową literaturą a nową sztuką.

W literaturze nastąpił na całym froncie zdecydowany powrót do skrajnego naturalizmu. Wszystko, co się w ostatnich czasach pojawiło wybitnego, co interesuje i roznamiętnia opinję, stając się przedmiotem licznych roztrząsań, dyskusyj i polemik, nosi wybitne piętno tego kierunku. Naturalistyczne były wszystkie powieści wojenne od Barbusse'a i Remarka po Dos Passosa, ultranaturalistyczny charakter mają tak głośne utwory jak „Ulisses" Joyce'a i „Podróż do kresu nocy" Céline'a. Nawet jeśli autorowie przedstawiają sny, wizje i rozmaite objawy podświadomości, do czego modny panseksualizm Freuda szeroko otwiera wrota, forma pozostaje zawsze naturalistyczną, przyczem koprolalja i pornografja, również w najwyższym stopniu modne, święcą swoje cyniczne tryumfy. Jeśli nie do kierunku egzageracyjnie naturalistycznego, to w każdym razie do objektywnie realistycznego zaliczyć musi się także wszystkie tak liczne i ulubione powieści rodowe od „Boodenbroocków" Tomasza Manna, poprzez „Forsytów" Galsworthy'ego i „Krystynę" Sygrydy Undset aż do „Nocy i dni" naszej Marji Dąbrowskiej. Oczywiście objawem tej samej tendencji są także wielce obecnie rozpowszechnione biografje powieściowe i wszelkie reportaże. Bardzo znamienne jest pod tym względem, że Sergjusz Tretiakow w przedmowie do „Den-Szi-Chuana" odżegnał się pryncypjalnie od wszelkich powieści o akcji fikcyjnej, a za wartościowe uznał tylko wierne relacje o życiu rzeczywistych ludzi. Wreszcie intensywne zainteresowanie się współczesności dolą „szarego" człowieka i całych szarych zbiorowisk ludzkich, charakteryzuje dobitnie namiętną dążność naszej epoki literackiej do bezwzględnej prawdy, do objektywizmu, słowem do fotografowania naturalnej rzeczywistości.

To samo w teatrze: karmi się tam nas w 90-ciu procentach nawskroś naturalistycznemi reportażami i faktomontażami (— których „prawdziwość" i sensacyjność pozostają z reguły w odwrotnym stosunku do ich wartości), a pozatem komedjami i dramatami psychologicznemi, które również nie wykraczają poza treść i formę naturalistyczną.

Trochę inaczej ma się rzecz z poezją. Anarchizm, fragmentaryczność i wielokierunkowość liryzmu nie pozwala na podciągnięcie jej pod wspólną rubrykę naturalizmu. Ale i tu zajęcie się „pięknem codzienności" odgrywa wielką rolę (od tego przecież zaczęli swą rewolucję poetycką Skamandryci), a w każdym razie przeważa ogromnie tradycjonalizm, mający za podłoże w mniejszym lub większym stopniu prawdę naturalną, natomiast wszelkiego rodzaju ekscentryzm pojawia się zwyczajnie tylko u poetów początkujących.

O czemś wręcz przeciwnem mówi sztuka dni naszych, przyczem oczywiście mam na myśli tylko sztukę nową tę, która w stosunku do wieku XIX-go jest rzeczywiście nową i chce być nową, idącą w przyszłość i mającą ambicję, aby stać się sztuką panującą. Tutaj na całym froncie widzimy namiętny odwrót od naturalizmu, negację natury, paniczną ucieczkę od empirycznej rzeczywistości a nawet od tematów, wziętych ze świata fizycznej widzialności. Tę zasadniczą wspólną cechę posiada zarówno francuski kubizm jak włoski futuryzm, niemiecki ekspresjonizm i polski formizm, zgodni są co do tego Picasso i Bracque, Severini i Prampolini, Kokoschka i Kandinsky, Pronaszko i Witkiewicz, tendencję tę objawia zarówno klasycznie zabarwiony konstruktywizm jak romantyczny raczej surrealizm, a w najczystszej formie wykazuje ją sztuka abstrakcyjna, z unizmem jako swą może najbardziej bezkompromisową odmianą na czele.

A więc istnieje pomiędzy nową sztuką a nową literaturą stanowczy rozbrat, gwałtowna antynomja, rażąca dysharmonja.

Przez czas bardzo krótki tylko nowa sztuka miała swój odpowiednik w literaturze: marinettizm, appollinaire'yzm, dadaizm, ekspresjonistyczny dramat niemiecki i nasz ekscentryzm Jerzego Hulewicza i „Zdroju", Peipera i „Zwrotnicy", którego kontynuacją jest jeszcze poniekąd Czuchnowski i kilku innych poetów, zadziwiających siebie samych własną dziwnością. Wszystko to albo przemknęło przez świat bytu jako te łątki-jednodniówki, albo przewija się jako malutkie strumyczki wśród olbrzymich jezior, wypełnionych zawartością naturalistyczną.

Zachodzi pytanie, co wyraża właściwe oblicze ducha naszej epoki? Naturalistyczna literatura czy antinaturalistyczna sztuka? A może ten duch jest czemś tak chaotycznem i bezkształtnem, że wogóle nie ma oblicza? I to być może. Ale mi się nie zdaje. Skłonny jestem raczej przypuścić, że jedno z dwojga ma charakter epigoniczny: albo nowa sztuka albo nowa literatura. Ale literatura jest na to zbyt bujna, młoda i zaufana w swe siły, zbyt porusza i elektryzuje masy, za dużo ma w sobie witalizmu i dynamiki, za dużo pierwiastków rozwojowych. A więc pozostawałaby odpowiedź, że... Ale nie lubię być prorokiem, a temmniej fałszywym. Więc wolę milczeć.

A przecież dawniej bywało zgoła inaczej. Prądy, przenikające pewną epokę i stanowiące naczelne jej znamiona, wyrażały się równocześnie tak samo w nauce i literaturze jak w sztuce i muzyce, wogóle w całej twórczości duchowej tej epoki. Oczywiście w wielkim skrócie i w sumarycznem przybliżeniu. Bo szczegółowe zbadanie tych spraw pouczyłoby nas, że w idealistycznem i teocentrycznem średniowieczu było dużo naturalizmu, a w naturalizmie XV i XIX wieku dużo mistycyzmu, że w klasycyzmie tkwiło sporo romantyki, a w romantyzmie wiele pierwiastków klasycznych itd. Naogół jednak obraz każdej epoki dziejowej przedstawia się jednoznacznie i harmonijnie.

Spirytualizm średniowiecza wyraża się równie dobrze w katedrach gotyckich jak w ówczesnej literaturze, której najpotężniejszym pomnikiem pozostanie nazawsze dantejska „Boska Komedja". Konstytutywne cechy wczesnego i dojrzałego renesansu odnajdziemy w twórczości Petrarki i Boccaccia, Wawrzyńca Wspaniałego i Angela Poliziana, Macchiavella i Bemba, Inghirami'ego i Bandella, Bojarda, Ariosta i Tassa. Romantyczny barok północny ma swoją literacką analogję w Szekspirze, jak klasyczny, pompatyczny i dworski barok francuski w Corneill'u, Racinie i Moljerze, a antiklasyczny i katolicki barok hiszpański w twórczości Calderona i Cervantesa. Berniniemu odpowiada Marini, literaturze rokokowej Watteau, Boucher i Fragonard, rzymskiemu republikanizmowi i wolnościowemu patosowi wielkiej rewolucji David, romantykom XIX w. Gericault i Delacroix, a klasykom Ingres. Wreszcie z sztuką Courbet'a i impresjonistów harmonizuje doskonale Zola i inni naturaliści. A gdy z końcem ubiegłego wieku zapanował w literaturze neo-romantyzm Maeterlincka, d'Annunzia, Hauptmanna i do pewnego stopnia Ibsena, odpowiednikiem jego w sztuce był secesjonizm i symbolizm Klimtów, Hodlerów, Ropsów, Khnoppf'ów.

Czyżby dopiero w naszej epoce ta łączność miała się urwać? Czyżbyśmy my dopiero mieli być świadkami tego wyjątkowego w dziejach kultury zjawiska, że sztuka poszła do Sasa, a literatura do lasa? A może reprezentatywną sztuką naszej epoki nie jest sztuka rewolucyjna, przeciwstawiająca się wrogo wszelkiemu passeizmowi, ale ta sztuka, która jest wprawdzie współczesną, ale nie zrywa z tradycją? W takim razie zaznaczona przez nas dysharmonja zamieniłaby się w harmonję, bo sztuką większości są dziś rozmaite odmiany i przemiany post-impresjonizmu, a więc w gruncie rzeczy naturalizm, zagarniający równocześnie pod swe władanie literaturę. Jest nim w sztuce nawet ostentacyjnie neo-naturalizm i realizm magiczny czyli post-ekspresjonizm, a kierunki neo-klasyczne, choć nie są naturalizmem, nie zrywają z naturą, lecz w niej mają swój punkt wyjścia.

Lecz przeciw takiemu rozwiązaniu kwestji wieluby zaprotestowało. Głosi się przecież często, że naturalizm bezpowrotnie się skończył i że naturalistyczna, a przynajmniej tradycjonalistyczna sztuka większości jest właśnie skazanym na zagładę epigonizmem. Z tem łączy się zarazem twierdzenie, że sztuka antinaturalistyczna jest ciągle jeszcze sztuką nową, że nie wypowiedziała swego ostatniego słowa, że ciągle jeszcze walczy o swoje miejsce pod słońcem. W takim razie jednak ten proces dojrzewania trwałby stanowczo za długo, bo już prawie pełnych lat trzydzieści. W tym czasie impresjonizm zdołał zakiełkować, rozkwitnąć, owładnąć całą Europą i odkwitnąć. Zresztą nowa sztuka zdziałała już zbyt wiele, aby ją można posądzić o to, że znajduje się wciąż jeszcze w okresie ząbkowania. Stworzyła rzecz epokową, bo pierwszy od wieków naprawdę nowy i wartościowy styl w architekturze. I rzecz równie cenną: nowy styl w sztuce stosowanej i w dekoracji teatralnej. A w malarstwie i rzeźbie, jakkolwiek nie ogarnęła całej sztuki, to jednak w panującą sztukę passeistyczną wszczepiła całe mnóstwo pierwiastków kubistycznych, futurystycznych, ekspresjonistycznych i t. d.

I w tem zdaje się leżeć sedno sprawy. Po odrzuceniu skrajności okaże się, że kierunkiem reprezentatywnym naszej epoki jest i w literaturze i w sztuce naturalizm, ale tak zmieniony przez wchłonięte elementy antinaturalistyczne, że jest zupełnie niepodobny do wszelkich naturalizmów dawniejszych.

Kto mówi, że naturalizm się skończył, ten nie wypowiada swego stwierdzenia lecz swój postulat. Bo w rzeczywistości w sztuce nic się nigdy nie kończy, ale wszystko zawsze powraca. Jednem z nielicznych, a najbardziej niewątpliwych praw, które może sformułować wiedza o sztuce, jest — że je tak po nietzscheańsku nazwiemy — prawo pierścienia wiecznego powrotu, z tą jednak korekturą, że każda sztuka nowa wchłania w siebie sztuki dawne, choćby biegunowo z sobą sprzeczne, a przez to stwarza nową rzeczywiście odmianę rzeczy starej.

JULJUSZ KLEINER

Na drogach nowego stylu

Styl XX wieku to nadewszystko opanowanie przestrzeni. Zdążał już ku temu wiek poprzedni, podbijając ziemię i przezwyciężając odległości, ale w życiu duchowem raczej łamał się z płynnością czasu — pragnął ożywić przeszłość, sięgnąć w przyszłe tory. Dzisiaj zaś nawet walka z czasem toczona jest w imię władztwa nad sferami przestrzennemi, celem ujęcia drogi jak najdłuższej w najciaśniejsze granice godzin czy chwil zużytych. Automobil i samolot są wyrazicielami pokolenia, którego tryumfem fantastycznym stało się radjo, realizujące w dziedzinie zjawisk fizycznych — teologiczną tajemnicę wszechobecności.

W tym właśnie duchu kształtuje się styl nowy. Bo wielka, ogromem swym aż stępiająca wrażliwość naszą epoka, którą przeżywamy — epoka, wydająca się niektórym ludziom barbarją chaosu — stwierdza moc twórczą narodzinami stylu nowego. Rwał się ku jego narodzinom wiek XIX; niepełność wysiłków, ich jednostronność, ich cząstkowość zaznaczał znamiennym faktem, iż nie mógł się zdobyć na architekturę własną.

Ma ją dzień dzisiejszy i w myśl logiki ruchu szybkiego, potężnego, każącego oku szybko przebiegać po zgrupowanych masach, kształtuje budowle, ulice, place, miasta, kraje. Organizowanie i komponowanie przestrzeni staje się problematem sztuki, nie — jak przeważnie w XIX w. — zdobnictwo fasady.

W tej zaś przestrzeni wartością równorzędną budowanym masom jest powietrze i światło.

Zrozumienie i higjenicznej i estetycznej donioslości powietrza to zdobycz wieków ostatnich. Nie znały jej wieki średnie. W dziejach malarstwa jasno można obserwować, jak stopniowo w skład czynników istotnych obrazu wchodzi atmosfera — i jak malarskie odczucie przestrzeni staje się malarskiem zużytkowaniem powietrza.

Światło umieli wciągnąć w zakres skarbca sztuki twórcy szyb witrażowych w gotyckim kościele — ale dopiero barok zaczyna oddawać na usługi artyście światło naturalne i sztuczne w szerokim zakresie. Naprawdę zaś trzeba było elektryczności, czyniącej człowieka panem świateł, by rozbłysnęła sztuka komponowania walorów świetlnych.

Pod znakiem władania przestrzenią, powietrzem i światłem rozwija się nowe budownictwo, nowy styl urbanistyczny — i przezwyciężanie urbanizmu przez boje z ciasnotą dawnego miasta.

Torem tym iść musi również literatura. Żądamy od niej opanowania przestrzeni wielkich; żądamy obfitości powietrza, które pierś naszą rozszerzy, orzeźwi; żądamy promienności światła.

ANDRZEJ RYBICKI

Nowa wartość literacka

Za nową wartość literacką uważam wszelki, formalny lub treściowy czynnik literackiego dzieła sztuki, który spełnia dwa warunki: zjawia się po raz pierwszy, i jest przez całą kulturalną społeczność przeżywany, jako coś dotąd nieznanego, a ważnego. Ten drugi warunek bywa często pomijany; nową wartością literacką nazywa się bądź twory, których jedynym urokiem jest ich niepodobieństwo do tworów dawnych, a które estetycznem życiem lśnią jedynie w oczach autora, bądźteż twory, programowo przysposobione dla pewnej tylko części kulturalnego ogółu, ulegającej sugestjom mody i haseł. To jest mylne. W pojęciu nowości literackiej tkwi cecha ważności powszechnej — abstrahuję tu oczywiście od sezonowych nowostek. Ważność powszechna nie pojawia się jednak odrazu, razem z dziełem sztuki istotnie nowem. Trzeba tu nieraz długiego przepływu lat. Dwa stąd następstwa: impet upowszechniania każdego utworu, czy godzien jest zbiorowej uwagi, czy nie — i niepewność w odniesieniu do współczesnych zjawisk literackich: niewiadomo na pierwszy rzut oka, czy nowostka zda egzamin dziejowy i uzyska tytuł nowości prawdziwej, niewiadomo również, czy nowość, pokwitająca sobie bujnie w pierwszych chwilach swego istnienia, nie okaże się rośliną beznasienną i chwaściastą, zwykłą sobie sezonową nowostką. W bezpośredniej ocenie literackich dzieł wyjątkowo tylko opuszcza człowieka niepewność; tylko wtedy, gdy badacz ma szczęście być współczesnym powstaniu arcydzieła. Nie można rzec, by dni dzisiejsze darzyły nas gradem arcydzieł. Toteż zagadnienie dróg, któremi pójdzie, względnie pójść powinna literatura nowa, bywa rozwiązywana rozmaicie i chwiejnie. Może tak, może inaczej. Może ten styl „ostoi się", może ta metafora zyska tylu naśladowców i wyznawców, ilu ich ma i po wszystek czas mieć będzie pradawny, a nieznany maryciel, który przed wiekami po raz pierwszy powiedział w pieśni miłosnej słowo: księżyc. Może ten sposób ujmowania rzeczywistości zewnętrznej w powieści posłuży ludziom późniejszym, różnym od nas, może ta sensacja w dziale formy, czy treści, dzisiaj modna, spełznie, jak tanie sukno na słońcu. Niewiadomo. Próbuje się tak, próbuje się inaczej. Pod jednym względem próbuje się prawie zawsze jednakowo: oto chce się zmienić wygląd dzieła sztuki, nie zmieniając przy tem wnętrza człowieka tworzącego. Niech człowiek będzie, jakim był, czy jakim sobie jest, — ale dzieło sztuki niech będzie nowe. Sporo jest we wszelkim modernizmie chęci uwygodnienia aktu twórczego. Sporą część literatury nowej nazwałbym literaturą wygody ducha. Zrozumiałe to: jesteśmy zmęczeni wojną, gnębi nas kryzys, mamy dość smutku poza sztuką — i jak się tam jeszcze w zwykłych pogwarkach mówi. Zrozumiałe to, ale błędne. Problem sztuki nowej jest zawsze problemem nowego w n ę t r z a człowieka, i nie jest niczem innem; tworzywo zewnętrzne nadąży posłusznie za przemianą wewnętrzną, bez tej przemiany zaś możliwe jest tylko nieodpowiedzialne kuglarstwo. Istota przemiany tkwi w duchach, nie w znakach widomych. Jaka przemiana dokonywa się teraz w duchach ludzkich? Odrodzenie i upowszechnienie wiary. Sezony wiedzy i niepewności zmieniają się w epokę wiary i pewności. To jest przemiana równie rzeczywista i powszechna, jak konieczna. Na jej tle rzeźbić się zaczynają wypuklej różnice między nowościami, a nowostkami w literaturze. Zawsze jednak przepływ czasu wiele przyniesie niespodzianek.

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI

RYTM MIASTA

Niewiele chyba jest chwil bardziej oszałamiających nad przyjazd do miasta, którego się dotąd nie znało. Zmysły wszystkie są napięte, chciałyby jak najwięcej uchwycić i przechować. Ale jakiś wewnętrzny niepokój i gorączka nie pozwalają na to. Nowe miasto odsłania się poraz pierwszy chciwym i głodnym oczom i nie zdarzy się już chwila równie świeża i dziewicza jak to pierwsze poznanie. Najbardziej ociężałe nogi stają się wtedy najlżejszemi skrzydłami. Człowiek zapomina wtedy o wszystkiem: o głodzie, o zmęczeniu, o sobie. Odrzucił precz przewodnik po mieście. Chce być sam na sam z poznawaną świeżo duszą miasta i z jego organizmem. Wchłania pierwsze wrażenia. Nie chce wiedzieć, co ma przed sobą, jak ten gmach się nazywa, ale zjada oczyma kształty, kolory, nastroje i ludzi. I głód ten nie da się zaspokoić. Pędzi człowieka coraz dalej przed siebie, każe zgadywać, co kryje się poza tym rogiem, poza tem skrzyżowaniem, za tem wzgórzem. Kto nie odczuwa tej gorączki odkrywania i brania na własność, ten śmiało może siedzieć w domu.

W tej pierwszej chwili czujemy, że nowe dla nas miasto jest jakimś jednolitym organizmem, w którym mieszka nieznana nam dotąd dusza. Jak ją poznać? Jak starać się dotrzeć do jej jądra? Na to pytanie można odpowiedzieć, gdy gorączka już opadła, gdy nazbierało się już dosyć doświadczeń, aby móc wyciągnąć uogólnienia. Skonstruujmy więc sobie taki idealny obraz zawierania znajomości z nieznanem dotąd miastem. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób najlepiej uchwycić rytm jego życia, charakter jego fizjognomji, gdzie najlepiej i najłatwiej złapać je za puls, aby zbadać, jak krąży w niem krew, jak reagują jego nerwy, jak pulsuje w niem życie.

Pociąg, zwalniając, zatrzymał się na dworcu. Pakierzy szturmują z dzikim hałasem — jak to się dzieje w Budapeszcie — albo czekają w rozwiniętym spokojnie szyku, jak w Berlinie — albo nerwowo wpadają w pojedynkę jak to się dzieje w Paryżu. A potem nie patrząc już na banalne zazwyczaj wnętrze dworca, bez względu na to, czy to jest olbrzymia stacja czy mała opuszczona stacyjka — wchodzimy na plac dworcowy i wchłaniamy pierwsze wrażenia.

Czasem już na wstępie pośpiech przybyłych, szum, zgrzyty i jęki pojazdów, gorączka pędzących tłumów nie pozwalają na chwilę spokojnej obserwacji, dzielą się z nami swoim rytmem i każą się nam spieszyć, niewiadomo poco, gdyż czasu mamy poddostatkiem.

Albo też wychodzimy przed dworzec, sami, z torebką w ręku, i mamy wrażenie, żeśmy przerwali niedyskretnie czyjąś cichą i powolną drzemkę. Śpi w słońcu stary plac pokryty trawą, która porosła między kamieniami bruku, śpi stary koń dorożkarski z niemniej starym swoim właścicielem, śpi samotna taksówka, antyczny gruchot, który chwieje się i trzęsie po nierównym bruku jak statek Kolumba wypływający poraz pierwszy w daleką podróż.

Nie wiem czyście spostrzegli, że puls miasta można badać w ruchu tramwaju czy autobusu, w gestach ich konduktorów? W Paryżu musisz być niemal sportowcem, wskakujesz na drżący i mruczący niecierpliwie autobus jak na ruchomą przeszkodę. Żywy i nerwowy konduktor ledwo ci zostawi czas na dokonanie tej niezawsze bezpiecznej operacji „Depêchons nous", „Corraggio!", tak konduktor paryski i jego rzymski kolega popędzają flegmatyków czy prowincjonalistów.

Nasz kochany lwowski tramwaj ma zawsze czas. Między trąbką jednego konduktora a dzwonkiem drugiego upłynie zawsze szereg długich sekund, które śpieszącemu się i nerwowemu wydają się wiecznością. Ogląda się jeden konduktor, ogląda się drugi, ogląda się i motorowy, zanim wprawi w ruch swój powolny wehikuł. — W Wilnie konduktor autobusu woła w takiej sytuacji głosem pełnym wątpliwości: „P o j e d z i e m?" jakby nie był bezwzględnym zwolennikiem konieczności ruchu i nie wierzył w to, aby się musiało dojechać do celu. W tych sekundach, w tych ułamkach sekund, w intonacjach głosu, w spojrzeniach rzucanych w bok czy przed siebie odczytujemy rytm życia, badamy puls miast.

W kawiarniach, na korsie obserwacja jest już prostsza i łatwiejsza. Po miastach mniejszych i bardziej flegmatycznych snują się ociężale monotonne sznury znudzonych ludzkich widm. Tunelem łączącym dwa podziemne dworce na berlińskiej Friedrichstrasse pędziłem zawsze jak szalony w ślad za innymi, choć miałem czas.

W kawiarni marsylskiej jesteś wiecznym przybyszem, w paryskiej chwilowym gościem, w wiedeńskiej stałym mieszkańcem, choćbyś przyjechał na dzień. Gdy wejdziesz do lokalu w małem miasteczku, ludziom wyłażą oczy z głowy i radziby pokazywać ciebie palcami. Murzyni w środkowej Afryce na wieść o przybyciu obcego biją ponuro w bębny i malują się na czerwono.

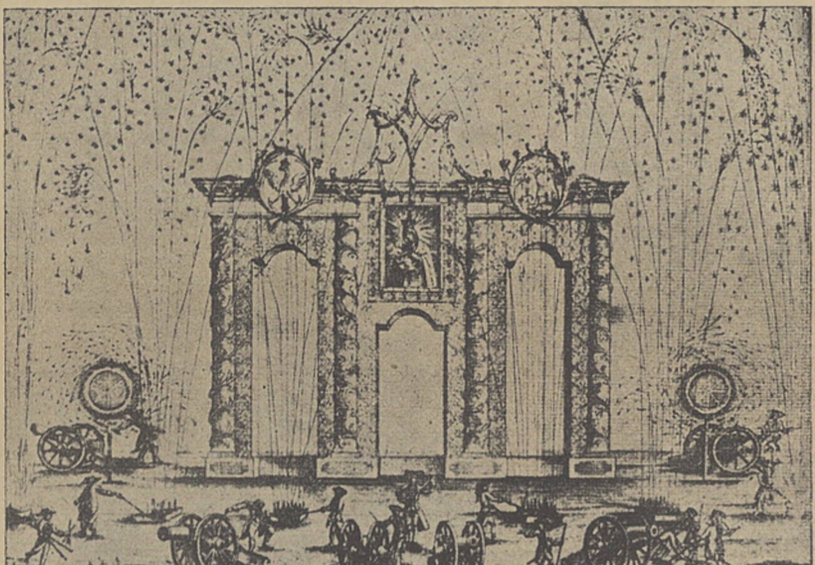
Nietylko ciało lecz i duch człowieka pozostaje w rytmicznej harmonji z duszą miasta. W wielkich miastach, zwłaszcza południowych, gdzie ludność jest żywa, niecierpliwa i inteligentna, dowcipy kinowe i mimowolne czy świadome śmieszności aktorów chwyta się w lot — równocześnie z pojawieniem się ich na ekranie. Gdzieindziej między pojawieniem się prawdziwego czy rzekomego dowcipu a wybuchem śmiechu publiczności ma się czas policzyć do pięciu czy nawet do dziesięciu. — Albo weźmy chłopców, małych sprzedawców gazet. W Warszawie powie ci dowcip i aby zachęcić do kupna doda oszukańczo, że dziennik został skonfiskowany. U nas w najlepszym razie zdobędzie się na miljonową już chyba śmierć Hitlera.

Rytm miasta, jego puls, jego charakter i organizm... Tak się te rzeczy określa i wydaje się, że można mówić o nich w sposób pewny i jednoznaczny. A jednak... — W tych pozornych całościach bywają nieraz części żyjące odrębnem życiem. Wyspa św. Ludwika w sercu Paryża jest cichą, pełną wspomnień prowincją, do której dolatują odległe i głuche poszumy i wrzawa wielkiego miasta. Chodzimy czasem po naszem własnem mieście, po ulicy, której nie znaliśmy dotąd, lub której długo już nie widzieliśmy — i przez chwilę nie wiemy gdzie właściwie jesteśmy.

Albo jesteśmy w naszem własnem rodzonem mieście, znanem zdawałoby się od tak już dawna, iż nie spodziewamy się po niem niczego nowego.

Aż tu wydzwoniła jakaś godzina na dziejowym zegarze. W mieście zakotłowało. Tłumy wyległy na ulice. Twarze zmieniły się. Tętni tupot kroków, dźwięczą pieśni, płyną kanałami ulic okrzyki. Nawet domy, nawet place i ulice, nawet niebo wydaje się dziś inne, uroczyste, naprężone, pełne zdenerwowania, uwagi i uroczystej czujności.

I w takim momencie dochodzimy do przekonania, że nie znamy dokładnie wnętrza naszego miasta i jego tajemnic — podobnie jak nie znamy i nie opanowaliśmy podświadomych odruchów i wewnętrznych zagadek własnej naszej istoty.



Fajerwerk lwowski z r. 1751.



Ludwik Tyrowicz: Podwale. Drzeworyt.

STANISŁAW BARĄCZ

ŻARTY AMORA

Amor okrutne czasem stroi żarty,
Głosem Syreny, urokiem Astarty
Tak cię w zasadzkę wprowadzi zdradziecko,
Na nic nie baczne to niesforne dziecko;
Choć wie, że za to płacisz krwią i łzami,
Tak duszę twoją odurzy, omami,
Tak oczaruje twoją istność całą,
Że nawet nie wiesz, co się z tobą stało.
Choć mu przystępu zabraniasz surowo,
Wetkwi ci w serce strzałkę brylantową,
Od której końca z tęczowych promieni,
Cieńka niteczka wije się i mieni.
On jej nie puszcza, dręcząc cię bezkarnie
Najsroższe tobie zadaje męczarnie.
Za serce ciebie przez bólów otchłanie,
Przez szczyty cierpień wlecze niezbłaganie,
Przez czeluść piekieł i przez gwiazd kobierce,
Aż z życiem wydrze ci zbolałe serce!

MIECZYSŁAW GĘBAROWICZ

O SZTUCE ŚREDNIOWIECZNEJ

W tych dniach pojawia się II tom „Historji sztuki" (wyd. Zakł. Nar. Ossolińskich) w opracowaniu M. Gębarowicza. Ze względu na aktualność poruszonych zagadnień podajemy wyjątki ze wstępu.

Autor jednego z najstarszych polskich żywotów świętych wplata w opis cudów uwagę, że na rzeczy te patrzeć należy „okiem wiary". Uwagę tę, jakkolwiek zrodziła się ona w innym zakresie zainteresowań, odnieść można z pełnem powodzeniem do sztuki średniowiecznej. Jeśli bowiem wszelki podział dziejów ludzkości jest rzeczą konwenansu naukowego, to jednak w odniesieniu do sztuki znajduje on usprawiedliwienie w odmienności podłoża ideowego, z jakiego sztuka w poszczególnych epokach wyrasta.

Sztuka średniowieczna wyłania się z antyku, żyje zaś w czasach nowożytnych i trwa po dzień dzisiejszy w każdym z nas, a uchwycić nici, łączące wszystkie okresy w jedną całość, jest rzeczą równie łatwą, jak i trudną; układają się one bowiem w obraz, którego treścią jest życie zawsze oczywiste i zawsze niezbadane, przy swej zaś niezmienności tysiąc posiadające twarzy. I sztuka średniowieczna nie jest niczem innem, jak tylko fragmentem życia, przez pryzmat wyobraźni artystycznej swej epoki przepuszczonym i przez nią w kształt i barwę zaklętym, różni się zaś od faz poprzednich i następnych tem przedewszystkiem, że patrzeć na nią trzeba „okiem wiary". Wyrasta ona bowiem na podłożu religji chrześcijańskiej, która stanowi najistotniejszy wykładnik życia duchowego epoki, a zarazem tło, na którem wszystkie jego przejawy nabierają żywych rumieńców.

Chrześcijaństwo kładąc główny nacisk na sprawy, leżące daleko poza światem doczesnym, podporządkowywało wszystkie przejawy życia celowi ostatecznemu. Sztuka nie mogła stanowić wyjątku i musiała się również podporządkować kościołowi, a jeśli straciła przez to absolutną wolność, uzyskała jako jej rów-



Wit Stwosz: Chrystus na Krzyżu. Kraków. Kościół Marjacki.

nowaźnik wzmożenie swej funkcji społecznej. Przestaje służyć zaspokajaniu potrzeb estetycznych społeczeństwa, staje się jednak narówni ze słowem kaznodziei nauczycielką, wychowawczynią i drogowskazem, wiodącym do Boga. To też posłannictwo sztuki średniowiecznej nacechowane jest wielkiem dostojeństwem, kształtuje się zaś w ramach pojęć, któremi żyje cała ta epoka.

Znaczenie dziejowe średniowiecza polega w niemałej mierze na tem, że z ludów nawpół barbarzyńskich, z jakich składała się Europa po upadku Rzymu, stworzyło ono nową społeczność cywilizowaną, która w sprawach kultury posiadała wspólny język. Dokonanie tego procesu jest zasługą kościoła, który objął spadek po starożytności, przetworzył go odpowiednio i przekazał nowym społeczeństwom, czyniąc je spadkobiercami kultury klasycznej. Jest tedy średniowiecze nietylko następcą, ale i kontynuatorem tradycyj antyku, a jego poglądy tkwią korzeniami głęboko w starożytności. Dotyczy to również i jego ustosunkowania się do sztuki, które — jeśli idzie o stronę teoretyczną — nie wykazuje zasadniczych różnic.

Religijny charakter sztuki średniowiecznej wyraża się w tem przedewszystkiem, że wyrasta ona z przesłanek abstrakcyjnych i ku takim zmierza celom. Wpływa to w sposób rozstrzygający na jej kierunek i postać i przebija w każdej dziedzinie twórczości.

W sztukach figuralnych cały punkt ciężkości spoczywa nie na formie, ale na treści. Ten rewolucyjny w stosunku do starożytności zwrot dokonał się pod wpływem religji już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i znalazł wstrząsający wyraz dokument w „Wyznaniach" św. Augustyna. Ich autor, wychowanek kultury klasycznej, który chrześcijaństwo przyjął nie mechanicznie, ale na zasadzie bardzo głębokich przeżyć wewnętrznych, opisując swe rozterki duchowe przy przechodzeniu od starego światopoglądu do nowego, podaje, iż spostrzegł początkowo z przerażeniem, że np. w śpiewie kościelnym nie jego wykonanie, ale słowa tekstu wzruszały go do głębi, a gdy później mu się zdawało, że czasem znajduje upodobanie w samym śpiewie, miał uczucie popełniania ciężkiego grzechu. A tak traktowali te rzeczy wszyscy współcześni i pokolenia następne i pod tym względem nie było rozbieżności w żadnej dziedzinie twórczości. Od sztuki żąda się przedewszystkiem treści, którą ustala i narzuca artyście teolog. Treść nosi zasadniczo charakter symboliczny, tak jak w sztuce starochrześcijańskiej, ale zakres jej w średniowieczu jest nieporównanie szerszy. Prócz Pisma św. obejmuje ona bowiem, podobnie jak teologja ówczesna, całokształt spraw ludzkich i wszystkie dziedziny wiedzy, które stanowią tylko podbudowę i przygotowanie dzieła Zbawienia. W tym charakterze, szczerze czy nieszczerze, wprowadza artysta średniowieczny do swoich dzieł wiele motywów, luźnie tylko z religją samą związanych, dających mu jednak sposobność zaspokojenia



Figury z portalu kościoła N. Dame w Corbeil. Paryż. Luwr.

jego ambicji twórczej. Forma sama dla siebie nie istnieje, podporządkowywać się musi treści i to w kierunku podniesienia jej ekspresji.

Geneza form w sztuce średniowiecznej jest równie mało oryginalna, jak we wszystkich poprzednich i następnych rozwojach. Złożyły się na nie antyk helleńsko-rzymski, Wschód chrześcijański i pogański, Bizancjum, sztuka rodzima nowych ludów, a wreszcie obserwacja natury. Z każdego z tych źródeł korzysta sztuka obficie i bez skrupułów, biorąc to, co jej odpowiada, i dowolnie przestylizowując.

Punktem wyjścia jest sztuka starożytna, z której wyższości średniowiecze zdaje sobie dobrze sprawę i nawiązuje do niej ustawicznie, choć bez zainteresowań antykwarystycznych, inaczej w Bizancjum, inaczej na Zachodzie. Bizancjum, uniknąwszy katastrofy cesarstwa zachodniego, kontynuuje systematycznie wysiłki sztuki starożytnej, a choć pod wpływem zmienionych warunków dochodzi do innych wyników, zachowuje do końca wiele istotnych jej rysów. Na Zachodzie proces ten odbywa się chaotycznie, gdyż w braku ciągłości tradycji polega on na bezplanowem poszukiwaniu dróg w gruzach obalonej kultury. Wschód oddziaływa bardzo potężnie zwłaszcza w okresie zakładania podwalin. Sztuka starochrześcijańska Syrji, Palestyny i Egiptu odgrywa wielką rolę w kształtowaniu zarówno ikonografji, jak i form artystycznych średniowiecza, a misję jego w stosunku do Zachodu przejmuje później Bizancjum. Wschód dalszy, niechrześcijański, działa również, pobudzając fantazję rodzącej się sztuki wyrobami swego przemysłu artystycznego, skąd niejeden motyw przeniknie i pozostanie na stałe w inwentarzu jej form. Wreszcie pozostaje pewien zasób form rodzimych, przyniesionych przez nowe ludy z ich legendarnej kolebki azjatyckiej; przedstawia się on ilościowo może najskromniej, jest jednak wyrazem pewnej oryginalności i świeżości, które miały zaważyć decydująco na całym dalszym rozwoju sztuki.

Stosunek sztuki średniowiecznej do natury wymaga kilku osobnych uwag. Sztuka średniowieczna wyrasta z przesłanek abstrakcyjnych, nie jest jednak antinaturalistyczna, choć stosunek formy do rzeczywistości jako problem dla niej nie istnieje. Kładąc główny nacisk na treść, stara się ją podać w sposób zrozumiały i w pamięć się wdrażający. Posługuje się tedy formą, która tym wymogom musi czynić zadość, czerpie ją jednak nie z natury, ale z tradycji. Sztuka średniowieczna wyrasta ze starochrześcijańskiej, za jej pośrednictwem przejmuje schematy formalne antyku, to też artysta w przedstawieniu przedmiotów kieruje się nie własną obserwacją bezpośrednią, ale tem, co o nich wie; wiedzę zaś swoją zawdzięcza pracowni i warsztatowi, względnie innemu dziełu, które kopjuje, dowolnie je przetwarzając. Ten brak bezpośredniości, cechujący całą twórczość tej epoki, przebija również w literaturze, gdy ta np. bohaterów swych romansów rycerskich umieszcza w zamkach, które porównuje z pałacami cezarów rzymskich lub bizantyńskich; przechodząc obojętnie obok wspaniałej architektury współczesnych tumów romańskich i gotyckich, rozwodzi się szeroko nad przepychem gmachów, których nikt nie widział ani widzieć nie mógł, dlatego tylko, że odnośne opisy znalazły się u któregoś ze starożytnych klasyków i żywcem stamtąd przejęte zostały. Podobnie artysta średniowieczny wprowadza lwy i inne okazy fauny egzotycznej, postaci mitologiczne i antyczne schematy kompozycyjne, których nie rozumie, a jednak dla swych celów upraszcza i nagina. Wytwarza się tedy pewien konwencjonalny, na wiekowej tradycji oparty alfabet formalny, którego poszczególne znaki są niejako symbolami formy rzeczywistej, a jako takie zrozumiałe są tylko wtedy, gdy patrzymy na nie oczyma epoki bez prób konfrontowania ich z prawdą życiową. Prawda życiowa może być również jednem ze źródeł form, a choć dostarcza sztuce wielu motywów, nie odgrywa przecież roli decydującej.

Tendencje ekspresyjne sztuki średniowiecznej nie są wynikiem jakichś założeń artystycznych, ale wypływają wprost z jej charakteru dydaktycznego. Ponieważ forma jest tylko symbolem prawd wiecznych, musi posiadać własny wyraz, wychodzący poza piękno i poprawność zewnętrzną. Może ona być wiernem powtórzeniem natury albo jej jaskrawem zaprzeczeniem, ale nie to stanowi o jej wartości i pięknie, tylko zawarta w niej prawda duchowa. Wyraz zdobywa forma drogą odpowiedniej stylizacji, która dokonuje się zasadniczo nie wbrew, ale w niezależności od prawdy życiowej. Dlatego też niesłuszny jest potoczny pogląd, który sztukę średniowieczną określa jako wypływ nieznajomości zasad perspektywy czy anatomji. Pomijając błędność rozumowania, które zjawisko pozytywne, jakiem jest sztuka, próbuje wyprowadzić z przesłanek negatywnych, zauważyć należy, że o nieznajomości czegoś można mówić tylko wtedy, gdy istnieje w tym kierunku zainteresowanie. Poza tem zarzut podobny postawić



Apsyda katedry w Monreale.

można tylko pojedynczemu człowiekowi czy grupie, nigdy zaś całej epoce. Dzieje sztuki bowiem pouczają, że ilekroć ludzkość czegoś naprawdę pragnęła, zawsze cel swój osiągała i na tem właśnie polega dziejowe znaczenie sztuki jako wyrazu najistotniejszych potrzeb i pragnień pewnej zbiorowości. Całe zaś podłoże kultury średniowiecznej było wybitnie spirytualistyczne, a kładąc nacisk na wartości duchowe czyli treść, podporządkowywało jej formę.

Rola indywidualności artystycznej w sztuce średniowiecznej jest nieznaczna, przynajmniej oficjalnie. Indywidualność bowiem dochodzi do głosu tylko wtedy, gdy źródłem formy artystycznej i sprawdzianem jej piękna jest natura; natura stanowi wspólną platformę porozumienia między artystą a widzem, domagającym się odeń indywidualnego ujęcia, względnie interpretacji formy dostępnej wszystkim w jednakim stopniu. Sztuka średniowieczna, która wyrasta z przesłanek abstrakcyjnych i posługuje się formą tradycyjną, warunków takich nie stwarza; dlatego jest ona w znacznej mierze rozwojem anonimowym, a ten jej rys ustępuje w miarę naporu tendencyj naturalistycznych. A jednak stwierdzamy w niej ewolucję, odróżniamy kierunki i szkoły, w ich ramach wartościujemy dzieła jako mniej lub bardziej wybitne, dopatrując się w nich czegoś więcej, niż ikonografji i rzemieślniczej sprawności tylko, słowem stoimy wobec wysiłków twórczych artystów, których indywidualność pomimo wszystko się zaznacza. Jest ona przytłumiona, nie tykając całości poprzestaje na interpretacji szczegółów (np. proporcje postaci, gesty, rzut fałdów) i przejawia się w sposób, nie rzucający się w oczy, a jednak istnieje, gdyż tylko dzięki niej produkcja artystyczna średnich wieków jest naprawdę sztuką.

Zresztą o artyście średniowiecznym wiemy bardzo mało. Społecznie należał on do klasy wydziedziczonych, którym urodzenie nie dawało ani majątku, ani przywilejów, to też szukał oparcia u możniejszych. Początkowo udzielały mu go klasztory, w których składał śluby zakonne albo w inny sposób się z niemi wiązał, potem w miarę ewolucji społecznej wyswobadza się z pod tej opieki, aby, odzyskawszy swobodę osobistą, bronić swych

praw jako rzemieślnik w ramach miejskiej organizacji cechowej, o ile los szczęśliwy nie zaprowadzi go na dwór monarchy-mecenasa.

Jego przeżycia artystyczne posiadają nikłe coprawda, ale autentyczne dokumenty w postaci napisów, jakie czasem kładł na swych dziełach. Przeżywał on prawdopodobnie te same tragedje zmagania się z formą, które są udziałem i warunkiem wszelkiej twórczości, a choć skrępowany w wolnem wypowiadaniu się, miał poczucie swej wartości. Wiedział, że tworzy dla szerokich kół społeczeństwa, którego najgłębszych przeżyć duchowych jest kodyfikatorem, to też uważał się za coś wyższego i nieraz snuły mu się po głowie myśli dziwne może, a jednak mające głębokie uzasadnienie w psychologji twórczości. Jeden z artystów romańskich pomieszcza na swem dziele taką sentencję: „Bóg stworzył wszystko, a stawszy się człowiekiem, wszystko naprawił" — inny zaś artysta z pierwszej połowy XIII w. wyznaje: „Gdybym ciała, które umiem kształtować, umiał do życia powoływać, zasługiwałbym na to, aby zasiadać wśród bogów", a choć obaj są wymowniejsi od innych, nie stanowią jednak wyjątku. Od tej dumy nie bronił artysty nawet habit zakonny, to też cystersi w swej regule pomieszczają przepis, aby artyści-mnisi uprawiali swą sztukę w pokorze, a jeżeli który z nich z tego powodu wynosi się nad innych, powinien go opat od niej odsunąć na tak długo, dopóki się nie upokorzy. Uwagi te mogą brzmieć dziwnie na tle utartych poglądów na średniowicze, a jednak nie są one niczem innem, jak tylko dowodem, że psychologja artysty-twórcy jest zawsze niezmienna bez względu na zewnętrzne ramy, które jej stwarza epoka.

Rys istotny sztuki średniowiecznej obok jej charakteru religijnego stanowi również to, że jest ona dziełem nowych ludów, które zaludniły Europę północną w pierwszych wiekach naszej ery. Okoliczność ta jest punktem wyjścia dla dyskusji, jaka się toczy od szeregu lat między uczonymi włoskimi, niemieckimi i francuskimi na temat roli i zasług każdego z tych narodów w tworzeniu sztuki średniowiecznej. Podłoże istotne tej dyskusji stanowią względy raczej uczuciowe, aniżeli naukowe, niemniej wobec wagi i rodzaju argumentów, wysuwanych z wszystkich stron, należy jej poświęcić trochę uwagi.

Nauka włoska, wychodząc z założenia, że cała kultura średniowieczna wyrasta właściwie z antyku, swemu narodowi przypisuje rolę decydującą, gdyż tylko on mógł w całej pełni przejąć i rozwinąć spadek starożytnego Rzymu; zresztą do gotyku jako takiego nie przywiązuje ona większego znaczenia, uważając go raczej za zjawisko ujemne. Nauka francuska, która — przyznać trzeba — jest raczej w defensywie, ma zadanie bardzo ułatwione, gdyż materjał, jakim rozporządza, jest w swej oczywistości tak przygniatający, że często komentarzy nie wymaga; jeśli jednak zarzut jaki jej można postawić, to odnosi się on do niedoceniania twórczości pozafrancuskiej, względnie dopatrywania się wszędzie jedynie tylko odbicia pierwowzorów francuskich.

Odrębne i najbardziej skrajne stanowisko zajmuje nauka niemiecka, która zresztą stara się problem sam pogłębić i rozpatrywać na podłożu psychologiczno-estetycznem. Wychodzi ona od gotyku, który jej zdaniem jest nietylko ściśle określonem zjawiskiem historycznem, ale typem odczuwania sztuki biegunowo różnym od helleńsko-klasycznego, stanowiącym jednak najdoskonalszy wyraz psychiki północnej; istotą jego jest dążenie do abstrakcji i wyrazu duchowego nawet za cenę formy zagmatwanej, będącej antytezą klasycznej, zbudowanej na logice i organicznie związanej. W tem szerszem zrozumieniu gotyk stanowi właściwy rdzeń całej sztuki średniowiecznej, jako sztuki ras północnych. Narody zaś północne wyrosły na rozczynie krwi germańskiej, która, docierając z poszczególnemi szczepami do prowincyj cesarstwa zachodniego, wniosła nową treść wewnętrzną i, zapłodniwszy je, obudziła do życia, na innych opartego przesłankach, aniżeli w starożytności. Jakoż wszystkie kraje, które w średniowieczu odegrały wybitniejszą rolę, jak Francja, zwłaszcza północna, Burgundja, Hiszpanja, Lombardja, Anglja i Niemcy obudzenie swej aktywności zawdzięczają odnośnym szczepom germańskim; „gotycki" ideał tych ostatnich stał się niejako duszą całej twórczości artystycznej tej epoki, a najdoskonalej się wyraził w gotyku północno-francuskim XIII w. Że dusza gotyku jest germańska, świadczą wyroby metalowe zwłaszcza z okresu wędrówek ludów, posługując się zawiłym, nieorganicznym, abstrakcyjnym i pełnym wyrazu ornamentem plecionki geometrycznej, wzbogaconej motywami zwierzęcemi; żyje on długo jeszcze w sztuce ludowej w Skandynawji, wyrasta zaś z tych samych założeń ideowo-formalnych, które realizuje architektura gotycka. Niezgodność tych twierdzeń z faktami na terenie Francji i Niemiec zwłaszcza, jest pozorna tylko. Jeśli bowiem Germanie w tych krajach, które wyłącznie zamieszkiwali, nie zrealizowali w pełni ideału gotyckiego, stało się to dlatego, że brakło im pewnych fundamentów kultury klasycznej wraz z jej poczuciem formy; poza tem położenie geograficzne samo, dzięki któremu Niemcy stały się terenem ścierania się wpływów bizantynizmu, idących ze wschodu i południa (Wenecja), oraz gotyku francuskiego, utrudniało skupienie się wewnętrzne i rozwijanie własnych ideałów w jednym zdecydowanym kierunku. Natomiast Francja, gdzie najczystsza krew germańska zetknęła się najściślej i najdłużej z ideałami starożytności, wstąpiła odrazu na właściwą drogę, krocząc po niej konsekwentnie i z umiarem, co jej zapewniło prymat w życiu duchowem i artystycznem średniowiecza i czasów nowożytnych.

Takie ujęcie problemu, pomimo wszelkich pozorów pogłębienia naukowego, wymaga jednak przedewszystkiem specjalnych predyspozycyj uczuciowych, gdyż nie może się ono ostać wobec oczywistości historji. Wystarczy tylko przyjrzeć się kilku ogniwom tego rozumowania.

Pojęcie gotyku jako stylu historycznego — choćbyśmy się zgodzili, że jest on najdoskonalszem wypowiedzeniem się średniowiecza i duszy północnej — może być jednakowoż rozmaicie interpretowane. Jeśli bowiem Niemcy widzą w nim założenia abstrakcyjne i ekspresję, to Francuzi kładą nacisk na wybitnie racjonalistyczny charakter tej sztuki, a w przemyśleniu każdego najdrobniejszego szczegółu i w logicznem ich powiązaniu dostrzegają odbicie łacińskiej jasności myśli. Historja zaś poucza, że ideał, który urzeczywistniła architektura francuska XIII w., przyświecał całemu średniowieczu, zarówno Bizancjum, gdy eksperymentowało nad wytworzeniem, zwartego wnętrza kościelnego, jak i budownictwu karolińskiemu i romańskiemu, ideał zaś ten wyrastał z założeń religijnych epoki; system gotycki wyłaniał się stopniowo z zagadnień konstrukcyjnych, które architekci francuscy rozwijali konsekwentnie od X w. począwszy, w dużej niezależności od krajów ościennych.

Idealistycznego charakteru gotyku nie można kwestjonować tak samo, jak sztuki bizantyńskiej czy romańskiej, poszukiwanie bowiem wyrazu czyli prawdy duchowej jest najistotniejszą treścią sztuki religijnej; sztuka zaś chrześcijańska jest w znacznej mierze reakcją przeciw materjalizmowi świata antycznego i bezduszności jego form. Co się tyczy rzekomego sprawdzianu „go-



Anioł z grobu Chrystusa. Minjatura z Ewangeljarza ces. Henryka II.

tyku", owej ornamentyki geometryczno-zwierzęcej, gdybyśmy ją nawet uznali za emanację psychiki północnej, a nie za import wschodni, to jeszcze jej germańskość budzi wątpliwości; wszak najdoskonalej przejawiła się ona w malarstwie iryjskiem wczesnego średniowiecza, a Irlandczycy, jak wiadomo, są pochodzenia celtyckiego, nic zaś niewiadomo w historji o jakiejś silniejszej inwazji germańskiej na tej wyspie. A wreszcie, jak pogodzić germańską duszę gotyku z historją jego rozprzestrzeniania się poza Francją? Przecież nietylko Niemcy zachowywały się bardzo opornie wobec stylu, który powinien im być duchowo najbliższy, ale i północne Włochy, które — w myśl całej tej teorji — znajdowały się nietylko w tej samej sytuacji rasowo-kulturalnej, co Francja, ale, zważywszy całą ich historję, były szczególnie predestynowane do sformułowania ideału germańsko-chrześcijańskiego. Tymczasem nietylko tego nie zdziałały, ale nawet w przyjmowaniu gotyku dają się one wyprzedzić Toskanji, która posiadała stokroć mniejszą przymieszkę krwi germańskiej, a podlegała dzia-



Wnętrze katedry w Kolonji.

łaniu domniemanego hamulca bizantyńskiego co najmniej w tym samym stopniu, co Niemcy i Lombardja.

Epokowe znaczenie wędrówek ludów i rola plemion germańskich w procesie tworzenia nowej Europy nie mogą budzić dyskusji, ale zagadnienia tego nie należy rozpatrywać pod kątem rasowości. Czystość bowiem rasy w świetle dziejów jest fikcją i chimerą, której uznawanie wymaga aprobaty nie tyle rozumu, ile uczucia. Naród w sensie kulturalnym jest wytworem nie rasy samej, ale historji, ta zaś zasadza się w znacznej mierze na mieszaniu i scaleniu różnych pierwiastków etnicznych. Że krzyżowanie ras starszych z młodszemi sprowadza zazwyczaj skutki dodatnie, choćby w postaci wzmożenia ich aktywności, ogólnie wiadomo, ale w jaki sposób proces ten się odbywa, nie wiemy na szczęście i wiedzieć nie będziemy tak długo, jak długo nie zdecydujemy się wejść w ślepą uliczkę determinizmu naukowego. Choćbyśmy nawet to, co drogą analizy dorobku danego narodu na przestrzeni wieków określamy jako jego istotne i charakterystyczne cechy, uważali za czystą emanację rasy, to jeszcze powstanie pytanie, z których pokładów duszy narodowej one wyrastają i jak się przedstawia ich rola w skrzyżowaniu z innemi, później naniesionemi pierwiastkami; czy istnieją one obok siebie równolegle, czy się wzajemnie eliminują, czy pomnażają, czy wreszcie stwarzają nowe zupełnie wartości. Czy np. odrębny charakter sztuki hiszpańskiej wynika z przewagi pierwiastków germańsko-wizygockich czy też arabskich, a jaki przytem udział posiada dawne nawarstwienie iberyjsko-romańskie, nie mówiąc o innych? A cóż mówić o roli chrześcijaństwa? Wszak ono, przejmując spuściznę kulturalną starożytności, stworzyło podstawy nowego świata; dzięki ciągłości rozwoju wykształciło chrześcijaństwo kulturę o charakterze uniwersalnym, który jednak nie zdołał przytłumić odcieni narodowych. Bogactwo tych ostatnich określa fizjognomję średniowiecza, której ruchliwość jest wyrazem dynamiki, cechującej nowe społeczeństwa.

Rola żywiołu germańskiego, zapewne bardzo doniosła, da się raczej przeczuwać, aniżeli naukowo określić. Jeśli się bowiem twierdzi, że kultura średniowieczna powstała na tych terytorjach, do których dotarli Germanie, to fakty wskazują, że aktywność w tej dziedzinie przejawiła się najwcześniej tam, gdzie istniał wiekowy osad cywilizacji, niesionej przez cesarstwo rzymskie. Z pośród wszystkich krajów na plan pierwszy wysuwa się Francja, gdzie kultura średniowieczna krystalizuje się w formie najpełniejszej i najdoskonalszej. Ale Francja wówczas, gdy zaczęła przodować całemu światu, nie była jeszcze narodem, pod względem zaś rasowym była cudownym amalgamatem pierwiastków gallicko-romańskich i germańskich. Czy te ostatnie miały znaczenie decydujące, zwłaszcza w dziedzinie sztuki, orzec trudno. Sztuka bowiem nie jest tylko wynikiem wyobraźni artystycznej, zwłaszcza abstrakcyjnej, ale w znacznej mierze umiejętności przyoblekania jej w określoną formę artystyczną. A tę umiejętność posiada Francja w stopniu najwyższym i ona decyduje o dziejowem znaczeniu tego narodu dla całej cywilizacji zachodniej. Błędem byłoby uważać sztukę średniowieczną za dzieło Francji, gdyż jest ona wytworem zbiorowego wysiłku wszystkich narodów. Ale zasługą Francji pozostanie na zawsze, że od wieków stwarza ona warunki, w których najpełniej dojrzewa i formułuje się to, co stanowi istotną treść życia duchowego ludzkości. Idee same rodzą się często poza Francją, a jednak tylko na jej terenie rozkwitają one w formie doskonałej. Nie dokonywa się to wyłącznie wysiłkiem rdzennych Francuzów, ale pod cudownem działaniem ich poczucia umiaru, smaku oraz równowagi między formą a treścią. Dzięki też temu tylko to, co nosi na sobie stempel francuski, posiada walory powszechności i wszędzie dociera. Klasycznym tego przykładem są dzieje gotyku, owego najdoskonalszego wyrazu średniowiecza a zarazem najwspanialszej emanacji chrześcijaństwa w sztuce. Idea „gotyku" tkwi głęboko w duszy zbiorowej społeczeństwa średniowiecznego, to też, mimo że jej sformułowanie posiada wybitne piętno ducha francuskiego, ogarnia on cały swiat zachodni, stając się kanwą, na której każdy naród haftuje swój własny deseń.

Ta właśnie okoliczność jest źródłem różnic, jakie zachodzą między uczonymi różnych narodów w interpretowaniu sztuki średniowiecznej. Rozbieżność interpretacji jest zasadniczo zjawiskiem dodatniem, jak długo wypływa z przymusu wewnętrznego i jest odbiciem odmiennego sposobu odczuwania sztuki, przestaje niem być, gdy w grę wchodzą inne względy. Nie można zaś zapominać, że interpretacja nie jest celem samym w sobie, lecz jedynie środkiem pomocniczym i komentarzem, którego zadaniem jest ułatwienie widzowi nieprzygotowanemu możliwie najpełniejszego przeżywania sztuki wieków ubiegłych. Stąd też jej wartość naukowa zależy od dwóch głównie warunków, które dotyczą jej punktu wyjścia, kierunku, oraz konkluzyj.

Ideałem naukowym historji sztuki jest rozpatrywanie zjawisk artystycznych minionych epok ze stanowiska ich twórców, gdyż tylko wówczas mielibyśmy pewność zachowania pełnego objektywizmu. Niestety ideał ten do osiągnięcia jest wogóle niesłychanie trudny, a wręcz niemożliwy w odniesieniu do średniowiecza, które przy negatywnym stosunku filozofji do sztuki nie zdobyło się na sformułowanie swych poglądów estetycznych. Ich brak zastąpić możemy dziś, częściowo przynajmniej, rozpatrywaniem całej tej sztuki na tle ideowo-kulturalnem, które wprowadza nas w krąg myślenia ówczesnego człowieka, a chociaż nie rozwiązuje wszystkich zagadnień, chroni przed wkraczaniem na fałszywe tory.

Drugim warunkiem zachowania objektywizmu naukowego jest przestrzeganie proporcyj między faktem a komentarzem, czyli innemi słowy, interpretacja nie może iść zbyt daleko i przekraczać granic, poza któremi się zatraca jej związek z konkretnem dziełem sztuki. Dotyczy to tej zwłaszcza dziedziny, gdzie elementem zasadniczym jest forma plastyczna, której przez literacką zastąpić niepodobną, a którą w pełni ogarnąć można tylko przy pomocy przeżycia wewnętrznego. W rozszerzeniu zatem pojemności uczuciowej leży istota misji społecznej historji sztuki, a jej spełnienie polega nie na ilości użytych słów, ale na spotęgowaniu wrażliwości na wysiłek twórczy, zawarty w każdem dziele. Jest to rzecz szczególnie ważna w odniesieniu do średniowiecza, które stanowi teren wielu nieporozumień i fałszywych sądów. A przecież w gruncie rzeczy jest to tysiąc lat dziejów ducha ludzkiego i to bardzo intensywnie przeżytych, których wykreślać nie można choćby dlatego, że ich rezultatem i kontynuacją jesteśmy my sami.

Patrząc na sztukę średniowieczną z wyżyn kilku wieków, jakie nas od niej dzielą, dostrzegamy, że pod oschłą nieraz i szarą powłoką scholastyki wre i kotłuje gorąca lawa uczucia, które raz po raz jasnym wystrzela płomieniem. A jeśli niema lepszego sposobu objaśniania zjawisk przeszłości, jak mierzenie ich własną miarą, odnajdziemy w zaraniu średniowiecza tytuł kroniki francuskiej, brzmiący „Gesta Dei per Francos". Tytuł ten w swej lapidarnej zwięzłości stać się winien dewizą, ogarniając bowiem sztukę średniowieczną „okiem wiary", dostrzeżemy w niej przedewszystkiem dzieło Boga, które najwyraziściej odbiło się w zwierciedle francuskiem.

JERZY TEPA

D Y K T A T O R

Pomysł do scenarjusza w 3-ech aktach z prologiem

Fragment prologu

Rzecz dzieje się w bałkańskiem księstwie Montanji. Po przegranej wojnie i śmierci regenta, grasują w kraju bandy wywrotowców, które lada dzień połączą się w komunistyczną Republikę Rad. Trust fabryk broni „Humanitas", którego kopalnie znajdują się na terenie Montanji, jest zagrożony w swoim stanie posiadania — gdyż pierwszym krokiem Republiki Rad będzie unieważnienie koncesyj dzierżawnych ancien regime'u. Centrala amerykańskiego trustu chcąc uratować kopalnie wartości 14 miljonów — zamierza sfinansować ruch „narodowy". W tym celu zbierają się u dyrektora montanijskiej ekspozytury niedobitki dawnej partji monarchistycznej.

Scena 2.

Dyrektor: ...Przypuszczam, że prądy opozycyjne już istnieją.

Tito: Każdy rząd musi mieć opozycję. To bardzo potrzebna instytucja. Zapełnia kryminały i wzmacnia prestige bufetowej w parlamencie.

General: Mówiliśmy o góralach.

Dyrektor: Tak. Pamiętam. Czy mają już zorganizowaną partję?

Minister: O ile wiem — jeszcze nie.

Dyrektor: Aha! Trzeba człowieka.

Minister: Tak. Trzeba człowieka. Ale gdzie go znaleźć?

Dyrektor: (wstaje) Czy Panowie podjęliby się zorganizować ruch narodowy i objąć władzę?

Minister: Wprawdzie nie jesteśmy już tak popularni...

General: Ale przypuszczam... że tak...

Dyrektor: (stanowczo) Który z Panów przeprowadziłby marsz na Montegrad i podjął się zamachu stanu? (do Generała) Pan?

General: Marsz? Hm... to byłoby trudniejsze. Zamach stanu? Dlaczego dochodzimy do takich ostateczności? I dlaczego właśnie ja?

Dyrektor: Dlaczego? Przecież Pan ma chyba najlepsze kwalifikacje.

General: Widzi Pan, dyrektorze, z zasady jestem raczej pacyfistą. Tylko o tem nie mówię, bo byłoby to niepedagogicznie. Nadaję się raczej do zawierania pokoju. Zresztą cierpię na nerwy i nie znoszę huku strzałów.

Dyrektor: Przecież Pan prowadził ostatnią wojnę?

General: Ale nie opuszczałem stolicy — bo śmierć głównodowodzącego osłabia ducha w narodzie. Sądziłem, że myśli Pan o objęciu władzy po zdobyciu Montegradu.

Dyrektor: (do Ministra) A Pan?

Minister: Niestety. Jestem prawnikiem i cenię jedynie ciszę gabinetu. W każdym razie jednak obiecuję moją współpracę z nowym rządem.

Anna: (rozweselona) Nie był Pan nigdy na wojnie?

Minister: Gdyby dyplomaci musieli służyć w wojsku — byłby zawsze pokój w narodzie. Jesteśmy tylko do łagodzenia konfliktów i nigdy nie zmieniamy naszych przekonań.

General: Jednakowoż mam osobistą odwagę i gdyby trzeba...

Minister: ...możemy przez cały czas współpracować z człowiekiem, który podejmie się marszu na stolicę.

(W przyległym pokoju piekielny hałas — upadek, krzyki. Generał zatyka uszy i opada na fotel z okrzykiem: „Strzelają — słabo mi". Anna ratuje go).

Tito: (poprawia monokl) Nareszcie jakaś przygoda, bo jak dotąd było djabelnie nudno (zapala cygaro).

Minister: Ktoś napadł na willę — trzeba się ratować! Na miłość Boską, gdzie jest dzwonek na służbę!

(znajduje i dzwoni raz po raz — Dyrektor flegmatycznie wyjmuje rewolwer, repetuje, staje przy drzwiach)

Dyrektor: (do Anny oschle) Mają rację — żaden z nich nie nadaje się na wodza.

(krzyki i odgłosy nie ustają)

Anna: Co tam się dzieje? Czy to możliwe, żeby jakaś banda wywrotowców?

Dyrektor: Wykluczam to. Na całym terenie rozstawiłem posterunki. Chociaż...

Scena 3.

(krzyki, drzwi się otwierają — do pokoju wlatuje jak z procy służący — kamizelka z rękawami — po nim drugi służący, wyrzucony potężnym kopniakiem. Z za drzwi widać jeszcze nogę. Słychać głośne: „Idjoci, cholera".)

Dyrektor: Co się dzieje, do djabła?

Służący I.: Ktoś napadł na nas pociemku! Jakaś bojówka!

Służący II.: (pociera łokieć) Rękę mi wykręcili i pobili po głowie (rozciera).

Służący I.: Zdaje mi się, że bili kastetami. Przechodziliśmy przez gabinet i ktoś rzucił się na mnie zgóry. Równocześnie drugi uderzył Henryka. Wtedy ja...

Dyrektor: Ilu ich było?

Służący I.: Nie wiem, bo napadli nas w ciemności.

Służący II.: Może czterech, może więcej.

Dyrektor: (podchodzi z rewolwerem do drzwi) W tej chwili wyjść, bo strzelam!

Adolf: (z za drzwi) Zaraz, zaraz, tylko kubeł wezmę.

Dyrektor: W tej chwili wyjść!

(wchodzi Adolf w białym kitlu, w ręce kubeł i pędzel)

Adolf: Czego Pan tak na mnie krzyczy, co?

Dyrektor: Ręce do góry! Następny!

Adolf: (ogląda się spokojnie za siebie w stronę drzwi) Jest tam kto?

Dyrektor: Ręce do góry, mówiłem!

Adolf: (powoli stawia kubeł) A to poco?

Dyrektor: (cofa się) Liczę do trzech i strzelam! Raz, dwa...

Adolf: (flegmatycznie podchodzi) Panie ładny, tylko bez strzelania, bo jak ja strzelę, to Pana na miejscu szlag trafi! Warjata robią z człowieka!

Tito: (wstaje i lekko tabetycznym krokiem podchodzi do Adolfa. Czyści monokl i przygląda mu się bacznie, poczem wraca na fotel. Składa gazetę).

Dyrektor: Kim Pan jest?

Adolf: Też pytanie. Wiadomo, że nie cesarzową chińską, tylko malarzem pokojowym. Odnawiam sufit w gabinecie.

Dyrektor: Pan sam?

Adolf: Sam. Pomocnika odesłałem po farby, bo mi zabrakło.

Anna: (wybucha śmiechem) Nie — to kapitalne!

Dyrektor: (do służby) Co wy tu za historje opowiadacie o bojówkach?

Służący I.: Myśmy byli pewni, że to bojówka!

Służący II.: Najwyraźniej czułem, jak mnie w łokieć uderzono kastetem!

Adolf: Żadnym kastetem, młody człowieku, tylko drabina upadła ci na rękę. Czekałem na pomocnika i zdrzemnąłem się lekko a oni nawet nie raczyli zaświecić światła. No i — strącili mnie z drabiny.

Anna: Pan spał na drabinie?

Adolf: Wiadomo — łaskawa Pani — na drabinie. Chyba miałem prawo dać mu w mordę, przepraszam, w oblicze. Mogłem sobie wszystkie kości połamać.

Dyrektor: Nie mieliście żadnego prawa! I jeżeli jeszcze raz pozwolicie sobie tu na bójkę — wyrzucę was za drzwi.

Adolf: (podchodzi spokojnie) Mnie? Za drzwi?! Ty dupku wołowy, niedość że haruję cały dzień nad waszym sufitem za marne pół dolara, będzie mnie za drzwi wyrzucał! Mnie, wolnego obywatela państwa Montanji. Ty wiesz z kim gadasz?

Dyrektor: Z malarzyną pokojowym, który za chwilę znajdzie się za drzwiami! (dzwoni)

Adolf: Zobaczymy.

(wpada służący, Dyrektor dalej dzwoni)

Dyrektor: Wyrzucić go za kołnierz i nigdy więcej nie dawać mu pracy! (służący niezdecydowany) Wyrzucić go!

Adolf: (siada) Ano zobaczymy, czy znajdzie się taki mocny, coby mnie siłą wyrzucił.

(wpada drugi służący)

Dyrektor: Wyrzucić go!

Adolf: (siedzi flegmatycznie) Ostrzegam, że jak biję, to mogiła kwitnie!

Tito: To znaczy, że ma Pan wszystkie kwalifikacje na męża stanu. (do Dyrektora) Szukaliście człowieka — macie! Jak bije w mordę, to mogiła kwitnie. Taki człowiek nie zlęknie się nikogo. I dowcipny przytem.

(służący nie śmieją podejść — patrzą się na siebie)

Dyrektor: (wyciąga rewolwer) Dość tej komedji. Marsz stąd albo strzelam!

Adolf: Może Pan jeszcze raz policzy do trzech. Pan tak ładnie rachuje — szkoda, że tylko do trzech. Pan jest może gospodarzem tego miłego lokalu? Ja znam tylko rządcę. Bardzo sympatyczny staruszek.

Dyrektor: Ostatni raz mówię marsz!

Adolf: (nagle wskazuje ręką na okno) O widzi Pan tego ptaszka?

(i momentalnie korzystając z sekundowego obrotu głowy Dyrektora, uderza go pięścią w przegub. Rewolwer spada, Adolf podnosi go i pięknym łukiem wyrzuca za okno).

Tito: (do Anny) Bardzo miły człowiek. Doskonały sportowiec.

Adolf: (do Dyrektora) Pukawką może Pan straszyć ludzi, którzy nie wąchali wojny, ale nie mnie, przyjacielu. (zbiera pędzle i podnosi kubeł) Mógłbym Pana sprać tak, żeby Pan nie wstał, ale nie chcę robić skandalu w porządnem towarzystwie. (zabiera się do odejścia) Bardzo państwa przepraszam, ale ten facet przez cały czas mnie prowokował. Pozwolę się przedstawić: nazywam się Adolf Blond z zawodu (podnosi kubeł), malarz pokojowy, poza zawodem przewodniczący partji narodowej. Żegnam ozięble!

Dyrektor: Co? Jak?

Tito: Bierz go Pan! Stawiam na niego 5.000 franków!

Adolf: (od drzwi) Przecież mówię wyraźnie — nazywam się Adolf Blond. Blond.

Dyrektor: Ale kim Pan jest u licha? Przewodniczącym partji? Jakiej partji?!

Tito: Wszystko jedno jakiej. Bierz go Pan!

Adolf: Robotniczo-narodowej. Co to Pana obchodzi.

Dyrektor: Dużo Panie, bardzo dużo. Przykro mi... tego... że Pana obraziłem... Ale Pan rozumie... Hm... może Pan usiądzie... (papierośnica).

Adolf: Dziękuję — palę tylko fajkę. O co chodzi?

Dyrektor: Powiada Pan, że jest Pan przewodniczącym robotniczej partji narodowej — więc w każdym razie przeciwnej wywrotowcom.

Adolf: Wiadomo.

Dyrektor: Ilu członków liczy partja?

Adolf: Ośmdziesięciu.

Dyrektor: To niewielu.

Adolf: Gdy zakładaliśmy partję, było nas tylko pięciu. Teraz ośmdziesięciu. A na wiosnę będzie nas kilka tysięcy.

Dyrektor: (z uśmiechem) Czyżby? W jaki sposób? Pan chyba trochę przesadza.

Adolf: Nie, łaskawy Panie — ja nigdy nie przesadzam. Ja tylko kalkuluję. Oprzemy się na góralach, stanowiących połowę zaludnienia Montanji. Oni już czekają. W zimie rozjeżdżamy się po wsiach, organizujemy wiece — zapisy na ochotnika, zbiórkę na broń i szkolimy pierwsze oddziały szturmowe. A z wiosną marsz na Montegrad!

Dyrektor: Jest Pan pewny sukcesów?

Adolf: Najzupełniej! Od listopada objeżdżam Montanję i będę ludziom wbijał w łeb, że tak dalej być nie może!

(zapala się — wpada w ton mówcy wiecowego — urywany, krótki szczęk, fascynujący i komiczny zarazem — na przedzie sceny)

Przegraliśmy wojnę i płacimy odszkodowanie, naród jest zbiedzony, miasta popalone — wszędzie głód! Wszędzie ruina! Musimy się oprzeć o jednolitą organizację narodową! Żeby wyleźć z tego piekła nędzy! Stać się narodem twardym! Mocnym! niezależnym! Wyrwać z rąk wyzyskiwaczy greckich handel i przemysł! Obywatelem Montanji ma być montanijczyk czystej rasy! Grek nie będzie nigdy obywatelem Montanji! Cały naród musi złączyć się we wspólnym wysiłku! Na wspólnym froncie! Wszyscy z nami! Kto nie z nami, ten przeciw nam! A na zdrajców szubienica!!!

Dyrektor: Aha! Świetnie! (podaje rękę) Moje uznanie! Czy mogę Pana zaprosić na kolację. Chciałbym z Panem porozmawiać.

Tito: He-he-he! Pamiętam kilka lat temu. Było to w Monachjum...

K U R T Y N A.

JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA

T U L I P A N Y

Będę was malowała słowami,
słowami czerwonemi i malinowemi
jak sukno — jedwab. — aksamit —

Słowami-kielichami miękko gładzonemi,
przegiętemi w upale przez łodyg półkole...
Skłębionemi ogniście na bukiet płomieni,
słowami jak purpura — łuna — róż — i fiolet —

A lepkie pędzle myśli wedrą się w tę gęstwę,
w ten snop płonący dumnie w szkle czarnem i chłodnem,
i potąd będą patrzeć i szukać i węszyć,
aż rozchylą oporne kielichów pochodnie
i z uwodzącym szeptem obietnic i namów
jak trzmiele spadną znagła w serca tulipanów —
w ciemne, nieme, sprężone i — jak moje — głodne...

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO BOŻE

Błogosławieństwo niechaj będzie ziemi
w zieleni —
Kwiatom przydrożnym, kwiatom drzew i w trawie,
rozkwitającym łaskawie.
Błogosławieństwo ptasim w krzach świegotom,
zalotom,
pląsom ryb w wodzie słonecznej jeziora,
chórom żabim z wieczora...

Błogosławieństwo drogom, miastom, siołom,
kościołom,
i ludzkim oczom, gdy nagle się zmienią
w krwi spłomienieniu...
I naszym ustom, jak kwiatów korony
spragnionym...

Błogosławieństwo traw, nieba i wiosny
na żar miłosny...
Błogosławieństwo słowicze, zmierzchowe
na serca mowę...
Błogosławieństwo motyle, skrzydlate
na ust odpłatę...

Błogosławieństwo z ziemi i z ołtarzy
życiu, które się zdarzy...
Błogosławieństwo rozbujałych pnączy
mocy żywiącej —
Błogosławieństwo kaplic w drzew podniesi
płodzącej ziemi,
błogosławieństwo stworzeniu wszelkiemu
miłującemu...

KORNEL MAKUSZYŃSKI

POŻEGNANIE LWOWA

Kiedyś napiszę pamiętniki, ale nie tak prędko jeszcze; wprzód trzeba wiele... zapomnieć. Zapomnieć, przebaczyć sobie i innym. Teraz czynię notatki, takie „szkicem węglem", śmieszne, nikomu na nic niepotrzebne rysuneczki. Czasem ktoś wypowie maleńkie słowo, albo dotknie leciutko ręką, a to wystarcza, aby zacząć wspominki, wydobyć jeden rysuneczek z teki. Otrzymałem z redakcji „Sygnałów" list z prośbą, abym coś napisał, jako członek literackiego bractwa Lwowa, lwowskiej „archikonfraterni literackiej". Obejrzałem się poza siebie. Kiedyż to ja pisałem poraz ostatni w jakiej lwowskiej gazecie? Dawno, dawno, niewdzięczny pismaku... Minęło właśnie onegdaj równo dwadzieścia lat. Wtedy byłem duszą i ciałem Leopoli adscriptus, w lwowskiej siedziałem redakcji i piłem zachłannie słodycz mojego miasta. Przypomniano mi to w uprzejmym koleżeńskim liście.

Dwadzieścia lat minęło onegdaj. Wichr mnie poniósł, długo nosił i wreszcie zaniósł daleko od rodzinnego miasta. Wtedy właśnie wojna zawyła grubym głosem armaty. Porwała mnie, jak liść i oderwała od pnia.

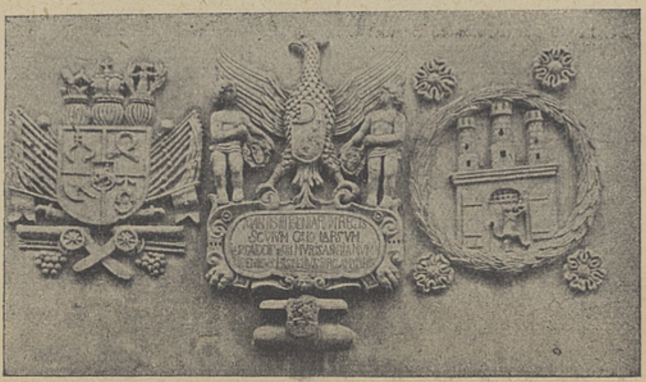
„Jak to się stało, opowiem".

Jechałem ze Lwowa przez Podwołoczyska na Litwę. Przejazd przez rosyjską granicę nie był operacją bolesną, dopiero tego roku — 1914 — operacja ta stała się cokolwiek powikłana. Brodate żandarmy zaczęły mnie wypytywać z uprzejmą ciekawością: a poco jadę, a do kogo, a dokąd? Odpowiedziałem bardzo uprzejmie kilku brodom, które przyjęły to życzliwie. Wreszcie mi zadano jedno jeszcze pytanie: czy jestem austryjackim oficerem? Dość było jednego spojrzenia, aby wiedzieć, że nie jestem generałem. Zestawiono moją przeczącą odpowiedź z moją mało wojowniczą fizjognomją i uznano, że wszystko się zgadza. Zwyczajny koń, nietylko rosyjski żandarm, byłby poznał odrazu, że w życiu mojem nie zdobyłem armaty. Trzeba było jednak być tępym, jak rura armatnia, żeby w owej chwili nie spenetrować, że brodacze nie zadają takich pytań z towarzyskiej uprzejmości. „Fräulein Doktor" byłaby wiedziała odrazu, że coś piszczy w nadgranicznej trawie. Moja przenikliwość miała bielmo na oczach, a dusza jechała na wakacje na świętą Żmudź. O, ślepy, po trzykroć ślepy! Kiedy żndarm pyta o niepotrzebne historje, muszą one być potrzebne. Przekonałem się o tem za dni kilka.

Mieszkałem sobie jak u litewskiego Perkuna za piecem, w prześlicznym majątku, zwącym się z pogańska: Burbiszki. Ślicznie tam jest, a stare litewskie bożki chodzą po lasach i zbierają grzyby. Było słońce, wino, ryby, las i woda. Był nawet jeden Anglik, wesoły chłop i telefon, co nas łączył z Zachodem. Często bywałem w tych stronach, znały mnie przeto wszystkie „sprawniki" i „uriadniki", a z samym panem gubernatorem kowieńskim, co się zwał Graziew, popijałem raz czysty spirytus, aby był spokój. Spokój był, bo wszyscy policjanci brali łapówki, niebożątka.

Jednego dnia rozpętał się wrzask: wojna! wojna! Wybuchła ona gdzieś daleko, więc Burbiszki powiedziały sobie: „niech na całym świecie wojna, byle żmudzka wieś zaciszna, byle żmudzka wieś spokojna!"

Ja jednak nie byłem Litwinem, a do tego cesarz rosyjski pogniewał się z moim byłym cesarzem austryjackim. Ja byłem w środku, jak komar, co usiadł na armacie. Jest to stanowisko podczas wojny niewygodne, bo strzelają z dwóch stron. Wtedy mi się przypomniała dopiero żandarmska na granicy ciekawość. Przejrzałem, nieszczęsny. Co robić, co robić? Jakto, co? Trzeba uciekać do rodzinnego miasta Lwowa. To była pierwsza i jedyna myśl. Zaprzęgają mi cztery czarne konie i walę na stację. Miałem niejakie wrażenie, że jadę karawanem: cztery konie i do tego czarne. Na stacji Łaba, na linji Libawa—Romny, powiadają mi, że mogę iść piechotą, bo pociągi nie odejdą. Gnam przeto cztery rumaki na większą stację, Radziwiliszki, gdzie jednak sapie jeszcze lokomotywa. Jest to ostatni pociąg ku austryjackiej granicy. Pociąg jest, owszem, tylko się do niego dostać. „Jak tu szeroko w naszem pudełku!" — rzekłyby sardynki na widok tego pociągu. Nawet moja rozpacz nie mogłaby się w nim zmieścić. Ludzie staczali walki, a zęby sypały się jak grad. Bardzo to było zabawne, tylko cokolwiek odstraszające. Usiadłem więc na dworcu i na walizce i tępo patrzyłem na moje austryjackie nieszczęście. Zostałem więźniem Rosji. Powróciłem na wieś, do zacnych Litwinów, którzy zaczęli mnie pocieszać, że wojna potrwa dwa tygodnie. Zacząłem wierzyć, bo pogańska Litwa ma dar wieszczenia z księżyca, z lotu



Herb Polski i Lwowa na arsenale miejskim.

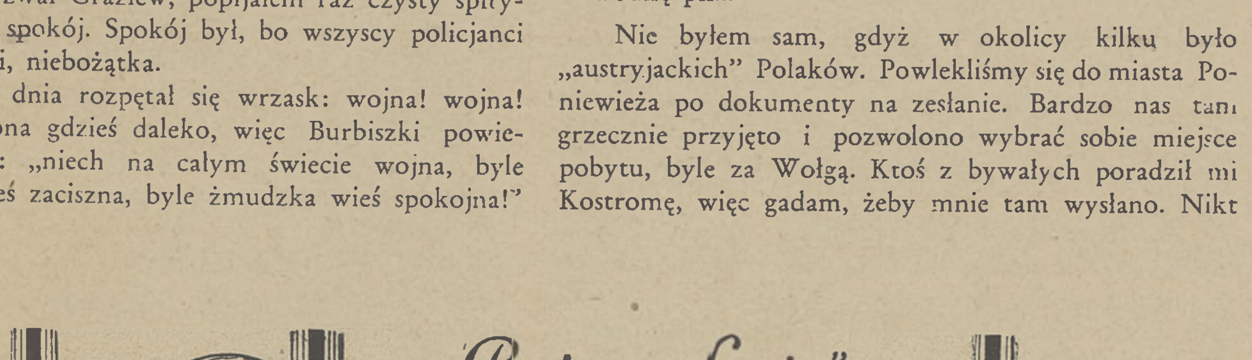
wron i z gadania drzew w puszczy. Otarłem przeto brylantowe łzy i zacząłem łowić ryby. We Lwowie zapewne po mnie płaczą i mówią szeptem: „On nie wraca, może zginął", Austrja napróżno mnie wygląda, a feldmarszałek każe zanotować: „Schreibt: gestorben!" Postanowiłem bez ruchu przeczekać krótką wojnę i nauczyć się po żmudzku. Tejże nocy jednakże przychodzi stary łapownik, uriadnik i niby rozpaczą pomalowawszy gębę, oświadcza głosem, używanym na panichidach, że z rokazu Jego Eksc. pana gubernatora, mam się udać niezwłocznie w bardzo pospolitej „randze" jeńca cywilnego niedaleko: tylko za Wołgę. Ładna Ekscelencja, psia jego noga! Sam nie miał odwagi, przysłał stupajkę. A wódkę pił...

Nie byłem sam, gdyż w okolicy kilku było „austryjackich" Polaków. Powlekliśmy się do miasta Poniewieża po dokumenty na zesłanie. Bardzo nas tam grzecznie przyjęto i pozwolono wybrać sobie miejsce pobytu, byle za Wołgą. Ktoś z bywałych poradził mi Kostromę, więc gadam, żeby mnie tam wysłano. Nikt nie ma nic przeciwko temu i „jadziem". Każde moje słowo jest w tej chwili boleścią, każdy przecinek jękiem, a każda kropka łzą. Taka to straszna była jazda. W dyskretnych ubikacjach, na stopniach wagonów, w zaduchu i ścisku. Czasem, jak fakir, wisiał człowiek w powietrzu, wysadzony, jak korek z butelki. W ten sposób dojechałem do Rybińska, a stamtąd statkiem po Wołdze do gniazda Romanowych, do owej Kostromy. Ległem, w połowie trup, a w połowie dogorywający, w jakimś hotelu, czekając na zmartwychwstanie ducha, co opadł, jak dumna flaga na okręcie. Miasto jednak jest malownicze, Wołga piękna, będzie tu można żyć. Trzeba jednak zameldować się u policmajstra. Podążył tam cały tłum „Germańców", jak za nami wołano na ulicy. Kobiety, dzieci, groźne dla rosyjskiego imperjum, mężczyźni a wśród nich jeden w dość niespodzianym stroju, bo we fraku. To jakiś znakomity skrzypek węgierski, którego w Rydze capnięto na estradzie i tak, jak stał, pognano za Wołgę razem ze skrzypcami. W wielkiej gromadzie czekamy na ukazanie się policmajstra. Mija godzina, dwie i trzy. Jakaś mała dziewczynka mdleje na upale, więc prosimy o kubek wody. Przynosi ją litościwa jakaś kobieta, lecz w tej chwili wytrąca jej wodę z ręki policjant. Nie wolno! To „Germańcy"! Pan policmajster zakazał. Skoro tego policmajstra ujrzę kiedy z nieba, jak na rusztach piekielnych będzie skamlał o kroplę wody, zapytam go wtedy: „a, czy pamiętasz, piekielna mordo, małą dziewczynkę w Kostromie?" Bo on jeden tylko był taki. Ludność wiedziała jedynie, że jesteśmy jacyś wojenni zbrodniarze, ale nie czyniła nam krzywdy. Lud w tych nadwołżańskich stronach jest jakiś dobry i uprzejmy. Mowie naszej przysłuchiwał się z ciekawą sympatją, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ci straszni Niemcy mówią językiem, podobnym do ich języka. Nie wzruszało to jedynie policmajstra, który wydał wyrok, że mało go obchodzą nasze dokumenty, bo on nie pragnie mieć w Kostromie zbrodniczej bandy. Kowieński gubernator daleko, a on jest blisko, wobec tego: „ubierajtieś won!" Kazał nas, zrozpaczonych i śmiertelnie znużonych, odstawić statkiem daleko poza piękną Kostromę, do wsi nad brzegiem Wołgi, a wieś zwała się Krasnoje Sieło. Bardzo to była przyjemna wieś i wesoła, sławna z tego, że najczęściej bito tu fałszywą monetę, co było, zdaje się, głównem przedsiębiorstwem tej wsi, pobocznem zaś tłoczenie świętych medalików. Tak to świętość często z łajdactwem chodzi w parze. Mieliśmy szczęście! Wieś była spokojna, gdyż jak nam wyjaśnił miejscowy pop, wypito tu już nawet politurę stolarską do ostatniej kropli, inaczej podochoceni kmiotkowie mogli byli w patrjotycznem uniesieniu zarzezać nas i każdemu potem święty na szyi powiesić medalik.

Spadliśmy na zapadłą wieś, jak szarańcza i zajęliśmy domy, bardzo zresztą porządne i zasobne. Przybysze podzielili się odrazu na dwa obozy: polski i niemiecki. Polaków było z trzydziestu a ze czterdziestu Niemców. gości. Czasem jedynie wybuchała awantura. Niemcy trzymając się kupy, milczeli ponuro i patrzyli wilkiem. Nasłuchiwali pilnie, jakby można tu było co usłyszeć. Jakby po Wołdze szedł głos z frontu. A po Wołdze przewalały się wspaniałe, bure i miedziane burze, bijące piorunami w gęstwy lasów. Nad wspaniałą, dostojną, jakby siwą Wołgą, tumaniły się czarne chmury i pochylały się nad nią tak nisko, jak czarne, opasłe krowy, chcące wypić rzekę. Tysiącem trąb grzmiała taka burza, kiedy przybyłem do owej wsi. Pomyślałem sobie, że to natura sroży się piekielnie, widząc moje udręczenia.

Pędziliśmy tu żywot mizeracki, wyglądając Bożego zmiłowania, jedząc cietrzewie i sterlety, owe cudowne ryby, któremi hrabia Monte Christo zdumiewał swoich gości. Czasem jedynie wybuchała awantura. Niemcy udawali, że mają jakieś wiadomości i przynosili je do nas. Jednego dnia zajmowali Paryż, drugiego Warszawę, a na niedzielę zatapiali angielską flotę. Uśmiechaliśmy się litościwie, zatruwało nam to jednakże życie. Pocieszał nas ów skrzypek we fraku, pięknie grający. Patrzyli na niego chłopi nadwołżańscy, jak na ogoniastą małpę, zanim sobie sprawił jakąś rubaszkę.

Mieszkałem u jakichś dobrych ludzi, bogatych rybaków, razem z małą polską gromadką i zacząłem moich gospodarzy nauczać historji, wyjaśniać im, kim są Polacy i że dzieje się nam krzywda z tem zesłaniem na kraniec świata. Przemawiałem żarliwie, ale tak wy-



szukanym rosyjskim językiem, że owi dobrzy ludzie zapewne po dziś dzień zastanawiają się nad tem, co ja im właściwie chciałem powiedzieć? Niejeden już pewnie umarł i do samej śmierci tego nie odgadł. Udało się nam jednak wyjaśnić im, że ci pochmurni ludzie, co przez cały dzień nad czemś radzą i z którymi unikamy się wzajemnie, to nie są nasi serdecznie druhowie. Rozsądny pop dodał swój komentarz i kmiotkowie uśmiechali się do nas życzliwie. Można było w spokoju pisać wiersze. Rytm ich mącił czasem urzędnik policyjny, który przychodził późną nocą badać, czyśmy nie uciekli wbród przez Wołgę i na piechotę przez parę tysięcy wiorst. Tak długo chodził, aż nawet takie, jak my, Galicjaki, pojęliśmy wreszcie, że można kupić sobie sen spokojny za dwadzieścia pięć rubli. Potem już i on spał i myśmy spali, zanim go nowa nie zbudziła trwoga, że płyniemy wpław przez Wołgę i uciekamy przez olbrzymie bory. Trzeba było nowego nasennego środka. Zaczęła mi już porastać broda, zgoła kacapska, bo owe sławne dwa tygodnie wojny zaczęły się rozciągać, jak guma. O tem, co się działo na świecie, nie wiedzieliśmy nic na głuchem w lasach pustkowiu. Czytaliśmy jakąś gazetkę, z której można się było dowiedzieć, że już jutro wojska rosyjskie zajmą Berlin, a bohaterski Kozak, Kuźma, brał codziennie do niewoli całe gromady Niemców. Tylko siąść na urwistym brzegu Wołgi i płakać, aby wezbrała. Serce porastało smutkiem, jak mchem. Czasem człowiek, niemądrze czyniąc, usiadł nad wodą i nadsłuchiwał, jakgdyby wiatr mógł przynieść aż tutaj dalekie echa. Fala jedynie szumiała, czołgając się ku brzegowi. Tylko wspaniały gadał las. Wojna huczała o tysiące stąd kilometrów, na dalekim, dalekim świecie. Tu było cicho, jak w grobie. Wszelka nadzieja poczęła załamywać ręce i nad tem rozmyślać z przerażeniem, że trzeba będzie lata całe spędzić w brudnej wsi, gdzie nam wreszcie urządzą kęsim, kiedy nadleci jakaś skrwa-



Dawny Teatr Skarbkowski.

wiona wieść o klęsce. Stało się tymczasem, że moi z czasów paryskich przyjaciele, dwaj wybitni poeci rosyjscy, dowiedzieli się o mojej niedoli. Zbyt wiele razem wypiliśmy wina, aby mi pozwolili teraz samemu pić chlebny kwas, straszliwe paskudztwo. Narobili zgiełku i w Petersburgu postanowiono uwolnić mnie z tiurmy nad Wołgą, ale nie tak, poprostu, na gębę. Trzeba było straszliwej poręki, że zwolniony, nie rozwalę podstępnie i chyłkiem imperjum.

Pozwolono mi powrócić na Litwę, poczem po wielu awanturach do Lwowa. Był to ostatni już pobyt mój w dobrem, śpiewającem mojem mieście. Wtedy to, podczas krótkiego już pobytu, okryłem się hańbą na resztę żywota: byłem przez dwa miesiące dyrektorem teatru. Kiedy Austrja, chcąc za wszelką cenę ujrzeć ten teatr, parła znów na zdobycie Lwowa, zazdrosne o mnie Imperjum Rosyjskie zabrało mnie skwapliwie, znowu w mizernej randze „jeńca cywilnego" do pięknego Kijowa. Nie mogli się ze mną rozstać i wozili mnie jak skarb, w tem zapewne przekonaniu, że jeśli Austrja mnie ucapi i wykorzysta moje wojskowe talenty, wojna w trzy dni się skończy.

Obejrzałem się po raz ostatni: wieże miasta płonęły w letnim słońcu, a powietrze drgało w upale. Kopiec na Wysokim Zamku wyglądał, jak czapka astrologa. Za mną, w słonecznej kurzawie niknęło miasto prześliczne i coś piękniejszego jeszcze: moja w niem młodość, czupurna, często głodująca, lecz pisząca zapalczywie wiersze.

O tej młodości napiszę kiedyś w pamiętniku, kiedy sobie ze złota najświetniejsze utoczę słowa. Widzę już „sygnały", że trzeba to czynić, bo zbliża się zachód. Wielu moich przyjaciół, śpiących na lwowskim cmentarzu, budzi się czasem i pyta niecierpliwie: „Czemuż ten tak marudzi?"

Poczekajcie, poczekajcie, przyjaciele... Jeszcze nie napisałem o mojem mieście tego, co muszę napisać...

STANISŁAW WASYLEWSKI

SIERPIEŃ 1914

Na palcach policzyć można było ludzi, którzy na miesiąc przed wybuchem wojny światowej wierzyli w jej bliskość i liczyli się wogóle z nieuchronną możliwością katastrofy.

Jak co roku, jak w najspokojniejszych czasach szykowano się i teraz w lecie 1914 roku do wyjazdu na ferje. Ba, nawet z większym jeszcze zapałem. Tak harmonijnej pogody, tak znakomicie zapowiadających się urodzajów, tak pięknej perspektywy wypoczynku nie notowano bowiem od lat wielu.

I nawet grom, który z jasnego nieba padł w Sarajewie, kładąc trupem austryjackiego następcę tronu, nie krzyżował tych planów, nie mącił oczekiwań.

To się może dziś wydać niezrozumiałe.

Czyżby bowiem brakło sygnałów ostrzegawczych, że to już ostatnie godziny starego świata, czy nie dostrzegano współcześnie tych wszystkich, dziś nam tak widocznych znaków na niebie i ziemi?

Nie. To była raczej powszechna wówczas psychoza lekceważenia niebezpieczeństwa. Pomruki wojenne powtarzały się systematycznie od lat kilku. Straszak mobilizacji rosyjskiej, coraz i coraz wysuwany, jako groźba, stępił się wreszcie. I nikogo nie straszył. Przeciwnie nawet. Przyzwyczajono się do alarmów i oswojono. Niby z czemś tak niezbędnem dla utrzymania pokoju, jak niezbędną jest klapa bezpieczeństwa w kotle parowym.

Na kim się zmełło, na tym się skrupi. Najgłębiej i uporczywie wierzyli ludzie, że każda taka awantura musi się zakończyć, tam gdzie się zaczęła. W kotle bałkańskim, w którym wiecznie wre. Ale żeby z tego wulkanu pożar rozszerzyć się miał na świat cały? I żeby się miała podpalić mapa Europy? Tę myśl odsuwano najchętniej. Wojna światowa? Gdzieżby? Nie było jej przez sto lat, nie grozi nam i teraz. Cztery pokolenia obyły się bez niej, obędziemy się i my. Tak sądził przeciętny szary człowiek, wierząc, że nie inaczej w głębi ducha myślą sztaby generalne mocarstw światowych.

Dlatego pomimo oczywistej grozy sytuacji, mimo tysiąca pytajników zawisających codzień nad szpaltami gazet, letnicy opuszczali najspokojniej kamienne twierdze zwane miastami. A nerwowość wibrująca w powietrzu, niepewność, jaką naładowana była atmosfera, raczej dodawała tym planom uroku, posmaku niewiedzy i skrzydeł ryzyka.

Siedziałem na porębie leśnej w Bieszczadach. Daleko od ludzi, głęboko w górach Tucholszczyzny. W pełnej rozkoszy pierwszego tygodnia urlopu. Z obu stron widnokręgu dwa granatowe masywy szczytów górskich spływały ostro w kotlinę. W dole o kilkadziesiąt kroków połyskiwał nieruchomą taflą Opór, a jeszcze bliżej, o mały zbieg z poręby, o kilkanaście przeskoków po wykrotach drzew i krzakach malin, biegła linja kolejowa ku dawnej granicy węgierskiej.

Dróżnik i zawiadowca przystanku w jednej osobie wyczekiwał pociągu, który miał nadejść za kilkanaście minut, ja czekałem na kozła, który spał jeszcze w głębi lasu i dopiero po zachodzie słońca miał wyjść na polankę.

Niedawno dzwonki sygnalowe ogłosiły godzinę dwunastą. Drzemałem otulony ciszą, pogrążony w niepamiętnej na nic bezczynności. Nadeszła była ta właśnie chwila lipcowego południa, o której ludzie mówią, że ma w sobie coś niesamowitego. Upał pali wówczas łąki i więzi ludzkie oddechy, żar wciska się nawet w gęstwinę leśną. Zamilkła woda i las. Na całą przyrodę spada ciężarem cisza południa, daremnie dżdżu z nieba wołająca. Ledwie ją czasem przerwie daleki szypot potoku, lub dobiegnie do ucha monotonna kantylena pasikonika, skrzypiciela traw. A rozłogami lasu przechodzi boginka pól lipcowych, wieszczka skwaru letniego roznosząca udary słoneczne i grozę południa.

Zbudził mnie, jak to zwykł czynić od tygodnia pociąg. Zadudnił najpierw na dalekim moście, zmącił harmonję ciszy rytmicznym wydmuchem pary, a wreszcie niby szklisty zaskroniec z pośród traw, wysunął się z załomów wąwozu. Jakiś inny był dziś, niż zazwyczaj. Nie ów dobrotliwy posłaniec, pociąg-przyjaciel, który drapie się po górach mozolnie i otoczywszy się szarem przędziwem dymu, rozpowiada, stary gaduła, swoje odwieczne codzień inne i codzień te same nowiny. Dziś przebiegł stacyjkę nerwowo i groźnie. Zatruł ciszę leśną złym gwizdem na alarm. Darów żadnych nie przywiózł, ani gości z miasta. Już znikał na zakręcie, gdy z okna ostatniego wagonu wysunęła się dłoń jakaś i wyrzuciła na ziemię zmięty, wyczytany strzęp gazety. Jeszcze nie upadła w żwir, jeszcze jej nikt podnieść nie zdołał, a już pięć liter tytułu złały się w słowo i zaczęły krzyczeć sucho, drwiąco, nieodwołalnie: wojna!

Dróżnik i zawiadowca stacji w jednej osobie padł na kolana i począł modlić się wniebogłosy. Ja zaś znieruchomiałem od słodkiego parcia w piersiach. I jedna tylko myśl przedarła się przez próg świadomości, jedno westchnienie ulgi: nareszcie!

Nareszcie skończy się trumienny porządek starego świata, który nas nie chciał znać nawet z imienia!

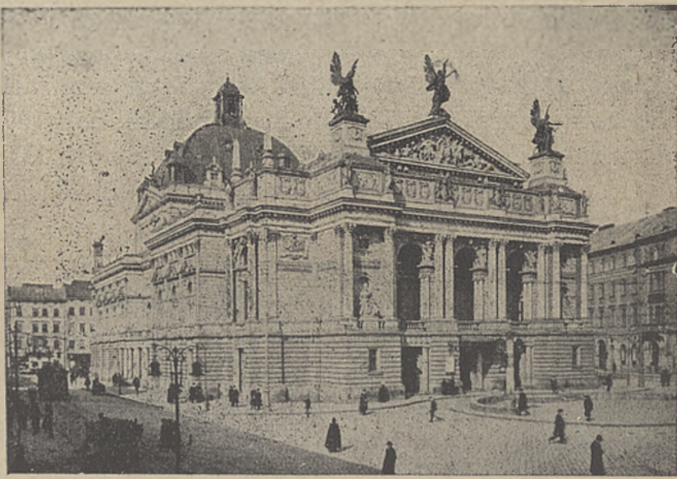
Nareszcie zachwiał się gmach Europy, na naszej krzywdzie zbudowany!

Jak konie rozbiegane pędziła myśl oszalała, skacząc po wszystkich możliwościach.

Dwie fale, dwie smugi doznań uderzały w mózg naprzemiany. Jedną była smuga nieopisanej radości, że już! Drugą drętwica strachu, zimna i porażająca: Co będzie z nami?

Bo właściwie cóż znaczy dziś to słowo: my? Nic nie znaczy. Nas przecież niema. O nas wogóle mówić nie można w formie osobowej. Można mówić o Serbach, Bułgarach, Carnogórcach, nie o nas. My nie jesteśmy stroną czynną-walczącą. Istniejemy tylko jako starannie pogrzebany mit, jako przedmiot łupu, jako teren, na którym jutro rozpocznie się wojna.

Posłuszni z woli własnej więźniowie zaborców czy



Teatr Wielki.

potrafimy podnieść dziś głowę tak wysoko, jak tego wielkość chwili wymaga? Czy też się nic nie zmieniło od chwili, gdy przed półwiekiem z ironją rozpaczy wołał Juljusz Słowacki:

Szli krzycząc! Polska! Polska! — Wtem, jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna
Szli dalej krzycząc: Boże! Ojczyzna! Ojczyzna!
Wtem Bóg z Mojżeszowego wychylił się krzaku
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?

Dopiero teraz po wybuchu wojny europejskiej paść mogła odpowiedź na to pytanie. Wyłożył ją donośnie, choć nie przez wszystkich jeszcze usłyszany głos polskiej komendy wojskowej. I powtórzono ją, na wszystkich polach ćwiczeń, gdzie zgłaszali się pod broń pierwsi żołnierze polscy. „Pluton! czwórkami naprzód marsz!" A w ślad za tupotem maszerujących nóg rozwinęła się w szeregach pieśń, hasło dnia: „ułani werbują, strzelcy maszerują, zaciągnę się".

Nazajutrz rano znalazłem się we Lwowie. Miasto wyglądało jak olbrzymie mrowisko, które ktoś raz po raz niepokoił. To rozgrzebywał je patykiem, to zlewał zimną wodą i ukropem ścinał na chwilę. Huczało entuzjazmem, przypominając sobie skrzydła zapału, to znów zaciskało pięści w bezsile, w niewiedzy w gorączce.

Jakżeśmy wdzięczni byli wówczas siwemu mundurowi, że nas od tej bolesnej rozterki, od zmagań i wątpień uchronił. Jacy szczęśliwi i ufni i pełni wiary w trafność wyboru.

Na błoniach janowskich ćwiczymy, ile sił starczy. Od 6-tej rano do południa. I popołudniu także. Więc niema czasu na żadne deliberacje.

Tam gdzieś daleko miasto, aż huczy od dociekań na temat najlepszej orjentacji. Wąskotorowcy trzymają z Austrją, szerokotorowcy opowiadają się przy Rosji.

I kiedy skończy się to wszystko? Czy za miesiąc najdalej, jak twierdzą optymiści, czy może, o zgrozo, przeciągnie się do późnej jesieni, zdaniem pesymistów. Bo przecież zimą nikt po doświadczeniach Napoleona, nie będzie ryzykował prowadzenia wojny! Niezawodnie jedna decydująca bitwa zaważy o wszystkiem i rozstrzygnie. Ale gdzie się odbędzie? Na którym froncie? Czy Francuzi wejdą do Berlina? Czy Warszawa będzie wolna? I kto ją oswobodzi?

My mamy zmartwienia zupełnie inne. Niema również zgody w szeregach, którą melodję wybrać do starej piosenki: Jak to na wojence ładnie. Szef kompanji Dunin tłumaczy przeto istotną różnicę między dwiema melodjami tej piosenki. Bo to widzicie obywatele, jedna z nich ma duże nogi. A druga cztery. Ta jest piechocka, tamta ułańska, bo do kroku konia. I przezabawnie pokazuje na piasku, jak śpiewa piechur, a jak ułan na siodle. Aż mu binokle spadają z nosa.

Z frontu najbliższego nadchodzą wieści złe, klęskowe. Chmara armji rosyjskiej prze i naciska na Lwów. Cofają się więc entuzjaści, górę bierze trzeźwość i praktyczna rozwaga i gdzie jest właściwie front nasz w tej chwili w wojnie i w czyim obozie Polska.

Na placu zbiórki głos wątpień nie dochodzi. A choćby doszedł, mamy swe własne drogowskazy, orjentacje i troski. Naszym drogowskazem niezawodnym jest marsowa lub uśmiechnięta mina plutonowego, naszą troską, by dobrze od prawego zachodzić, i nie dostać się po mustrze na godzinę pod karabin. Zaś orjentacja żołnierska wypisana jest na czole legitymacji żołnierskiej.

Szary, kilkunastostronicowy „Stan służby". W nagłówku okładki trzy hasła z wykrzyknikami. Najkonieczniejsze i nieodzowne przykazania żołnierza. Twarde przykazania. Trzy pojęcia się w nich mieszczą. Tak rzadko u nas spotykane, tak minimalnie szanowane. Wogóle skrajny jakiś romantyzm z nich wieje i nieosiągalność. Trzy słowa, którym dotąd sprzeciwiała się natura polska: **Ścisłość! Karność! Punktualność!**

I dziś też mimo upływu lat dwudziestu można te ekstatyczne słowa haftować na sztandarach jako program — program niełatwy do ziszczenia.

Wkrótce potem składamy przysięgę na sztandar. W kaplicy zakładu wychowawczego pani Strzałkowskiej przemawia do pierwszego w bój idącego zastępu lwowian biskup Bandurski.

Potem u mnie uroczystość domowa.

Bądź lepszym żołnierzem odemnie! — mówi z westchnieniem dziadek, który w oddziale Younga w roku 1863 nie wiele zdołał się prochu nawąchać, bo ich rozgromiono tuż zagranicą. Babunia wśród łez pokazuje mi słowa, które Mieczysław Romanowski, Tyrteusz wojny styczniowej, wpisał w jej sztandarach „na wychodnem 1 lutego". Nerwowym maczkiem napisał wtedy:

„Idziemy z wiarą w Boga i w naszą broń i w dobrą sprawę".

I my tak samo, babuniu, i my tak samo. Pod jednym jeszcze względem jesteśmy do tamtych żołnierzy styczniowych podobni. Jak oni idziemy w bój bez broni. Ledwie co piąty ma nowoczesny karabin w garści.

— A tamci, Boże, co zrobią tamci czterej? — pyta babunia.

— Będą je mieli jutro, zdobyte chociażby na Austryjakach.

Obeszło się jednak bez nocnej wyprawy na c. i k. arsenały, którą planowali zawadjacy-strzelcy. Panika, która nazajutrz ogarnęła szeregi austryjackie, sama otworzyła na ścieżaj arsenały, kto tylko chciał mógł sobie wybrać na cytadeli świetnie ostrzelaną broń najnowszego typu.

Ścisnęły się serca i zęby zagrzytały z wściekłości na wieść, że Lwów będzie oddany najeźdzy bez wystrzału.

— Lecz cóż was to może obchodzić? — strofowały nas orzełki na naszych maciejówkach. — Nie wasza rzecz. To tylko Austrja przegrywa wojnę z Rosją. Nasza wojna dopiero rozpoczęta.

I pojechaliśmy w ślad za tymi, którzy dnia 6-go sierpnia przekroczyli granicę Królestwa. W przededniu ewakuacji Lwowa był to jedyny pociąg, który opuszczał miasto z podniesioną głową. Bo wiodła go jasna świadomość celu i wiara zawzięta w przyszłość. Wiara w jutro, z twarzą Cezara, ogromne. Jechaliśmy do Oleandrów.

HALINA GÓRSKA

Święta Tereska bez róż

„Święta Tereska bez róż", z której wyjątek podajemy, jest częścią książki „Barak płonie", która ukaże się niedługo nakładem „Roju".

Więc jakże to było z Tereską? Jakże to było po raz pierwszy?

Wtedy kiedy Porczakowa, która nie była jeszcze wówczas „matką Tereski", ale poprostu — „Porczakową", poprosiła mnie o napisanie listu?

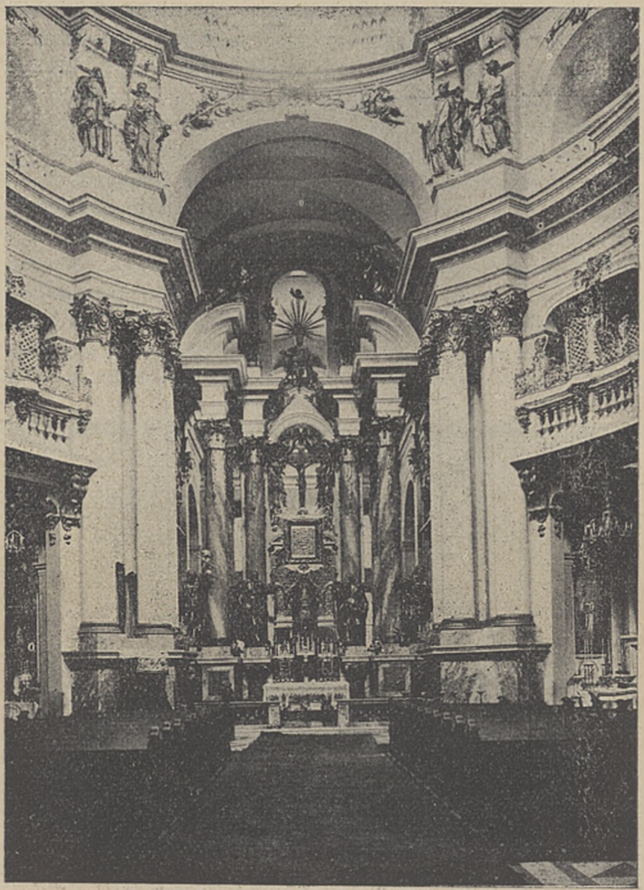
Nie. To było znacznie wcześniej.

Śmierć Jaśka?

Ale — co mogła mieć z tem wspólnego śmierć Jaśka?

— A jednak, pamiętam napewno, że to było tego właśnie dnia.

Leżał na łóżku taki uroczysty i sztywny w nowem ubranku i nowych (może pierwszych w życiu!) butach, a Kubasiowa siedziała przy nim na niskim stołeczku i zawodziła.



Wnętrze kościoła Dominikanów.

Zawodziła miarowo, sumiennie, tak jak się właśnie należy. Że na to go karmiła i „chowała" i że „ostatnią poduszkę" musiała sprzedać. A potem opowiadała, jak to się stało od samego początku. Bo jeszcze wczoraj wieczorem to myślała, że się chyba wszystko na dobre obróci, tak spokojnie zasnął. Ale w nocy obudziła się, patrzy, a tu światełko w lampie „tak chybocze, chybocze, jakby na niego kto dmuchał". A Jasiek rozpalony taki, że aż ten żar od niego bije, po pościeli się rzuca i jęczy. A potem nagle zacichł, zesztywniał i tak chrypieć zaczął, jakby kto na nim usiadł i dusił. Więc ona tylko krzyknęła i na korytarz po wodę. A tu, jak jej coś czarnego nie szurnie pod nogami! Więc odrazu wiedziała, że to śmierć.

A potem opowiedziała jeszcze, ile co będzie kosztowało i że trumna będzie biała z blaszanym wiankiem z niezabudek i że ten Żyd, co kupił od niej pierzynę i poduszkę, to ją napewno oszukał.

O samym Jaśku nie mówiła wcale.

Jakby sam Jasiek nie liczył się.

Jakby go wcale nie było.

Dzieci stały ciche i wystraszone i patrzyły w milczeniu na zmarłego brata (bo o Jaśku nie mówiło się już teraz zwyczajnie — Jasiek, ale „brat").

Światełko lampki naftowej migotało chwiejnie (może znowu na czyjąś śmierć). Ciężkie od wyziewów ludzkich i ostre od pleśni powietrze drapało w gardle. Szaro-zielony grzyb kwitł na ścianach.

Miałam tego dnia lekką gorączkę i dreszcze. Byłam śmiertelnie zmęczona. Więc może stąd owo dziwne otępienie i jeszcze dziwniejsza myśl, że to jest właśnie dobrze, że się o nim nie mówi. Że nie śmierć Jaśka jest ważna, ale biała trumienka i wianek. Bo jeżeli należycie wszystko rozważyć, jeżeli się należycie nad wszystkiem zastanowić, to czy tych pozostałych czworo, które przez osiem miesięcy w roku nie widzą słońca, nie umarło również? Czy nie pochowano ich w tej piwnicy i czy to nie czworo dzieci, lecz cztery rachityczne i krostowate trupki otaczają łóżko, na którem leży Jasiek?

Ale „obchód" nie skończył się jeszcze.

Więc wyrywam się z trudem z sennego odrętwienia, podnoszę się, zamykam za sobą (które to już dzisiaj z rzędu?...) drzwi i wchodzę w nieprzeniknioną ciemność i wilgotny chłód piwnicznego lochu.

Nie warto zapalać latarki.

Drzwi Minczelesów są naprzeciw, po drugiej jego stronie. Ale nikt nie odpowiada na moje pukanie.

Widocznie poszłam trochę zanadto na prawo i pukam do jakiejś piwnicy na węgiel.

Posuwam się na lewo — znowu cisza.

Sięgam do kieszeni po latarkę, ale nie znajduję jej. Druga kieszeń... torebka... tak — zapomniałam u Kubasiowej. Trzeba wrócić.

Natrafiam jednak znowu nie na mieszkanie Kubasiów, lecz na piwnicę, gdyż pukam napróżno.

Wołać? Mury są tutaj tak grube, że nikt nie usłyszy. Najlepiej znaleźć wyjście. Właściwie — dość już na dzisiaj tego „obchodu". Jestem zanadto zmęczona. Pójdę prosto przed siebie, trzymając się ściany, potem pięć schodków wgórę i drzwi.

Idę jednak widocznie w przeciwną stronę, bo wyjścia niema, tylko ślepa ściana.

A może nie szło się tak wprost, tylko gdzieś skręcało?

W prawo? Ale — gdzie jest właściwie prawa strona?

I nagle zaczyna mnie ogarniać wrażenie snu. Wstaję z łóżka, ale nie wiem, gdzie jestem. Chcę dotknąć rękami ściany, ale ściany niema, a łóżko zdaje się wisieć w czarnej próżni. Sprzęty zmieniły nagle swoje miejsce. Drzwi? Są może po prawej, a może po lewej stronie. Gdzie jednak jest prawa, a gdzie lewa strona? Napróżno skupiam uwagę. Stoję twarzą w twarz z ciemnością, ale czyż mogę wiedzieć, co jest poza nią? Drzwi? Gdzież są właściwie drzwi?! Wyjście? Gdzież jest właściwie wyjście?!

Nogi uginają się ze zmęczenia. Zimny pot oblewa ciało.

Nie denerwować się! Tylko się nie denerwować! Zatrzymać się i rozważyć wszystko.

Rozsądnie, spokojnie, dokładnie.

Jeżeli pójdę wzdłuż ściany i będę pukać systematycznie we wszystkie drzwi, nie opuszczając ani jednych, to wkońcu muszę przecież natrafić na jedno z rozrzuconych między piwnicami mieszkań!

Pierwsze drzwi — milczenie.

Drugie — milczenie.

Trzecie — milczenie.

Czwarte, piąte, dziesiąte...

Kiedy to śnił mi się taki sen? Taki sam właśnie? I to nie jeden raz, ale dziesiątki razy. Zawsze jednakowy, niczem nie dający się spłoszyć.

I nic nie pomagało, że przed zaśnięciem modliłam się wówczas: — Ukarz mnie Panie Boże, jak chcesz, tylko nie to — tylko nie te podziemia! Nigdy już nie przepiszę arytmetycznego zadania i nie będę jadła cały tydzień deseru i nie skończę czytać tej książki! Wszystko, Panie Boże, wszystko, co chcesz — tylko nie to!

Ale sen śnił się zawsze jednakowy, nieodegnany ani modlitwą, ani pokutą.

Spoczątku wznosiłam się zwykle w powietrze.

Swobodnie, lekko, bez wysiłku.

Ale niesprawiało mi to wcale przyjemności, bo przecież pamiętałam dobrze z poprzedniego snu, jak się to skończy.

Powoli na dole zaczynali się gromadzić o n i — n i e p r z y j a c i e l e.

A ja nie mogłam utrzymać się ciągle na takiej wysokości, która zapewniała mi bezpieczeństwo, bo od czasu do czasu moja zdolność wznoszenia się opuszczała mnie i wówczas opadałam tak nisko, że t a m c i mogli mnie z łatwością schwytać.

Tamtych gromadziły się coraz większe tłumy. Były ich nieprzeliczone mrowia, a z każdą chwilą przybywało ich więcej i więcej. A ja opadałam coraz niżej, tak nisko, że już, już mogli mnie dosięgnąć ręką.

I przy każdem takiem opadnięciu, które było tem gwałtowniejsze, im wyżej udało mi się wzbić, wydawało mi się, że ktoś dotyka mego serca miękkiem, nieprzyjemnie łaskoczącem piórkiem...

Zbierałam więc wszystkie siły i oto wzbijałam się znowu wgórę, wzbijałam się tak wysoko, że nieprzyjaciele znikali mi z oczu.

Szybowałam pewnie i prosto nad pustem polem w nocy. Prułam powietrze, jak ptak w pędzie wichru!

Nie mogłam się jednak z tego cieszyć, bo pamiętałam przecież dobrze z poprzedniego snu, że teraz właśnie nastąpi to najgorsze.

I nagle z przerażającą szybkością zaczynałam spadać wdół. Gdybym mogła krzyknąć i obudzić się, byłabym uratowana. Wiedziałam o tem. Ale nie mogłam krzyknąć.

Spadałam głęboko, coraz głębiej — w podziemia.

Grobowiec. Jeden obok drugiego, jeden obok drugiego. I wyjść stąd już nie można, bo jest to przecież labirynt (ten z „Faraona"). Chyba, że się natrafi na takie drzwi, które (gdy zapukać w nie) zwolna obracają się i otwierają.

Ale — pukać?! Pukać do drzwi grobów?!

Kiedy w gruncie rzeczy nie wiadomo przecież, czy ci umarli są naprawdę umarli, czy też przyczaili się tam tylko i czekają — czekają właśnie na to pukanie?!

Czy naprawdę nie można znaleźć wyjścia samemu? Czy naprawdę nie można bez ich pomocy?!

Ale ciemne korytarze krzyżują się ze sobą i plączą w nieskończoność.

Więc dobrze. Tylko cicho, tak cicho, by nie obudzić tamtych, a jednocześnie dość mocno, by drzwi obróciły się.

Ale od których zacząć? Tych z prawej, czy tych z lewej strony? I gdzie jest właściwie prawa, a gdzie lewa strona?

Nogi uginają się ze zmęczenia. Zimny pot oblewa ciało. Nie denerwować się! Tylko się nie denerwować!

Zatrzymać się i rozważyć wszystko. Rozsądnie, spokojnie, dokładnie.

Jeżeli pójdę wzdłuż ściany i będę pukać systematycznie we wszystkie drzwi, nie opuszczając ani jednych, to muszę przecież wkońcu natrafić na właściwe!

Pierwsze drzwi — milczenie.

Drugie — milczenie.

Trzecie — milczenie.

Czwarte, piąte, dziesiąte...

I oto cicho, niemal bez skrzypnięcia drzwi otwierają się.

I tego nie było jeszcze nigdy we śnie, tego nie można sobie już przypomnieć.

W drzwiach staje Tereska.

(O tem jednak dowiedziałam się znacznie później, wtedy nie była to jeszcze Tereska).

Trzymała w ręku naftową lampkę, oświetlającą tylko jej głowę, poza nią bowiem w izbie i przed nią w korytarzu panowała zupełna ciemność.

Wtedy więc była to jeszcze tylko główka. Główka, wisząca w ciemnościach, daleka główka z jakiegoś obrazu, otoczona jasną aureolą owijających ją złotych warkoczy, nawpół dziewczęca, nawpół dziecięca jeszcze.

I ta szczególna, niemal przeźroczysta białość twarzy i dziwny, jakgdyby prześwietlony od wewnątrz, błękit oczu, a nadewszystko — usta. Usta bliskie i boleśnie dalekie zarazem, usta, które nie umieją się skarżyć, ani nienawidzieć, ani kochać. Usta nie zaciśnięte, lecz zamknięte.

Usta, które milczą.

Gdzież to właściwie widziałam taki obraz i taką pod nim płonącą lamkę i jeszcze — róże?

Nie. Róż tutaj przecież niema.

Róż — nie!

Ale lampka trzymana drobną dziewczęcą ręką wznosi się i teraz jest to już cała smukła i wiotka dziewczynka. Może mieć czternaście, najwyżej piętnaście lat.

— Pani pewnie zabłądziła? Wyjście? To tu.

Rzeczywiście... Mój Boże! Stoję przecież tuż obok niego!

Ulica. Przez mur sąsiedniego ogrodu zwieszają się gałęzie kwitnących kasztanów. Zapadający zmierzch mógłby być równie dobrze świtem.

Sen gaśnie jak zdmuchnięta lampa.

LEON CHWISTEK

Obrona zdrowego rozsądku

(Końcowy ustęp z II-go rozdziału „Wstępu do logiki", który ukaże się na jesieni nakładem „Książnicy - Atlas").

Odgraniczenie życia codziennego od przeżyć wyjątkowych i zdarzeń niesamowitych nie da się ściśle przeprowadzić. Niema takiej dziedziny życia codziennego, w którą nie zakradłoby się niekiedy obłędne przerażenie, lub szał lekkomyślny. Nawet tak proste zadanie, jak to, które ma przed sobą buchalter sumujący kolumny cyfr, może przybrać charakter demonicznej grozy i rozpasanego bezprawia. Dzieje się to wtedy, kiedy za każdym razem wypada co innego i na żaden sposób nie można rachunków uzgodnić. Może wówczas narzucić się nam wątpliwość, czy to wogóle jest możliwe, czy niema jakiejś tajemniczej siły, która miesza nam szyki i wtedy przenosimy się w zupełnie inną rzeczywistość przeżyć osobistych, wyobrażeń i wizyj, która wyprowadza nas daleko poza życie codzienne.

Naogół nie pozostajemy długo poza codziennością. Odwołujemy się do pomocy naszych znajomych i tak już jest, że ci umieją wyprowadzić nas z takich sytuacyj. Jeśli im się to nie uda, uznają nas za obłąkanych i umieszczają nas w sanatorjach. Jest jasne, że w tym wypadku nie myślimy wcale o tem, że oni mają rację. Przeciwnie przychodzimy do przekonania, że rzeczywistość, z którą się liczą, jest ochłapem niegodnym jednego spojrzenia. Na argument, że bez liczenia się z rzeczywistością codzienną nie potrafimy długo utrzymać się przy życiu, odpowiedź jest prosta: — Poco utrzymywać się przy życiu? Lepiej jest przeżyć naprawdę jeden dzień, niż oszukiwać się przez czas długi. Baty wymierzone pyrroniście molierowskiemu poskutkowały tylko dlatego, że był to poprostu blagier. W wypadku obłędu lub ekstatycznego natchnienia są jak wiadomo zupełnie bezskuteczne.

Jeśli nie mamy sposobu przekonania przemęczonego buchaltera o poprawności tabliczki mnożenia, to jednak niema powodu, dla którego mielibyśmy liczyć się z jego wątpliwościami.

Sprawy te byłyby niepokojące tylko w tym wypadku, gdybyśmy chcieli uważać kryterja zdrowego rozsądku za źródło prawdy absolutnej. Jeśli jednak zgodzimy się na to, że zdrowy rozsądek jest jedyną deską ratunku, na której możemy się schronić przed dowolnem tworzeniem fikcji pozującej na prawdę (the making of truth), to nie pozostaje nam nic innego jak pocieszyć się myślą, że po niesamowitej nocy przepełnionej obłędem i strachem nastąpi dzień, który przyniesie ze sobą powrót zdrowego rozsądku. Jeśli ten powrót nigdy nie nastąpi i jeśli cała ludzkość znajdzie się w temsamem położeniu, to wtedy cały nasz dzisiejszy wysiłek będzie stracony. Ale tosamo stanie się, jeśli n. p. nastąpi jakaś wielka katastrofa kosmiczna. Przeciwstawiać takim zdarzeniom wiarę w idealne istnienie idej i prawd idealnych t. j. mniejwięcej taksamo, jak śpiewać rozgrymaszonemu dziecku piosenki lub opowiadać bajeczki.



Cerkiew św. Jura. Rokoko lwowskie.

Można na to powiedzieć, że może właśnie takie piosenki i bajeczki są jedynem wyjściem z sytuacji, bo do takiego stanowiska sprowadza się właściwie teorja Jamesa i F. C. Schillera.

Można protestować głośno przeciw nudzie i nieznośnej niewoli narzuconej nam przez zdrowy rozsądek. Rudolf Eucken przeciwstawiając Arystotelesa Platonowi pisze:

„Z tym zanikiem religji odpada serdeczność duszy i ponad światowa wielkość ducha Platona. Życie otrzymuje węższe granice a jego ton uczuciowy staje się trzeźwiejszy".

A przecież lektura Arystotelesa może być i tak uważana za rodzaj narkotyku w porównaniu z tem, czego dostarcza nam zdrowy rozsądek i logika na nim oparta.

Jeśli porównamy proste i naiwne nieraz prawdy zawarte w dziełach Hume'a lub Macha z wzlotami fantazji Platona, Plotina, Origenesa, Spinozy, Hegla, Schellinga, Schopenhauera, Nietzschego lub Lwa Szestowa, to wydawać nam się może, że katarynce podwórzowej przeciwstawiają się srebrne trąby archaniołów i samo zestawienie tych dwu światów może nas pobudzić do śmiechu. Ale wtedy nasunąć się może refleksja, czy nie lepszy jest nastrój zrodzony przez prawdziwą katarynkę od zakłamanego patosu statystów operowych, przebranych za archaniołów. Kto daje nam gwarancję, że te właśnie wzloty fantazji genjuszów nie są czemś podobnem do przedstawienia Pierścienia Nibelungów, kiedy to zamiast prawdziwych bohaterów występują chuderlawe aktory, z przekrzyczanemi po części głosami a papierowe drzewa zerkają ironicznie na rozbuchanego dyrygenta orkiestry? A jeszcze do tego cała potęga wagnerowskiej muzyki jest dla publiczności niezrozumiałym hałasem a dla tych nielicznych, którzy ją rozumieją, jest już dzisiaj przeżytkiem i niezrozumiałym banałem. Przykład ten zaczerpnąłem od Lwa Tołstoja. Muszę wyznać, że do zrozumienia go potrzebowałem pracy długotrwałej, gdyż sugestja wysokiego patosu działała na mnie z wielką siłą. — Sugestja artystyczna jest potęgą, która decyduje w atmosferze umysłowej społeczeństw. Posiada ona niewątpliwie wiele stron dodatnich, gdyż czyni życie zajmującem i pełnem uroku. Prowadzi jednak zbyt często do ciężkich zbrodni, a kiedy działać przestanie, pozostawia niesmak i obrzydzenie.

Ten właśnie stan rzeczy pochodzi z czasów pierwotnych, kiedyto kryterja moralne i kryterja artystyczne mieszały się z kryterjami prawdy, produkując zawiły splot przekonań, który nazywamy naturalnym poglądem na świat. Nadto można powiedzieć, że lepiej jest poddać się wzniosłym złudzeniom, choćby nawet miały nam grozić gorzkie zawody, niż od samego początku poprzestawać na małem i skazywać się w ten sposób na życie w ciasnem kole myśli prostych i banalnych. Po tem, co powiedzieliśmy wyżej łatwo jest dać sobie radę z tą objekcją.

Rzeczywistość, w której żyjemy jest czemś zasadniczo różnem od prawdy. Bogactwo życia wewnętrznego nie wyklucza wcale prostych i skromnych kryterjów rozumowania. Z tego, że w budowie podstaw naszej nauki nie chcemy się liczyć z interwencją Boga, nie wynika wcale, żebyśmy mieli rezygnować z tęsknoty za istotą wyższą od nas, która potrafi zrozumieć nas do głębi. Powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę, iż z tego faktu, że odczuwamy taką tęsknotę, nie możemy wyprowadzić żadnych konsekwencyj i że jest to tylko sprawa naszego przeżycia. Ograniczenie się do kryterjów zdrowego rozsądku nie jest wcale synonimem zrezygnowania z wizji i marzenia. Właśnie dzięki temu, że posiadamy jasne kryterja analizy, możemy zapuszczać się w świat najniebezpieczniejszych urojeń, bez obawy wewnętrznego zamętu. Poprostu dlatego, że dzięki tym kryterjom nie będziemy chcieli wyciągać z tego co się dzieje w marzeniu i wizji konsekwencyj społecznych.

Badania współczesne wykazały, że takie hipotezy jak liczby nieskończenie małe, eter lub nieskończona aktualność Cantora, jakkolwiek zrodziły się z fantazji, przekraczającej granice zdrowego rozsądku, to jednak twórcza ich rola polegała właśnie na tem, że to co w nich było istotnie wartościowe, dało się wciągnąć w system nauki oparty na zdrowym rozsądku.

O takiej mechanizacji nauki i życia, którąby przekreślała radykalnie fantazję twórczą i myśli nabrzmiałe przeczuciem ciemnem i niepokojącem, nikt na serjo myśleć nie może, a obawy formułowane przez niektórych filozofów są naprawdę politowania godne. Jeszcze zabawniejsza jest trwoga przed zanikiem przesądów, zupełnem odbarwieniem życia i zamienieniem go w nędzną wegetację. Przesądów nigdy nie braknie, bo na trupach przesądów starych rodzą się w naszych czasach przesądy o wiele groźniejsze, a zarazem pełne podziwu godnej wzniosłości. Niema też obawy, żeby mechanizacja życia posunęła się kiedykolwiek zbyt daleko. Rzekoma mechanizacja życia za naszych czasów jest typowem perspektywicznem złudzeniem. Jestem pewny, że dzisiejszy urzędnik pocztowy w prowincjonalnej mieścinie ma życie bez porównania bardziej urozmaicone niż dawny magnat, siedzący kamieniem na swoim zamku. Co ciekawsze, w wielu wypadkach posiada o wiele większą bujność temperamentu i nieraz równie dziką namiętność. — Najzabawniejsze jest to, że najgorętszymi obrońcami indywidualizmu są ludzie, o których można z góry powiedzieć, co będą robili w ciągu dnia w okresie kilku najbliższych miesięcy. Takich przykładów możnaby wymienić bardzo wiele. Dodam tylko, że do tejsamej kategorji należy obawa przed zanikiem pokarmów organicznych, występująca w okresie, kiedy te rzeczy niszczy się masowo, a olbrzymia większość ludzi przymiera głodem.

Całe to nieporozumienie wzięło się z braku radykalnej krytyki, opartej na zdrowym rozsądku i jest podyktowane przez tę złośliwą potęgę, drzemiącą na dnie organizmu ludzkiego, którą Nietzsche nazywał duchem ciężkości.

Jest pewne, że gdybyśmy n. p. wykastrowali prawie całą ludzkość, jak tego zdają się pragnąć członkowie towarzystw eugenicznych, to wtedy mogłyby zajść zmiany naprawdę niepokojące. Ale trzeba powiedzieć wyraźnie, że wszystkie takie pomysły są produktem irracjonalnej metafizyki i braku krytycyzmu. Właśnie dlatego, żeby ochronić ludzkość od takich wybryków przerafinowanego intelektualizmu, potrzebna jest obrona zdrowego rozsądku i opartej na nim logiki. Właśnie dlatego potrzebna jest bezlitosna krytyka przesądów, prowadzona z konsekwentnym uporem przy pomocy tych wszystkich środków, jakiemi rozporządzamy. Myślę, że wielkość celu zapłaci stokrotnie trud poniesiony.

Nie mogę taić, że trud ten jest bardzo wielki, a wyniki uzyskane wydają się w stosunku do niego i tak zbyt nikłe. Ale taki już jest los każdej pracy ludzkiej. Biada temu, kto nie zechce pogodzić się z tem wielkiem prawem życia.

W najbliższych tygodniach ukaże się na półkach księgarskich tom nowel psychoanalitycznych

Marjana Promińskiego

p. t.

Róże w betonie

BIBLJOTEKA SYGNAŁÓW

Skład główny: Dom Książki Polskiej S. A. w Warszawie

Cena 4 Zł.

ANNA KOWALSKA

BUK WERGILJAŃSKI

Czasem znajduję się w snobistycznem kole dostojnych i bardzo ważnych cedzisłówek. Wszyscy są doskonale znudzeni i wytwornie obojętni. Gdy wchodzi jeden z rozdzielców łask ministerjalnych, lub jego żona, ożywiają się na chwilę, by zaraz zapaść w osłupienie. Wtedy ratuję jako tako resztki godności i mówię sobie: niema was.

Ale kiedyindziej mówię z ulgą radosnego wykrzyknika, jakim człowiek wita odnalezienie szukanej, drogiej rzeczy: jesteście. Widzę ludzi udałych, żywych, niezalatujących padliną. Widzę udałe drzewa i pracę. I wzmacniam jakby ich istnienie okrzykiem: jesteście, naprawdę istniejecie! A za chwilę myślę: czy naprawdę istniejecie? Czy nie jest już wszystko sfałszowane? Czy nawet drzewa nie...

W górze ulicy Świętej Zofji, koło kościółka rosną stare buki. Wspominają o nich podręczniki geografji.

Jasno popielata kora, ciepła, jak skóra zdrowego, szlachetnego zwierzęcia, gładko obciska naprężone, silne pnie. Swobodne, krągłe konary rozchylają się miękkim ruchem i obejmują lśniące sklepienie liści.

Znam je i tysiące ludzi je zna. Czasem przechodzi koło nich stary, chory filozof, służąca z torbą, dziecko wracające ze szkoły: podniosą głowy, nabiorą w oczy urody, która odziewa te buki, przemyją źrenice ich pięknem, jak czarodziejską wodą z bajki, i idą dalej.

Znam te buki. Pamiętam je, poczerniałe od deszczu listopadowego, szkliste od mrozów lutego, pochnące różowemi pąkami w kwietniu. Rudo jarzące w słońcu jesiennem rzucały iluminację na moje przechadzki. Ale, jak inni przechodnie, szłam dalej.

Hieratyczne buki dostępują zaszczytu wzmianki w podręcznikach, ale jakiejś zimy zemrą, znikną z pagórka i z podręczników. Na nic cała ich piękność. Piękność nie zbawia. I tak samo we mnie niepotrzebne jest to, co buntuje się przeciw zagładzie czegoś, co tak jest piękne. Są we mnie takie chwile kołysania się razem z drzewami, że gdyby siekiera uderzyła w popielaty pień buku, chwyciłabym się za serce. Rzeczy nie chcą się kończyć w nas, nie dają się nawet siekierą wyrąbać z trwania. Urzekła nas tajemnica istnienia naplątanego w piękny rysunek jakiemś drgnieniem przypadkowem. To ona zatrwożonych bezcelowością i mijaniem przeprowadza przez ucho igielne rajów; ona też wysyła aniołów stróżów na kładki codziennych lęków.

Na początku była samotność, i w niej słowo stało się sztuką magiczną. Przerażony człowiek śpiewał w pustce i przechytrzał



Byłe Kolegjum Pijarów. Klasycyzm lwowski.

strach i pustkę. Zuchwale śpiewał, że nie jest samotny ani przerażony. Chwalił Imię i Tajemnicę, zasłyszane na górach niedostępnych, jakby dotrzymywał umów tajemnych. Chwalił świat i potrząsał nad nim słowem, a ze słów budował nad ziemią inny świat, który, jak chmura, zawisł nad nią. Nie straszyło go już mijanie i niszczenie. Był tylko przechodniem między ziemią a ową chmurą mocnych i skutecznych słów. Jak pająk, wysnuwał nić z litanij i aktów strzelistych i zarzucał ją nad próżnią. Oddawał się pod opiekę psalmu i nie znał trwogi.

Potem, przez wieki, gorliwi miłośnicy rzeczy nie do zdobycia, fanatycy wizyj i męczeństwa, zimni samotnicy, oddani gorzkiej rozkoszy rozważania, zakreślali najchciwszem i najśmielszem ze spojrzeń granice niekończeniu się chwili. Najśmielsze ze spojrzeń stało się najśmielszem ze słów: modlitwą. Tak rozrastały się granice państwa słowa. Nie odpowiadało zza nich nic i żaden głos nie sprzeciwiał się wdzieraniu się słowa poza dosięg światła kosmicznego, które oprósza skraje tajemnicy. A słowo modlitwy wybiega jeszcze i za te rogatki. Jaką dumną rzeczą jest modlitwa! Jeszcze każda wieś świata miała osobnych bajbajów na swoim partykularzu, kiedy modlitwa rzuciła kable za dalekie wody nieba. Założyła państwo słowa, obmurowała je traktatami i homeljami, upiększyła naiwną pracą maluczkich i pychą kamiennych, niezamieszkałych pałaców. Bo i zygzak wyskrobany krzemieniem na gliniaku i jońska ślimacznica stały się gadulstwem ruchu, którym człowiek najpierw odpychał śmierć od ciała. Gdy śmierć cofnęła się przed kamieniem, ruch wydłużał się w strzałę. Ale najdalej odpędził śmierć głos przemawiający w zaświaty.

Tym, którzy przestawali się modlić, słowa stałyby się takie małe i liche, gdyby w każdej wsi świata nie siedzieli od początku garncarze słów okrągłych i polewanych. Poeci przemycili tajemnice magji i zaczęli stwarzać świat pokryjomu. Z płynnych iloczasów, z dobranych słów powstawali ludzie, kraje, rzeki i drzewa. Ulepili je ze słów ludzie ułomni i niewojenni, którym przepuszczono życie, ażeby lepili słowa i garnki, pasali trzody askrejskie i mędrkowali dzieciom. Oni to wymyślili świat piękniejszy od ludziego, świat zjawiający się na przypomnienie; a im dalsze przypomnienie, tem świat usłużniejszy tęsknotom.

Oprócz lasów, po których chodzimy, i jezior, nad któremi przystajemy, otrzymujemy, w dziedzictwie przypomnienia, rozłożyste buki Wergilego, omszone dęby z Luizjany Whitmana, jarzębiny i świerki naszych poetów. Pod temi drzewami spotykają się ludzie jednej flory myślowej, i rozpoznają się, jako krajanie.

Doskonałość formy, morał kanonu szkolnego, ciężar historji, czy fala mody żłobią w szeroki gościniec drogi i drożki, któremi przemykali się poeci. Szelest trawki, która chwieje się do rytmu Teokryta, rozlewa się echem w tysiącach tysięcy mózgów i ocalony jest na tysiąclecia. Sens tego nieważnego chwiania zagubił się w świecie nowych wymiarów, ale bezsensowne piękne trawki teokrytejskie pozostały na rejestrze słowa. Skały wietrzeją, ale ludzie je rozsadzają, a niewola słów jest niezwyciężona. Okopaliśmy w nich zapas myśli człowieka przedhistorycznego. Słowa wgryzły się w rzeczy i trudniej jest je z nich wypędzić, niż tyranów przyrdzewiałych do władania.

Idąc ulicą Świętej Zofji pod bukami, zaszłam w aleję buków za Żelazną Wodą i usiadłam na ławce sub tegmine fagi. Wiało na mnie myślami i wyrazami, które powtarzają się zbyt łatwo, trwają niepotrzebnie i zbyt długo. Kiedy wracałam, zobaczyłam coś, co bukom Świętej Zofji odebrało ich natrętną mitologję i rozerwało na nich gorset historji szkolnej.

Pod stromą górę pcha węglarz taczki. Na zapadłych policzkach strumyki potu płyną po pyle węglowym. Na taczkach trochę węgla i drzewa. Różowią się polana bukowe. Węglarz spogląda na piękne buki. Właśnie po ich szczytach przeszumiał wiatr. Niebieskie oczy człowieka wydają się białe w czarnej twarzy. Wyciągnął szyję, by złapać trochę wiatru spływającego z buków. Nie odbije mu się cytata, jak niestrawione żarcie, bo należy do tych, co nie dziedziczą dóbr poezji. Porąbałby spokojnie buk wergiljański, nie wiedząc, że to buk inny od reszty. Dwadzieścia groszy od przyniesienia centnara. I któż z nieuwiedzionych słowami nie podałby mu na plecy ciężaru?

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

WSPOMNIENIE

Małego chłopca, Ojciec mój oddał mnie z domu
Na pensję w mieście. Było to pewnej jesieni.
Gdym wreszcie pojął, że już nic się nie odmieni,
Gorżkie łzy ocierałem z twarzy pokryjomu.

Kiedy się ze mną potem żegnał w chłodnej sieni,
Wśród obcych, dodał: „Bądź zdrów, nie czyń tu nikomu
Zawodu, a nam wstydu". — Mój wzrok wśród pogromu
Dotrzymał tym, co stali wkrąg zaciekawieni, —

A chwyciwszy za rękaw Ojca, powiedziałem:
„Coś jeszcze Tatku... jeszcze coś..." lecz tylko tyle
Mogłem wyrzec... Zrozumiał mnie jednak. — Widziałem.

Do dziś tem samem „jeszcze czemś", ani na chwilę
Niezmienionem, domowi memu zrozumiałem
Tylko i wam najbliżsi, żyjąc, — dróg nie zmylę.

EDWIN JĘDRKIEWICZ

OGROMNE PŁACHTY ZŁOTA

Ogromne płachty złota,
płachty stężałej purpury,
niebo bez końca i granic,
przepadłe w sinościach góry.

Od rzedniejącej gąszczy
bukowych gałęzi, z wysoka,
plamami rdzawemi, krwawemi
las pisze na wodzie potoka.

W pajęczyn białej przędzy
świeci kiść źrałej jarzębiny.
Bronzowym liściem
zamiata wiatr górskie ścieżyny.

A po nich, przysłaniająca
przymknięte oczy wierzchem dłoni,
nadchodzi jesień lotna
jak bezmiar powietrznej toni.

W mgle dalekiego uśmiechu,
przez białe ścieżyn zakosy
sunie milcząca, pachnąca
i ma we włosach wrzosy.

JERZY KOWALSKI

ROZMOWA Z KULTURĄ

— 19-34!

— Komunikacja przerwana! — mruknęła nekrologicznie urzędniczka przy zatyczkach.

Prędko, prędko! Test reakcji doraźnej! Pyk, wyłączone. Innym razem. Kalendarzyk jest w szufladzie.

Przysiad widełków, droga pani, przy zatyczkach zmartwychwstaje. Wstydliwie mówię do słuchawki:

— 56-94!

— 56-94?

— Poproszę.

Szurr. Klik. W słuchawce odzywa się głos monumentalny, choć chwilowo zaspany:

— Kto mówi?

JA. Któżby? Czy przerwałem pani drzemkę?

— Jaką drzemkę? — wydławia głos monumentalny. Drzemka! Cóż to za wymiary dla jego zaspania! Jakiś sen stuleci, nie drzemka! I znowu:

— Ale kto mówi?

Rozglądam się nerwowo po pokoju: nikogo, tylko ja i mucha, bzykająca na oknie, jak słuchawka nieodebrana po tamtej stronie (któż tam się nie zgłasza? Ale tu? Jest. Trzeba ją przyszpilić, moją muchę. Muchę monumentalną).

Zakwiliłem do słuchawki:

— To ja: Ko-wal-ski!

Nie pojmuję? Ścięło ją w lód? Zamroziło, jak kapitał?

Impertynencko ogromnieję, zgłoskuję wielkim alfabetem:

— KO-WAL-SKI!

Milczenie, które trzeba rozgryść natychmiast. Cierpną mi zęby. W oczach mam neony. A mimoto jestem bezczelny.

— Muszę z panią mówić. Już idę, aha?

I zawiesiłem słuchawkę. Kto czeka na odmowę, zasługuje na nią.

Pragnę przygotować nieuków (rzadkich zresztą w tych niegenjalnych czasach) na wywiad z Kulturą. Łączy się z nią znajomość, mogę powiedzieć. rodzinna: nie dająca się zerwać, a dolegliwa, jak rodzina. Znamy się od dziecka: mówię o sobie, choć podobno i Kultura była niegdyś dzieckiem; zwierzyła mi się z tego. Niebardzo lubię zwierzenia, ale przy dobrej znajomości nie da się temu zapobiec. Dowiedziałem się przytem, czem ona nie była (i nie jest; bo ta gramatyka istnieje tylko dla nas, nie dla niej): kulturą cesarstwa, różnych republik, kulturą społeczną, religijną i, w tem jest sęk, literacką. Wszędzie wlazła! — Nawet



Były kościół Karmelitanek. Empire lwowski.

rynsztoczek może mieć swoją kulturę! — powiada: — Nikt mi nie ucieknie! — Piękny rys sentymentalności!

Czuję się w prawie przedstawić ją społeczeństwu. Jest to dama starsza, spracowana. Oczy ma oświecające, wstawione z kawałkiem ołowiu z tyłu w głowie: do otwierania i zamykania, na zarządzenie ministerstwa. Włosy Kultury są rzadkie, jak wszystko, co jest drogocenne; są to włosy najważniejsze, wiekopomne, nie wolno za nie ciągnąć Kultury. Ułożone synchronistycznie: osobno puszki niemowlęce, osobno przygolone cebulki z epoki faraonów, osobno kołtuny z epoki marjawitów: bo w kulturze nic się nie zatraca i wszystko jest do sprawdzenia według epok. Włosy z ostatnich czasów stoją Kulturze dębem. Zmarszczki na jej czole pochodzą z Plisowni Dziejowej. Zębów nie ma, bo Kultura nie gryzie, chociaż trawi.

Dokoła głowy ma wianek z zasuszonych sław naukowych. W prawej ręce trzyma uniwersytet Jagielloński, a w lewej skalp największego chama stulecia i zakały kultury, Lawrence'a. Chociaż jest monumentem, nie naśladuje nudyzmu pomnikowego. Owszem, na pamiątkę lepszych czasów, nosi secesyjną suknię w trójkąty (z przekątnią do kwadratu).

Lubi w podeszłym wieku zasiadać: w jury literackich, w sądach honorowych, akademjach i na katedrach. Jej postawa dziejowa jest jednak stojąca. Ze względu na swoją monumentalność, Kultura stoi wsparta na podporach. Podpory Kultury są uzbrojone w odczyty i pukawki prasowe, któremi odpierają ataki zdziczenia, śmierdzącego chamstwa, barbarzyństwa powojennego, i niepohamowanego nowatorstwa.

Właściwości kształcące Kultury objawiają się zrazu w sposób dość elementarny. Gdy kto pierwszy raz z nią mówi, Kultura wymawia dobitnie i cierpliwie, jakby rozrabiała papkę w zębach (ale ich nie ma): A a. Kto się nie zraża tym początkiem i wytrwa aż do zet, dostaje posadę na poczcie. Na wyższym kursie Kultura rozmawia już o wszystkiem, jak encyklopedja. Wtedy rozdaje stopnie doktorskie, równie popędliwie, jak odbiera za nie policzki.

Znaliśmy się od dzieciństwa, a zawsze dręczyło mię pytanie, czy Kultura ludzi kulturalnych jest i moją Kulturą i jaka to więc jest ta Kultura, hopkająca na końcu języka.

Może wyrazy znaczą więcej, niż rzeczy? Mają jakiś początkowy kurs pożyczki państwowej? Albo może ludzie wmawiają w siebie wyrazy? Jestem podejrzliwy wobec wyrazów i każdy z nich naciskam jak bułkę, zanim włożę ją w zęby. Są wyrazy za duże na moje usta. Są wyrazy zawstydzające. Wyraz k u l t u r a mię zawstydza. Zaczyna się nim konkurs na rumieńce, i już jest takie stopniowanie: stopień równy: kulturalny: stopień wyższy: wytworny; stopień najwyższy: arystokratyczny. Brr, lepiej nie ruszać do takiego startu.

I jak to poznać? Każdy jest djabelnie kulturalny, ma ten towar u siebie na składzie. Ilu jest przez pomyłkę kulturalnych? Na przykład, w ten sposób: mówisz kochasiu, nie o sobie, broń Boże, ale o kulturalnym człowieku: — jaki to kulturalny człowiek! — Nie poznałeś się na nim? A jak? Bo sam jesteś kulturalny! Słowem, błędne koło i odmiana kultury przez wszystkie osoby. I co mię jeszcze dręczy: kto nie broni kultury? Wszyscy. A kto upoważnia? A coby sama Kultura na to powiedziała, gdyby mogła mówić o sobie? Ale znowu: jestże kulturalnie, mówić o sobie?

Takie pytania dręczą, więc wybrałem się do Kultury na wywiad, niebardzo logicznie, bo co może wyniknąć z takiego kulturalnego gadania z Kulturą o kulturze?

Stara znajomość uprawnia do pewnej poufałości.

— Moje dziecko, — powiedziałem staruszce — czy nie pamiętasz, kiedy się urodziłaś? Przypomnij sobie, kiedy ssałaś swoją nogę!

Kultura rzuciła głową, aż sławy naukowe, które opasały ją wieńcem nieśmiertelnym, zagrzechotały, jak wyschłe makówki.

— Dość już ssania! Mam kilka tysięcy lat i o niczem innem nie słyszę, jak tylko o mojej kolebce, o świcie kultury, o zaraniu kultury. Wszystko to wyssane z palca! Popatrz tylko na moje podpory!

Istotnie, podpory Kultury zajęte były ssaniem własnych palców. Pod siwemi brodami miały poplamione grysikiem śliniaczki. Czarne okulary przyciemniały ich niemowlęce spojrzenia.

— Moje dziecko, nie trzeba się wstydzić smoczka! — powiedziałem. Niejeden wielki żywot wykarmił się na smoczku. Ale przejdźmy do pierwszych szczebiotów. Któż ci nucił kołysankę? Czy byłaś muzykalna w pieluszkach?

— Radzę nie zaglądać mi do pieluszek.

— Słowo daję, uszy więdną! — rzekłem. Także wianek sław naukowych uwiądł momentalnie na czole Kultury. — Proszę o tekst kołysanki!

Jedna z podpór Kultury wyjęła z ust palec i zaczęła pruć wełniany śliniaczek, snując nić z niego na zaślinionym palcu.

Kultura roześmiała się:

Tekst mojej kołysanki? Widzisz, to dyplomowane niemowlę snuje na własnym palcu teorję pieśni ludowych. Tak mię ci ludzie usypiają! A ja sama sobie śpiewałam hymny starochrześcijańskie. Nuty masz u Horacego. Ale nie byłam ludowa. Dopiero w wieku XIX przyszła mi taka fantazja. Zdziecinniałam wtedy poprostu. Zna pan to: „A w ręku trzyma badylek"? Takiem wtedy stałam się dzieciątkiem po stuleciach matronatu!

— Dziwne stosunki rodzinne! — zauważyłem.

— Ohoho, nie pytaj pan nawet! — powiedziała starsza pani. — Nie pozwalali mi wychodzić z domu; żeby mogli, toby mię zamknęli w szafie albo w szklance odstawili, jak żółtko do ciasta. Więc tak siedzę w domu, kamieniem, czy żółtkiem, aż postarałam się o takie radosne wydarzenie rodzinne, że rodzina chodziła jak struta. Powiedzieli wtedy, że oszalałam.

Spojrzałam z szacunkiem na siwe włosy mówiącej.

— Zastanawiają mię szaleństwa kultury — odpowiedziałem. — Na każdym uniwersytecie są teraz katedry o tej marylkowatości pani. Nie wstydzi się pani?

Zarumieniła się, jak Nefretete.

— Owszem, bo, widzi pan, po stu latach urosła z badylka noga stołowa. Cóż ja na to mogę? Od tego są specjaliści.

— Może być. Ale toś się jakoś naopak rozwijała, moja droga! Czemuś się nie poradziła uczonych? Byłabyś zaczęła od pastuszków, a skończyła na monarchach. Taki jest porządek!

Kultura przeczesywała palcami, w zamyśleniu, skalp Lawrence'a.

— Co zrobić? Nie byłam porządna. Moje podpory układały dla mnie chronologje, przepisywały mi, co mam po czem czynić, ażeby się rozwijać należycie.

Znowu jedna z podpór wyjęła z ust palec i powiodła nim po śliniaczku, na którym były wykrzyżykowane tablice chronologiczne.

Bałem się tych rachunków, więc prędko powiedziałem:

— Zachwycam się pani rozwojem. Mówmy o nim! Jak się pani rozwijała?

— Jak rozmaryn, proszę pana! — odpowiedziała namiętnie. — Trzęsę się na samo wspomnienie o tem.

Zatrzęsła się tak, że uniwersytet Jagielloński podskoczył jej w ręce.

— Tak, to jest prawdziwy wstrząs kulturalny, takie wspomnienie! — rzekłem. — Ale niech pani tego więcej nie robi! Pani rozmaryny dosyć nas kosztowały.

— Aha, wy chcecie, żebym was nic nie kosztowała? — zapytała pogardliwie.

— Nic nie kosztowała? Niechże pani przejrzy budżet oświaty!

Jedna z najwyższych podpór Kultury wyjęła z ust palec i wypuściła niemi kilka okrągłych miljonów banknot.

— To są koszta pogrzebu mojej prababki — rzekła Kultura na usprawiedliwienie. — Już moja matka śmiała się z tego, czego wy teraz uczycie w szkołach.

— Pani matka była wolterjanką i nie traciła humoru, ale teraz ludzie są moralniejsi i skarżą się, że ledwie pani się rozwinie, zaraz pani upada! Tego w porządnych domach niema. Trzeba się przecież jakoś trzymać! Nie ulegać naturze z takim pośpiechem! Trwać w wiecznym rozkwicie i pięknie!

— Jestem bardzo stara, ale nie jestem wieczna. Przyszedł pan niedyskretnie w takiej chwili, kiedy wyglądam jak gabilotka ze starożytnościami. Już kilka razy tak wyglądałam. Wtedy przychodzili ludzie o ramionach drwali i robili z tem porządek.

— Pani to lubi?

— Co? porządek? Pasjami lubię!

— Przed chwilą pani nie lubiła!

— Zależy, kto robi ze mną porządek. Jestem słabą kobietą! — powiedziała Kultura i przycisnęła palcem syfon z gazem trującym.

Kiedy przyszedłem do siebie po tym ataku kokieterji, przemówiłem do słabej kobiety:

— Jest pani oszałamiająca. Czuję w powietrzu woń nowego rozkwitu kultury. Czy pani zawsze używa do tego artylerji?

Jakaś podpora Kultury wyjęła z ust palec z wystrzałem.

— Nie, niezawsze rozkwitam z takim trzaskiem. W wieku XV strąciłam tylko z półek kilka zapomnianych szpargałów, w których była dawna pogoda moja, i wykopałam z ziemi marmurowy babiniec bogiń greckich. Ludzie rzucili kantyczki, a kobietom, które odsłaniały dotychczas tylko to, co boginie zasłaniały, odbudowali z dawnych patyków gotyckich całe ciało, niegorsze od marmurowego.

— Tylko tyle? A teologji nie rozwaliła pani?

— Ja? Tylko dmuchnęłam w nią świeżem powietrzem! — rzekła niewinnie.

Świeże powietrze Kultury poraziło podpory. Jedna z nich wetknęła całą pięść do ust, a drugą zatkała sobie nos. Mimoto nie działo się jej nic złego, widocznie miała jakieś przeciągi wewnętrzne.

— To jest dziwne, jak pani zachowuje się w najlepszem towarzystwie. Najpierw zrobiła pani awanturę teologom, a potem wykwintnym estetom klasycyzmu. Nie znosi pani dobrego towarzystwa, jak osoba niekulturalna.

— Traci pan głowę! — rzekła Kultura. — Oby to był dobry początek! Ale niechże pan wreszcie siada, mnie nie wolno. Kultura ma tylko oblicze, a orzełka nie ma.

Usiadłem przed obliczem Kultury i rzuciłem okiem po jej podporach. Wszystkie osadzone były na posadach, jedne na murowanych, a inne na tak zwanych ubocznych.

— Niepotrzebnie się pani na nie rujnuje! — rzekłem, co mogłem.

— To są moi konsumenci! — powiedziała Kultura. — Rozumie pan, kiedy czuję potrzebę młodości, karmię ich mojem starem mięsem.

— Ach, więc padliną kulturalną?

— Tak, tak, czego się nie czyni w imię kultury?

— A w imię boże? A w imię ludzkości? Łaskawa pani! — rzekłem zachęcająco.

— Zaraz panu powiem, jak to wygląda, takie zepsute mięso! Urządza się rozmaite wieczorki, podwieczorki, rocznice, stulecia. Bo cóż innego mam robić z tymi ludźmi? Garną się do mnie, szukają mojej piersi! — rzekła po macierzyńsku.

— A pani?

— Ja? Po każdym rozkwicie mam tyle pokarmu, że przygarniam te bąki, póki nie napęcznieją. Wtedy wspieram się na nich, jak na poduszkach, bo już jestem omdlała i wycieńczona przez moich pasożytów. Muszę się tylko panu poskarżyć, że ci ludzie okazują mi za wiele przywiązania. Kiedy tylko jakiś Arjost albo Byron zacznie mię szarpać i łamać i już nie ukrywa swojego rozbestwienia, wtedy te niemowlęta zaczynają krzyczeć, zasłaniać mię rękami i podpierać mię, podpierać, panie, kiedy ja upadam, bo muszę, bo jestem kobietą, bo wiem, co robię.

— Pocóż się więc wtrącają do upadku kultury? — zapytałem pedagogicznie.

— Zato mają pensje i tytuły, nagrody konkursowe i stanowiska, żeby mię podpierali i bronili.

— Naprawdę nie rozumiem pani! Albo pani chce stać i być podpierana, albo...

— Pan naprawdę nie rozumie kobiety! — rzekła Kultura. — Lubię się bronić, więc trzeba mię napadać. Ale mówmy bez alegorji. Albo się jest cnotą i wtedy się wygląda, jak królowa angielska, albo nie chce się robić z siebie straszaka.

— Fi, straszaka! Pani straciła styl poetycki, i te piękne symbole, które miały tyle niezrozumiałego uroku!

— Gdybyście się zbliżali do mnie z ludzkiemi zamiarami, moje uroki przestałyby być dla was niezrozumiałe.

— Oho, znowu zaczyna pani popularnie! I to takie naturalne prostactwo ludzkich zamiarów dogadzałoby pani?

— O panie, takie rzeczy ludzkie zawsze działy się niewybrednie. Uczeni mówią, że kultura jest na noże z naturą. Pytajże materac z włosia końskiego, co się marzy ogierowi!

— Pani przywłaszcza sobie nieswoją płeć. Uczeni opisali was obie, znamy wasze zachcianki.

— Cóż, że opisali? Czy to wystarcza w moim wieku?

— No, to do Byrona!

— Nie uchowa się taki dzisiaj! Najpierw wyliczycie mu w szkole moje lata, to naturalnie odbierze mu ochotę zapalać się do takiej sto razy nieboszczki. Potem zamkniecie go do biura. Przez cały dzień będzie obmyślał grzywny na psy bez kagańca. Jakżeż taki może potem uchybić kulturze?

— Uchybić? Dlaczego uchybić?

— Znowu pan nic nie rozumie. Lada dureń pozwala sobie teraz hołd mi składać na klęczkach. Dość mi już nekrologów i całej waszej mitologji. Nie chcę żyć papką ani statystykami. Chcę zuchwalstwa! Raz na sto lat albo na dwieście dopuścić do mnie wielkiego chama!

— Rozpatrzymy podanie pani we właściwym czasie!

— Choćbyście i pozwolili, czy to codzień zgłosi się jakiś taki zuchwalec? A cóż jabym robiła od jednego rozkwitu do drugiego? Mam ja więc swój mały program na chudy sezon. Żyję się panie drobną monetą, jest się ozdobą ludzkości, imieniem wzywanem nadaremno na tylu obchodach, gnije się, butwieje się, wapnieje się, utrzymuje się poziom kulturalny.

Wsparła się tak, że podpory zatrzeszczały po brzemieniem Kultury. Kilku rektorów trzasnęło, a prezesi akademij wydali z siebie jakiś taki drewniany głos w obronie Kultury, że świat zatęchł a potem skołczał. Spojrzałem na Kulturę. Postarzała się od tego głosu o tysiąc lat i wyglądała, jak hubka.

To podobieństwo natchnęło mię myślą prometejską.

— Nie wiem, czy pani pamięta swojego pierwszego zuchwalca? Nie? To wstyd, żeby Kultura była tak obrana z wiadomości encyklopedycznych! Nie byłże to Prometeusz? I cóż kulturalnego on wynalazł, powiedz dziecko! Nie zapałki? Przecież on zrobił pierwszy pożar świata, a drugi Faeton! (Ale niech pani sobie to powtórzy!) Mam ambicję być trzecim odnowicielem świata. Pozwoli mi pani być aż tak zarozumiałym?

— Ja, tak, ale Myśl Narodowa, nie — odpowiedziała wstydliwie Kultura.

— To nic, pójdzie na podpałkę! Niech się tylko pani nie boi swoich popiołów! — i zacząłem szukać po kieszeniach.

— Lucyferze! — szepnęła Kultura płomiennie. Wtedy Osservatore Vaticanissimo, który w organie podpór kulturalnych był najbardziej blaszaną piszczałką, zapiszczał:

— Nie chcemy Popiołów! Nie dostał nagrody Nobla! Chcemy dynamitu prozy! Niech się odezwie Sienkiewicz! Niech go płatnię rohatyną.

Wszystkie podpory Kultury wyjęły palce z ust i poleciły redaktorowi Myśli Narodowej zapisać zapowiedzianych spiżowy głos historji. Już biedny anonim zaczął się szamotać z rylcem historji, żeby zaprotokołować rohatynę, ale Sienkiewicz nie odezwał się, bo serca wszystkich były już pokrzepione, a obecne stosunki nie dawały się udumasić. Także Rusini wycofali się z Trylogji, a zato Górka dobierał się do Oblęgórka. Główny filut Myśli Narodowej był zatkany tym kalamburem, więc przyzwali w sukurs jednego z nordyków południa.

Ale Kultura nagle się ocknęła.

— Dynamit jeszczebym nieźle zniosła (jak Kamieniec Podolski!), ale rohatyny nie strawię. Wolę szwecką zapałkę od prozy południowo-nordycznej. Prędzej! Nie widzisz, że ten człowiek gotów przybrać sto nazwisk, żeby się mieszać do nas? Wyniesiesz go na kiju, a on wróci choćby w moim... no wiesz, co jest w każdym domu kulturalnym? Poufali się ze mną, jak może.

Zawstydziła się ta aluzja do Myśli Narodowej. Nie chciałem być świadkiem jej skalania, wobec tego zaświeciłem zapałkę. Atmosfera kulturalna podniosła się o kilkaset stopni, a poziom kulturalny sięgał czubków niemowlętom, gdy nagle wypuściły z siebie całą puchlinę i obwisły. Ratowałem się wpław nurtów historycznych. Kultura zachwiała się, jak wieża, która się namyśla, w którą stronę runąć. Miewa ona swoje upodobania, i lepiej jest nie zawadzać. Runie, to mniejsza! Ale w czyje objęcia?

STANISŁAW ROGOWSKI

KALINÓW

(reportaż poetycki)

rosła kalina liściem szerokiem
daleko jej było do wioskowych okien

dziewczęta szumiały spódnicami, malwy kraśniały dziewczętami
wychylały się nogi z drabiniastych wozów
różowe usta: z nami
w pole świeżorose!

jedziemy — patrzymy — wieś jak wieś
zielono brzeżona
wierzbowa
polna
stodołowa

patrzymy: a chaty jak chaty
doziemne
podgniezdne
sino okienne
słonecznikowe

jedziemy: kwitnie dziecko mydlaną banią
na słomce podryguje wieś
po kulistej powłoce jesień
płynie jak anioł

nie miała tu babuleńka koziołka
ale zato chowała konie
wydziwiane, wiatrowe, ostrokute
po gościńcach gonią

zamiast kalin paciorki jarzębin
nieśmiało czerwienią się latem
drzewnie płaczą do leśnych głębin
do siostrzyc do braci kosmatych

na rozstaju (jak zwykle) Boża męka
w dłoni z trzcinową palmą
smutek w przymkniętych powiekach
żal nam

niewiadomo tylko jaką porą
zaskrzypią furtki pod oborą
i donośnie zagrzmią tabunami
ostrokute konie kopytami

MARJAN PROMIŃSKI

OBUDZENIE

Fragment szkicu powieściowego „Szczelina”

Płyną barwne fantastyczne zwoje, kleją się tęczowym powłóczystym bezsensem, jakby po ogromnem jeziorze z nafty plenił się tysiącgębny ciekły es-flores. Płyną, krążą, wirują, w kołach, elipsach, spiralach, absurdalne obrazy, faliste i niewyrażalne, dokoła zwichrowanych osi, jakby, jakby, z krańców dopływa lawina lepkiej lśniącej czerni, jakby kolorowy świderek, wtopiony w szklane zgrzytliwe kulki, furkotał zawrotnie barwami. W bąbelkach pluskliwej czerni podchodzą te kulki wirujące, skaczące, w pukaniach pękające po obszarach niezrozumiałej prózni, która jest przecież bez ścian.

Jezioro z nafty przepada, jestem w kuli z gorącej smolistej laki, pokryty potem jak emalją. Kulki skądś kapią. Twarz przyciśnięta napięstkiem, wypuszcza w przestrzeń ostatnie skrętki barwnego tęczowania, głuptawy dym snu, czy urażonej orbity oka. Kulki-krople świeżo, źródlanie skądś kapią, mlaszczą w absolutnej ciszy. Leżę. Lewym policzkiem, pachną, całym sklejonym lepkim bokiem, płatem uda czuję cudze ciało, wznoszone delikatnym płytkim oddechem. Kula nienazwanej czerni pękła w zwyczajną, uświadomioną noc. Na wargach i nosie ostra powierzchnia płótna rozdziera resztki obojętnego zawieszenia w próżni. Mimo gorąca przyciskam głowę do falującego obcego ciała. Kocham je. Wdzięcznym nieopatrznym pocałunkiem pieczętuję moją przypomnianą miłość. Pierś kobiety pod moją twarzą ugina się i rozpręża, dla wyrównania znagła powstałego braku powietrza, poczem wznosi się dalej, równomiernie i cicho: „Moja...” w tej chwili wyskakuje w pamięci jej imię i moje, daleko ważniejsze i straszne!

Wciągam powietrze ostro, jakby wprawiając w ruch pompkę syfonu. Jestem nakryty z głową. Po lepkiem czole i nozdrzach spływa struga chłodniejszego powietrza. Płuca-gąbka tężeją, robią się labiryntem ze szkła, z którego nie można wycisnąć zużytego gazu, kruszeją, próchnieją w martwocie, rozsypują się pod razami aorty, goniącej swe uderzenia mocnemi bluzgami lęku. Nazywam się Ryszard Merl!

Jednym skokiem porwany na klęczki, słucham. Krople kapią ciurkiem i pojedynczo, mlaszczą. Jest zupełnie czarno i sytuacja nieodwołalnie znana. Budzę się już piąty czy szósty raz, z tą świadomością, że tylko płytko dobywam się z głębszego pokładu złudzeń, by pozostać w wyższej i koszmarniejszej nierzeczywistości. Jeszcze jeden wysiłek, i wybiję się na biały trzeźwy dzień. Ale szamotanie daremne. Noc jest moją rzeczywistością, zewnętrzną skorupą snu dokoła tajniejszej i mglistej fantasmagorji. Tamto jest kłamstwem napewno, to zaś nieubłagane i groźne, tylko w tym wypadku, o ile prawdą jest teza starego spirytualisty Fichtego o życiu, jako o punkcie kontemplacyjnym naszej osobowości...

Jestem więc trzeźwy, mogę myśleć w sposób filozoficznie przecherny, i wiem, że jestem niewłaściwym człowiekiem w tragicznej sytuacji, której nie sprostam. Jakaś pomyłka przywiodła mnie w ten zezowaty niedobór moich zasobów psychicznych i twardych kantów prawdy, przeznaczonej poprostu dla byka, istoty bez nerwów. Jestem zanadto skomplikowany, aby w możliwość takiej potwornej rzeczywistości uwierzyć i na tej przesłance buduję..., i na tem...

A jednak minutę już myślę równo i sprawnie, i nie mogę się przebić na wyższą warstwę powściągania snu, tylko krążę w tej samej odległości od jądra, tajnego w mglistym welonie fantasmagorji. Gdzie jest dzień, za którym tęsknię? Niema dnia. Jest...

Nazywam się Ryszard Merl. Słucham i czekam: może zlitowanie z więźbu snu samo do mnie podejdzie? Nie podchodzi.

W gęstej czerni przeczuwam bliską obecność jej ciała, mojej żony. Z jej odkrytego brzucha w muskaniach przelatują mi po czole ostatnie roztrwonione kosmyki ukochanego ciepła. Myślę i czuję kategorjami ślepca. Modulację przestrzeni rozumiem tak dobrze, jakgdyby dotyk był moim najważniejszym zmysłem. Tymczasem w świetle widzę doskonale. Czarność, która mnie otacza, nie jest subjektywnej, lecz niewzruszalnie objektywnej natury, oczywiście do granic punktu kontemplacyjnego à la Fichte. Pozatem...

Nakrywam ją, Alkę, zpowrotem. Niech śpi. Niech nie wie. Wysuwam prawą nogę za obręb łóżka, w poszukiwaniu gruntu. Raz po raz pod stopami cmoknęło linoleum. Stoję. Podłoga jest nachylona, tak że cztery odmierzone kroki wiodą mnie nieco pod górę. Wyciągam ręce przed siebie, tu powinna być, rzeczywiście natrafiam na metalową klapę. Wiadomym ruchem palców zwalniam ją z zasuwy, otwieram na lukę... czarną. Wierzch lewej kiści upewnia mnie, że mam przed sobą szybę, chociaż poco, i tak wiem: czarną szybę z grubego szkła, czarne lustro. Fosforyczny krążek przebiegł po niej krótki łuk i zgasł na krawędzi. To odbicie zegarka, umocowanego w przegubie. Luka przedrzeźnia wnętrze, wylotem odwraca się od swego przeznaczenia. Poza nią czerń. Może nie najbardziej nieubłagana, absolutna, dająca się pomyśleć, ale przecież... Gdy wypatruję, czyham na nią, kroję wysilonemi orbitami oczu, wtedy rzeczywiście, wtedy widzę ją, kulę w bielmie, choć napływa mi karminową falą krwi, widzę ją, zmętniałą przededniem, wiem gdzie jest, ręce sprawdzają, nieprawda! Jest kilka centymetrów wbok. Odwracam się. Zegarek wskazuje 4.15. Na powierzchni o tej godzinie krzyżują się pomarańczowe palby brzasku, tutaj nieodmiennie czarno, i nad łodzią kolumna z miljonów ton wody.

Przed sekundą ocknąłem się przy suchym trzasku. Coś robiłem przez długą chwilę, ale nie przypominam sobie co. Pod palcami trzasnął mi załącznik elektryczny. Zupełnie nie czekałem na skutek tej czynności, nie miałem nadziei. Rzeczywiście nadal jest ciemno, ale nadzieja bez widoków zawiodła się. Właściwie nie mogłem się niczego spodziewać, gdyż ręką do ściany sięgnąłem odruchowo, odprawiając tylko rytuał obchodzenia klatki. Baterje zatopione, kable porwane, wiem. Mimoto sprawdziłem. A więc chodzę i przekonywam się. Naturalnie, nic innego nie mogłem robić, nie wiedząc o tem. Pod te kroki myślałem w sposób zawieszony w próżni. Musiałem odgrażać się obecnej sytuacji, jak to się zwykle czyni, gdy jest bez wyjścia, mierzyć podufałemi krokami obszar wypadku, wypoczywać od klęski w rytmicznych haustach krwi i chodu. Co mówi zegarek? 4.16. Nie rozumiem. Od mego ocknienia upłynęła conajmniej minuta, no, a to co było przedtem, długa, napewno długa chwila, nasycona samodzielnym przemyślanym problemem, którego coprawda nie pamiętam? Wykończona, doskonała chwila skąd się wzięła? Przy luce zegarek wskazywał 4.15, obecnie igła wskazówki wychodzi pomału za 4.16. Nic nie zdradza, aby przystanął w swoim pochodzie. Sekundnik szepce, szepce, szepce. Sunie oględnie, nieprędko, rzetelnie. Skąd się wzięła ta chwila przydługa, jak zwodniczy balonik odpływająca na falach przeszłości, coraz mniejsza, oddalająca się, ale przedmiotowo prawdziwa? ‚Dyferencjał czasu in minus,’ Świetne określenie. ‚Nieczasowa szczelina.’ Groźne określenie; w jego sensie bowiem straciłem zdolność objektywnego spojrzenia nazewnątrz siebie.

Pod palcami czuję wilgoć. Znowu chodziłem, inaczej nie znalazłbym się przy trzeciej ścianie mej kabiny. Płasko rozłożonemi rękami przywarłem do metalowych drzwi, mocno zaciśniętych na koło, jak drzwi ogniotrwałej kasy. Mimo to że użyłem do tego całej siły, wyschnięte gumy we framugach zasnuwają się wodą i mlaszczą spadającemi kroplami. Całe dokoła są wilgotne. W sąsiedniej komorze woda stoi powyżej górnej krawędzi, może pod pułap. Wszystko to jedno. Największa suma niepomyślnych okoliczności nie może mnie więcej pogrążyć, jestem już bowiem na dnie. Gorzej jest tracić kosmyki nadziei, niż nie mając żadnej, trwać. Ja właśnie trwam. Nie myślę, lecz myśli mi się. Chodzę. Teraz słyszę ten chód. Specjalnie zwracam nań uwagę. Prędko i prędzej, napamięć między przyśrubowanemi sprzętami, których rozkład znam tak dobrze, że mimo groteskowego pośpiechu, omijam je nieomylnie. Od tego ruchu, cmokania linoleum pod stopami, buchania krwi w skroniach, rozgłośny szum wznosi się w ścianach kabiny. Pościg mięśni wciąga mnie w lej jakiegoś celu. Już wiem. Po łomocie, otrzepnięty z łóżka, zbierając gnaty i huczącą głowę, miałem przedrzeć się przez kabinę numer III. do komory kartaczowej. Powinienem był zfrunąć skokiem ponad dziki nurt oceanu, wgórę kryształowego chlustu, który wdarł się, trzaskając jęzorami. Pamiętam tę nabrzmiałą górę poniżej upragnionej drabinki, umykającej w ciemność. Jeszcze drgnęły nocne niebieskie żarówki i oślepły. Wtedy na ułamek sekundy poczułem przed sobą tę zimną szybką masę, i uskoczyłem poza próg wstecz, przed uderzeniem wody. Machnąłem ciężkiemi pancernemi drzwiami wściekle i sprawnie, chwyciłem na czas łożysko zamku metalowym trybem, dokręcając potem koło długo i niepotrzebnie w spoconych dłoniach. Ucięty strzęp wody spłynął mi na stopy, w zawartych szczękach chrupnął ułamany szpic zęba i wypluty później suchemi wargami. Mięso języka pijane i drżące szczypało się o twarde szkliwo niepotrzebnych zębów, których było nagle zadużo. Nie słuchałem. Kiedy uszy odważyły się słuchać, sąsiednia komora zamknęła się ostatnim bulgotem i zamilkła. Zaczęło się skośne grążenie w miękką ustępliwą toń. Zamiast ucieczki, mam dno. I moje uduszenie i Alki!

Biegam po kajucie i biję dyżurnego oficerka za ten przeklęty karambol, za krzywdzącą naszą śmierć, w chwili gdy nam się tak strasznie chce żyć! Biegam i znowu biję czarną pustą przestrzeń, młócę pięściami różowy ładny pysk porucznika, który teraz, jeśli nie krąży po falach wzdęty morzem, sirpie rum w wojskowym szpitalu, kiedy ja tutaj ginę. Moja nienawiść miota mną w takich susach uderzeń, że ścięgna nadrywam sobie w barkach, byle bić, bić! Wtem, uderzenie zzewnątrz, prawie huk. Jakiś sprzęt, przeciwnik z ciemności, łamie mój rozmach.

Zląkłem się, że ją obudzę. Niepotrzebnie. To tylko ból w kolanie łupnął wewnętrznym rozgłosem, nazewnątrz słabe puknięcie; falując odchodzi, uszy znowu słyszą. Oczy znowu chcą patrzeć, zmysły znowu tęsknią, drą się. Stoję nad nią, nad Alką. Kocham ją tak strasznie, żarłocznie, w obliczu utraty. Jeszcze kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt coraz gorszych godzin. Po co ją tu zwabiłem, po co, na śmierć?! Ma zginąć? moja niewinna cudowna dziecinka? ‚Dziecinka?’ Rękę zwiniętą w kułak, wyciągnąłem naprzód, wstrętnie się płaszczysz draniu, mówię to sobie, podle zabiegasz słowami o wewnętrzne przebaczenie, wyprawiasz marne szprynce z prawej do lewej przegródki swej jamy ‚duszy.’ Biczujesz się. Ty jesteś winien. Słowo ‚dziecinka’ w twoich ustach jest tak plugawe, tak bardzo oślizgłe, że tylko prać, a mocno! I piorę. Zwinięta garść lewej ręki, z wciśniętemi w ciało paznokciami, drga przedemną konwulsyjnie, jakgdybym przytrzymywał wroga za gardło, prawą zaś młócę puste powietrze dwustronnie, policzkuję siebie, wybudowanego nazewnątrz, pocę się dramatycznie i idjotycznie nad nią, która śpi cicho i dmucha słodkim ciepłym oddechem. Kurcz mnie opuszcza. Pochylam się. Chwytam jej oddech w usta. Rękami wkradam się pod plecy i już żałuję, że ją budzę. Trochę uniesiona, zwisa mi bezwładnie z niepewnego objęcia. Składam ją napowrót. Poruszyła się, mrucząc nieśmiało i żałośnie, nie jak człowiek. Są to znane mi już objawy tej samoswojej atmosfery, którą dokoła siebie wytwarza, drobne miłosne gierki, do szaleństwa drogie. Wiem, że nie śpi, ale nie ma jeszcze świadomości otoczenia. Muszę ją w tej chwili zobaczyć, utrwalić w pamięci. W kieszeni od kurtki, rozpiętej na krześle, tkwi latarka. Podrywam się z kolan wstecz, przebiegam linoleum, pakuję w gorączkowym pośpiechu zaplątany rękaw do kieszeni munduru. Palce obu rąk natrafiają na metalowy chłodny grzbiet, rewolwer. Nie w tej. Z drugiej wynoszę gładkie pudełko. Fala sinawej żelatyny, obiegłszy ściany, zakwitła chloroformowo-desynfekcyjną bielą pościeli, i złocistą głową Alki. Zbliżam się. Rozrzucony żywiczny płomień jej włosów zesztywniał w tej celulozo-filmowej poświacie (delikatny zapaszek latarki). Nagie ramiona oplatają głowę żywą biegnącą wstęgą. Żeby tylko nie ten kosmetyczno-teatralny blansz sinego światła. Mruży pod jego naporem oczy, zasłania się. Krzywdzę ją, budząc o sekundę wcześniej. Zbliżam się. Przeczuwam, że wie wszystko, zakrywa twarz, żeby mnie nie ubodła jej rozpacz. Dopiero kiedy czuje mój oddech całkiem blisko, rozwiera gwałtownie ramiona, i za kark przyciąga mnie do swoich ust, które mignęły przedemną wilgotnem lśnieniem. Uścisk i pocałunek jest mocny, rozgnieciony na zębach, spazmatyczny, obronny przed czemś i skażony trwogą. Tak strasznie chcę ją kochać w tej chwili, i tak bardzo nie mogę. Porzucona latarka ugrzęzła między nami i ugniata mi żebra. Dobywam się lekko z oplotu. Kiedy to zrozumiała, poczułem jej bezwładny zrezygnowany ciężar na dłoniach, skrzyżowanych przez plecy. Gdy jej usta były już bierne, odkryłem ich jedyną dla mnie słodycz, tajemny zapach, łzawą kleistą miłość z niej. Przepraszam te usta potroszeczkę, nieśmiałemi dotknięciami, żeby ugłaskać ich drżenie. Wiem, że płacze, ale nie przyjmuję tego do wiadomości, twarz mam już umazaną jej łzami, ale wstydzę się pocieszać, nie znam na to słów. Kręcę się zmieszanemi myślami dokoła tego pocałunku, faluje we mnie naprzemian rozkosz dotyku i rozpacz tępej bezsilności, jeżą się odnóża zmysłów i opadają beznadziejnie. A wszystko to rośnie w obrzydliwy guz. I tylko guz jest rzeczywiście prawdziwy. Czuję go, narywający wyprysk w kąciku ust. Naprawdę, że w obliczu takiej grozy potrafi dokuczać, jątrzyć przemijający drobiazg. Coprawda nie przeminie. Napewno wpierw umrę, zanim zdoła się wygoić.

Ustami leżę na jej ustach, twardo wsparty na sztywnym karku, i niespostrzeżenie zezuję w stronę zegarka na lewej ręce, nad głową. 4.19. Dopiero, czy już? Potem z trudem wywracam oczy na sufit; tam wspiera się krąg światła od porzuconej latarki. Cisza rośnie. Nabija się jak piana. Dotąd nie wypowiedzieliśmy żadnego słowa. Zacieramy potrzebę słów wymową ciała. Ale takby się przydały, kojące, ufne, wypowiedziane najzwyczajniejszym głosem.

Układam zdanie, odpowiednie do tego przygotowanego tonu, ale więźnie głos i skręca się zdanie, podczas gdy cisza narasta, i nie wynika z niej nic, ani pociecha, ani namysł, chyba tylko duszność skrytości i moralnego wstydu.

Wtem olśniewa mnie, błądzącego, myśl: młotek. Z nim odrazu łączy się łańcuch celowości. Powstaję. Widzę, że jestem nagi. Okręcam coś dokoła bioder, idę do szafy. Jej wzrok czuję na sobie, i to dodaje mi otuchy do wykonania zamiaru.

„Co będziesz robił?”

Jakże jej wdzięczny jestem za te słowa, pierwsze od naszego obudzenia, trzeźwe, uważne, zainteresowane w moim planie. Dlaczego odrazu nie wpadłem na tę myśl, jeszcze przed kilku godzinami, zaraz po katastrofie? Niewdzięcznie jej pytania nie odwzajemniam łaską mego głosu, tylko potrząsam młotkiem znacząco i prawie triumfalnie. Podchodzę do ściany, palcami lewej ręki wyczuwam oprawę drzewa i żelazne żebra konstrukcji. Całą czynnością potwierdzam w sobie domniemanie, że reszta załogi tak samo jak my przywarowała w drugim końcu łodzi, i czeka na ratunek. Pod zamachem młotka jękła krawędź szyny, napełniając kabinę przeszywającym jazgotem. Najpierw trzy rów-

ne uderzenia: uwaga!! Przypominają lata dziecięce i tłuczenie w żelazną kadź, napełnioną wodą, tylko obecnie uderzenia są jeszcze bardziej tępe i bezdźwięczne. Przecieram dłonią suche czoło, czekam, daję im czas skupić się nad moją depeszą. Przezornie powtarzam trzy równe uderzenia: uwaga!! Potem przesyłam nie żadne S. O. S., tylko pracowicie rąbię słowo, najpatetyczniejsze ze wszystkich, które kiedykolwiek wypowiedziałem, skandowane wymową rozpaczy i stali, płonące dźwiękiem. Musi ono być wzruszające do najgłębszych fibrów istnienia, skoro jak żadne w życiu pąkuje mi łzami w gardle: K-o-l-e-d-z-y! Przystanek. W-o-l-a. Przy tem słowie pomyliłem się; młotek mi spadł na drzewo. Dałem sygnał odwoławczy, poczem powtórzyłem wyraz, i zakończyłem z niecierpliwości bez przystanku: M-e-r-l.

Patrzę na zegarek; sekundy mijają. Głusza się już odstała. 9, 10, 11, jeszcze szukają narzędzia, w zdenerwowaniu nie mogą go znaleźć; 13, 14, 15, nie wiedzą w którą ścianę stukać najlepiej, przygotowują się. No teraz: 17, 18, 19; nic. Zapadam w katalepsję czekania, z wolą nieliczenia czasu, zamykam oczy, trwam nieskończenie długo bez dopuszczenia żadnych wniosków, budzę się przy 35-ciu ze świadomością, którą już dopuszczałem skrycie przed pół minutą: łódź jest opuszczona.

JULJUSZ S. PETRY

WARWAS

Widowisko heroikomedjowe na tle oblężenia Lwowa w XVII. w.

OBRAZ XVI.

Pożegnanie posła kozackiego.

(Na scenę wchodzi z lewej orszak, złożony z Arciszewskiego, Grozwayera, Patrycjuszy i posła kozackiego Wyhowskiego).

ARCISZEWSKI

Oto żegnamy cię mości Wyhowski
Tu u bram miejskich. Nie jako wydziercę,
Który nam przyszedł zafantować miasto
I chciwą ręką sięgać do kalety,
Lecz jako gościa.
A jeżelić u nas
Było niecałkiem po myśli — to daruj!

WYHOWSKI

I mnie się z wami żal żegnać panowie,
Bo prosto ja się chyba rozmiłował
W tym waszym grodzie. I dobrze mi było,
Chociam przychodzeń z dalekiego kraju.
Więc za gościnę dziękuję —

GROZWAYER **(z uśmiechem)**

To z nami
Pozostań dłużej jako gość. Dla gości
Zawsze otwarte i bramy i serca.

WYHOWSKI

Nie mogu. Służba —
No i step mnie woła,
Szeroki — bujny —
(jakby wciągnął idące doń z wiatrem z za murów powietrze stepu)
Ojczyzna kozacza...
Pry berezi, pry Dunaju
Tam ja swoju chyżu maju,
Tam dom mój, tam pokój
Panowie —
(z uśmiechem)
Ot starą śpiewkę sobie przypomniałem —
Kozacką nutę, co i w Polsce znana
A teraz czas się żegnać —
bądźcie zdrowi —

ARCISZEWSKI

Ano — to z Bogiem! Za bramami miasta
Twój koń i poczt nasz aż do waszych straży,
Bo o przygodę w tym czasie nietrudno!
(poważnie)
A hetmanowi wszech wojsk zaporoskich
Zanieś odemnie, od Arciszewskiego,
Słowa przestrogi, że pochód zniszczenia
Musi się skończyć klęską i zawodem.
Bóg sprawiedliwy! On chce, by na świecie
Jedynie wielkie i wspaniałe czyny
Życiem zakwitły, zasię złu pisane
W sobie się trawić, niszczeć i przepadać,
A w swej puściźnie zostawiać jedynie
Słup dymu, nędze gruzy i przekleństwa!

WYHOWSKI **(posępnie)**

Może to prawda mości generale,
Może przeklęte drogi, które wiodą
Niektóre ludy do swoich przeznaczeń.
Wyście szczęśliwi, bo nad waszem czołem
Gwiazdę spełnienia los dawno zawiesił
A my błąkamy się ciągle w ciemnościach,
Bez drogowskazu, bez światła, busoli,
Pół niewolnicy, pół panowie życia
Nie znając celu.
Kędy kres tych cierpień,
Które znosimy i które zadajem
Nie wiedząc czemu?
Ot darujcie pany,
Niewiele waży słowo, gdzie miecz sądzi.

GROZWAYER **(skłonił się Arciszewskiemu)**

Za łaskę waszą mości generale
Strzemienne jeszcze wypijem na zdrowie
Nowych przyjaciół i niedawnych-gości
(służba podaje puhary i napełnia je winem)
Niech żyją! Vivant i crescant w pokoju
I zbożnej pracy!

WYHOWSKI

Na zgodne pożycie
I na braterstwo, wychylam ten kielich
wam i nam!

WSZYSCY

Vivat!
Vivat!
Vivat! Vivat!

WYHOWSKI

Tak niegdyś zgoda była między nami,
Co rzekę — miłość. Rusin szedł z Polakiem
Razem na Turka, razem pił i bił się.
Krew nasza wspólnie lała się i grała
I pomieszała się z sobą tak silnie,
Że jej zdawało się nic nie rozdzieli.
Teraz ta ruska krew, co jest w Polaku
I polska, która jest także w Rusinie
Powstała przeciw sobie w wielkiej wojnie
I chce się zgnębić —
(proroczo)
Ale mi się zdaje,
Że jeszcze kiedyś krew ta zagra zgodnie
I będziem bracią!
(skłonił się i zmierza ku wyjściu)

WSZYSCY

Daj Bóg!

WYHOWSKI

Daj to Boże!

TADEUSZ ŻAKIEJ

PŁOMIEŃ WALCZĄCY

Człowiek jest jak płomień, który pije z nieba
Zimny napój wiatru odbiera go ziemi,
Bo ziemią piękną i zatrutą wezbrał
I płynąc w wietrze, owija się w cienie.

Szarpie się. A drzewa zabiegają drogę,
Gałęzie kwiatów nasennych, jak klęski.
Wzywam cię, wzbity iskrami na trwogę
Ukaż mi walkę śmiertelną, lecz męską.

Nie jak kłos dojrzały, żółty, pochylony,
Ale płomień prosty, z nasilenia biały,
Tak ukaż mi życie w twych dłoniach skupione,
Gwiazdę, w którą ufnie w czas lęku patrzałem.

Annie Iwaszkiewiczowej

KONSTRUKCJA

I.

Zapach nieba otwartego,
Zielone pióra drzew
Pachnące.
Woda grająca o brzeg.

II.

Strzępy pierzaste płyną zapalone,
Godzina, którą prześwieca druga przestrzeń,
Warstwy wieczoru zabarwiają oddech;
Rozumne nasilenie czerwieni.

III.

Oto jest zimno od świateł niebieskich,
Za utraconem żalem teraz żal,
Zapachem broni się ziemia przed pustym błękitem.
Na księżyc pryska krwią
Mgła.
Wiatr bije ciepłemi pasmami dnia
W usta
I
Spokój przepłakanej nocy potarga świt.

Marji Sokulskiej.

AURA WYLEŻYŃSKA

SPOWIEDŹ WIELKANOCNA

(Fragment z powieści mającej się wkrótce ukazać p. t.

„NIEPORZĄDEK ŚWIATA").

Uta miała się spowiadać. Koncylium domowe z Izą na czele nic na to nie mogło pomóc. W dzień oznaczony od szóstej rano klęczała w swojej kolejce, głodna i niewyspana. Poprzedniego wieczoru z pomocą katechizmu ułożyła sobie listę grzechów. Przecież nie będzie z księdzem prowadziła dyskusji. Grzechy były tak dziecinne i tak niewinne, że spowiednik zdziwił się, iż popełniła je maturzystka. Zaczął zachęcać do odwagi.

— Moje dziecko, bądź szczera. Może coś jeszcze masz na sumieniu. Zapomniałaś. Broń cię, Boże, żebyś nie chciała wyznać. Widzisz, dziecko moje, zataić taki grzech to wielka...

Pachniał wodą kolońską, jak każdy dobrze umyty mężczyzna. Patrzał przez kratki i widział zaledwie drobny odcinek interesującej twarzy. Szukał oczu. Z nich wyczytałby to, czego usta nie mogły lub nie chciały powiedzieć. Uparcie trzymała oczy najwyżej na wysokości jego rękawa.

— Namyśl się, córko, namyśl... Żebyś potem nie żałowała.

— Niema się nad czem namyślać. Niczego nie będę żałowała.

Zapanowało zobopólne milczenie, któremu ona rozkazywała. Klęczące w ogonku paniusie zaczęły się interesować małomówną spowiedzią, w dalszych szeregach będące kumoszki zaczęły się niecierpliwić.

Znawca tłumu wyczuł nastrój i poraz ostatni spytał penitentkę:

— Nic więcej nie masz do powiedzenia, moja córko?

— Nic więcej nie powiem.

Dał rozgrzeszenie. „Ego te absolvo". „Niech twoja dusza oczyszczona hyzopem jako śnieg stanie się biała".

Powoli wstając z klęczek podniosła głowę, popatrzyła buntowniczemi oczyma.

Stary wyga jestem, myślał, nie dałem się złapać! Ale nie mogłem odmówić rozgrzeszenia. Psia krew, z tą tajemnicą spowiedzi...

Słuchał innych szczerych zwierzeń, a patrzył w stronę ołtarza, gdy dziewczyna przystępowała do Komunji. Że to takie młode, a tak dobrze udaje... Co innego my...

Nietylko maturzystki, ludzie dojrzali, cała Warszawa czyniła rachunek sumienia. W popielec posypane popiołem głowy zaczęły się kajać, w czem pomagali jej księża, uczeni, cieszący się sławą krasomówców i pokorni słudzy Pana.

Rekolekcje odbywały się dla inteligencji i dla sług, dla kobiet i mężczyzn, dla urzędników gazowych i tramwajarzy. U Kanoniczek, jakiś père grzechy dystyngowanych dam owijał w wersalską mowę. Pisma zachowawcze przepełnione były zawiadomieniami o terminach, datach, godzinach i dniach rekolekcji, a także miejscu, gdzie można dostać zaproszenie. Bez podania jednak na jakich warunkach, przemilczając płatne czy niepłatne, dopiero na miejscu od jednych brano opłatę z góry, od innych dobrowolną ofiarę na kościoł lub jakiś pobożny cel.

Kobiety zmęczone zarobkową pracą, zamiast odpocząć po obiedzie, śpieszyły powtarzać litanję swych przewinień. Ludzie upadający pod ciężarem udręki i bezczynne „żony przy mężach" dzień cały spędzające z kotem, radjo, drutami, ciągną do kościoła. Studenterja tysiącami kaja się za niewinność swej młodości, bezgrzeszne dziś staruszki na podstawie głośnego rachunku sumienia myślą odtwarzają dawno zapomniane słodkie upadki, pierwsi, niepewni zbawienia, drugie pewne nieba, ale niedość go spragnione. Osoby, których życie jest bezbarwne, w pokarmie duchowym szukają flirtu z Bogiem.

Najbardziej wzięty kaznodzieja przemawia na dwie zmiany, rano dla pięknoduszek, które dnia tego już o 11-tej wstały, popołudniu dla pięknoduchów, wyrzekających się kawy w Europejskiej.

Po długim wstępie o przeznaczeniu świata, o dzisiejszej złej doli ludzkości, po wyrzuceniu frazesów, komunałów, gładkich a pustych, raz dowodził, iż na błędne ścieżki sprowadza, przyczyną wszelkiego złego, upadku ducha, rozstroju społeczeństwa rodziny, jest egoizm męski, drugi zaś raz zatrzymawszy ten sam wstęp, winę wszystkich manowców życiowych znalazł w płochości kobiecej. Ona to bowiem zatruwa świat, ona to bowiem jest źródłem zła! W ten sposób dając jednej nauce podstawę filozoficzną, drugą opierając na uczuciu, był dumny, iż obustronnem cięciem miecza, obu jego klingami za jednym zamachem ściął dwa szatany.

Troska ubogich skąd wziąć mąkę na święta, gdzie tanio kupić trzewiki, chwilowo zamilkła wobec zagadnienia wyższej natury; jak się uchronić od bliskiej grozy ognia piekielnego?

Za jedną serją grzeszników, szał ekspiacji ogarnął całe miasto, jakby zbliżał się doń sąd ostateczny.

Wszędzie rozbrzmiewał głos duchowieństwa: jesteś winien, jesteś winien! Kara, kara, kara, słowo to latało przed oczyma, bladło i jaśniało jak neonowe reklamy.

W te dnie hojnie niż kiedy sypały się ofiary wprost do ręki, albo za pośrednictwem Kurjera. Trzeba było przebłagać Boga za błędy, przeprosić za winę, czynem, po słowie, obiecać poprawę. Wiele punktów padło na beatyfikację Świątobliwej Wandy Malczewskiej. Żeby przybyła jeszcze jedna święta, nakoniec święta nowej daty, żyjąca w naszych oczach, błogosławiąca odrodzonej Polsce.

POCZĄWSZY OD BIEŻĄCEGO NUMERU SYGNAŁY BĘDĄ SIĘ UKAZYWAĆ PUNKTUALNIE 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA.

STANISŁAW WOMELA

poeta i krytyk

(umarł we Lwowie 17 kwietnia 1911)

KOMARY

Tuż pod moimi oknami
Bawią się małe dwa psy.
W dali łoskot. Gdzieś trzepią dywany.
Na zeschłe, żółte szuwary,
I czarne nagie konary
Drzew, wiatr leci jakgdyby spłakany,
A dalej między drzewami
Staw z wiatrem płynie i drży.

Ponad zimnymi wodami
Wiszą niejasne jak mgły,
Zbite w jakieś ruchome tumany,
Pierwsze wiosenne komary.
Ulotne, wiotkie jak mary,
Wodzą chyżo wiosenne swe tany,
Nad wodą, krążąc kłębami,
Szybkie, zwodnicze jak sny.

A w tem zadrgało falami
Powietrze, i jak duch zły,
Wpada nagle w ten tłum rozhukany,
Ptaszek niewielki i szary,
Chwytając w locie ofiary.
Niknie nagle wśród wodnej piany
Co w górę pryska kroplami,
I nazad spada jak łzy.

Z rozpostartymi skrzydłami,
Ostatnie wydawszy tchy,
Płynie cichy, na śmierć ukąpany,
Ptaszek niewielki i szary.
Ponad nim tańczą komary.
W dali łoskot. Gdzieś trzepią dywany,
A tuż pod mymi oknami
Bawią się małe dwa psy.

SLEPIEC

Z zasuniętymi powieki,
Podobny do nieboszczyka
Staruszek, zda się, że śpi.
Po bladych licach kaleki
Nieznaczny uśmiech przemyka.
Snać nie o ciemniach bez końca,
Wśród których tyle lat tkwił,
W tej chwili marzy i śni,
Lecz blaskach złocistych słońca,
Dla których żył.

On widział to w sennej dobie,
Że dzisiaj umrze, za chwilę
Skończą się bóle i sny.
Wie dobrze, że wnet już w grobie
Odpocznie, lecz jeszcze tyle
Wybłagał u Boga łaski
Za dziesięć ciemności lat,
Chociaż niegodny i zły,
Że jeszcze zobaczy blaski
Słońca i świat.

A gdy tak śni na pościeli,
Do izby zwolna ze dwora
Zachodzą jak tylna straż
Dnia ginącego w topieli
Ostatnie blaski wieczora.
I w snopie krwawych promieni
Swą całą wydawszy moc,
Na starca wypełzły twarz,
Aż zwolna, niknąc wśród cieni,
Zapadły w noc.

A kiedy światło skonało,
Cień całą izbę otoczy,
Że ledwie widać o krok.
W tej chwili staruszka ciało
Zadrgało, rozwarte oczy
Wbił nagle, pełne wyrazu,
W ten izby najdalszy kąt,
Skąd czarny wychodził mrok,
I woła, siadłszy od razu:
„Ja widzę stąd...

„Widzę świat — ach jeszcze chwilka,
Tam światło słońca, księżyca,
Gwiazd, wszystko razem... tam... tam!
Ach wielki Boże!" Łez kilka
Z ócz mu wypadło na lica.
Wychudłem zgina się ciałem
I szepce: „Tak, to już czas.
Ja wszystko tak dobrze znam,
Ale ja przecież wiedziałem,
Że jeszcze raz..."

Milknie i pada na łoże,
Rękoma oczy przeciera,
By mętne usunąć łzy,
Zza których patrzeć nie może.
Chce mówić, usta otwiera,
A jeszcze w stronę widziadła
Wyciąga ręce. Wtem nić,
Co w życie łączyła sny,
Rwie się a ręka opadła,
I przestał żyć.

MODLITWA

Z przepaści bolów,
Tajemna potęgo,
Podnoszę słów mych
Najmowniejsze gońce:
O przyjdź!
I ze świątyni,
Którąś zbudowała
Tak strasznie kruchą,
Zabierz treść do innych
Gdzieś sfer!
Bo tajemniczy
Obraz przemienienia
Pod stosem gruzów
Już nie znajdzie wiary.
I precz
Pierzchną zachwyty,
Wymuszone trwogą,
A z szmeru modlitw
Pozostanie tylko
Sam śmiech!

CZTERY WERSJE JEDNEGO UTWORU

AN — —

Rufe mich nicht und gieb mir keine Zeichen,
Ich seh dich selbst in dem Gedräng zu gut,
Und du weisst's wohl, dass ich dich nicht will flehn,
Da die Notwendigkeit ich nur zu gut erkenn.

Drum ruf mich nicht und gieb mir keine Zeichen,
Sind mir unnötig. Doch die schlaue Meng',
Wenn sie erspäht und über meinem Haupte
Den frost'gen Schlag von deinen Flügeln spürt,

Hört auf zu zählen mich für ihres gleichen
Und tät lebendig mich in hoffnungsloses Grab,
In gutem Glauben, dass ich nichts mehr brauche —
Da ich zwar lebe, doch nur wie eine Leich.

Und es verblieb mir von der Lebensorgie
Blos bleiches Mitleid und des Ekels Schmutz,
Das will ich nicht und du hast drauf kein Anrecht
Mir unbefohlene Bande anzutun.

Also verricht' ohn' Zutat deine Hundspflicht
Und tu nur das, was dir befohlen ist,
Mit vollem Leben will ich Rechnung schliessen,
Um frei mit dir die Ehe einzugehen.

Improwizowany własny przekład autora.

DO — —

O nie mów mi, nie wydaj znakiem żadnym,
Nie wskazuj im, nie wołaj, że mię znasz.
Niech nie wie nikt, jak mocnym, jak wszechwładnym,
Jak świętym jest, jak cudnym związek nasz.

Niech nie wie nikt w tym szarym ludzi tłumie,
Niech o tem nikt nie dowie się ni krzty.
Ja sekret mój w dnie duszy taję, tłumię,
I o nim wiesz ty jedna, jedna ty.

Gdy chytry gmin wytropi, że ciął we mnie
Twych skrzydeł cios, gdy zwietrzy ślad mych łez,
Uchwyci kłem i będzie gryzł nikczemnie
Serdecznej głąb mej rany — gryzł jak pies.

I sarknie, że nie jestem już jak oni,
Że nie mam już do życia słodszych praw,
Niż prawo łez litości, skarg, ironji,
Że czas mi już pod spód mogilnych traw.

O nie mów im, nie wydaj znakiem żadnym,
Niech do mnie twój nie woła w ciżbie głos!
Niech tylko my to wiemy, gdy wszechwładnym,
Gdy ślubnym nas połączy związkiem los.

Transkrypcja z notatnikowego rękopisu,
przez Jana Lemańskiego.

DO — —

Nie wołaj mnie, nie dawaj żadnych znaków,
Ja ciebie w zgiełku i tak widzę tam,
A ty wiesz dobrze, że się nie wypraszam,
Bo tę konieczność aż zanadto znam.

Więc mnie nie wołaj i nie dawaj znaków,
To niepotrzebne. Bo przemądry tłum,
Gdy to wypatrzy i gdy nad mą głową
Poczuje mroźny twoich skrzydeł szum,

Przestanie liczyć mnie do swego grona
I wtrąci żywcem w beznadziejny grób,
Pewny, że nic mi już się nie należy,
Bo chociaż żyję, to tylko jak trup.

I z orgji życia pozostałaby mi
Li blada litość i tajony wstręt,
Tego ja nie chcę, a ty nie masz prawa
Nienakazanych mi nakładać pęt.

Pełń bez dodatków swój psi obowiązek
I tylko to, co ci kazano, rób,
Aż z pełnem życiem zamknę swe rachunki,
Aby swobodnie z tobą zawrzeć ślub.

Tłóm. Karol Irzykowski

POROZUMIENIE

Nie wołaj mnie i znaków mi nie dawaj,
Ja Ciebie w świecie dobrze widzę sam,
I umknąć Ci nie będę usiłował,
Bo Twą konieczność nazbyt dobrze znam.

Ja wiem że ciągle zbliżam się do Ciebie,
By na ostatku rękę podać ci
Na wieczny czas, a jeśli będzie trzeba
Pomódz Ci jeszcze przerwać moje dni.

Nie kradnij mi ich na takie „mementa"
Jak ból lub strach, bo niechaj tylko tłum
Dostrzeże je i ku mnie obróconych
Usłyszy mroźny Twoich skrzydeł szum,

Gotów mię przestać liczyć między siebie
I żywcem złożyć albo w kłamstwa grób,
Niby mię szczędząc, albo się odwracać
Odemnie, myśląc że już bliski trup.

I może zostać mi z całego życia
Wyblakła litość albo brudny wstręt,
A gdzie jest reszta? Wszak Ty nie masz prawa
Nakładać mi nieprzeznaczonych pęt.

Więc bez dodatków pełń swą psią powinność
I tylko to, co Ci kazano, rób!
Ja muszę z wszystkiem zamknąć wprzód rachunki,
Nim zawrę z Tobą upragniony ślub.

Tekst znalezionego później oryginału

AVE MARYJA!

Już światło życia mrok przysłania,
Wszystko ogarnia śmierci moc,
Dusza na skrzydłach drży rozstania,
Musi pójść, musi w wieczną noc.
Madonno! rękom Twym powierzę
Ostatnich próśb gorący szał,
Uproś, bym skonał w świętej wierze,
A potem z martwych wiecznie wstał!
Ave! Ave! Maryja!

Już światło dzienne mrok przysłania,
Zwolna zapada cicha noc,
Gdybyż, jak dzień ten od świtania,
Przeminąć miała cierpień moc, —
Do Twoich stóp ślę prośby moje,
A Ty je nieś przed Boga tron,
Madonno! niech Cię modłów zdroje
I ich nabożny wielbi ton.
Ave! Ave! Maryja!

Już światło wiary mrok przysłania,
Nastaje ciemna zwątpień noc,
Ufności w Boga z lat zarania
Chce nam coś ukraść świętą moc.
Madonno! niechaj we mnie świeża
Starości nawet ufność tchnie,
Strzeż mojej harfy i psalterza,
Tyś jest zbawienne światło me.
Ave! Ave! Maryja!

KAROL IRZYKOWSKI

Komentarz z perspektywy lat trzydziestu

Nie danem było memu druhowi Stanisławowi Womeli skrystalizować swojej indywidualności literackiej w dziełach większej objętości. To, co po nim zostało, jest drobną zaledwie cząstką jego zamierzeń twórczych. W samobójczem lekceważeniu swoich utworów gotowych niszczył je lub gubił. Pomysły jego jak „Consumatum est", „Czad", „Bunt", „Mór błotny", „Wściekły koncert", „Klatki" „Mnich", żyły we fragmentach lub w żywem słowie autora, który w gronie dobranych słuchaczy umiał je doraźnie przyodziać w formę zajmujących opowiadań, wciąż je przeinaczając, uzupełniając nowemi szczegółami, przenosząc w coraz rozleglejsze perspektywy duchowe. Wytworzył w ten sposób u drugich i u siebie legendę o sobie, którą coraz trudniej było ziścić. Coraz większe wymagania, jakie do siebie stawiał, wyrodziły się w hamletyzm twórczy. Brakło mu tej smutnej odwagi, żeby dawne pomysły wykonać choćby gorzej, zadowalając się pierwotnemi intencjami, i przejść potem do dzieł dalszych. Kilkunastoletnia choroba, wymagająca mozolnych kuracyj, posuwająca się powoli ślepota, przytem zupełny brak funduszów skazujący go na dziennikarską pracę zarobkową, podgryzły i dobiły wreszcie ten talent, który zapowiadał się zrazu tak bujnie i energicznie. Zamiast pisać własne dzieła, musiał — jak się sam gorzko wyrażał „załatwiać interesy literatury polskiej". A załatwiał je niestety aż zanadto sumiennie, bo miał tę właściwość, że wszystkiemu co robił, oddawał się całą duszą. Był tedy pierwszej klasy recenzentem od dzieł, które aż zbyt często stały niżej jego horyzontów duchowych. Prócz tego rozpraszał swoją energję umysłową na artykuły o sztukach plastycznych, rozwijając wśród plastyków uznaną i przez nich działalność pedagogiczną.

Tych kilka utworów poetyckich Womeli tutaj podanych, dla mnie są kluczem do części jego świata, ale zdaję sobie sprawę z tego, że nie wywrą one tego wrażenia, jakieby wywrzeć mogły, gdyby nie były tylko jedynymi reprezentantami swego gatunku, lecz pojawiły się w większej liczebności i w odpowiedniej atmosferze literackiej. Wiersze Womeli mają charakter wybitnie dramatyczny, dziś pisze się u nas wiersze przeważnie refleksyjne lub fejletonowe. Lakoniczna, surowa forma Womeli nie dogodzi tym, którzy przyzwyczaili się formę widzieć w sztucznym doborze rymów i w werbalizmie bez końca. Pomimo niby daleko posuniętej u nas kultury artystycznej nie dość wiadome jest ogółowi nietylko czytających lecz i piszących, że w pewnych wypadkach dążność do formy własnej może doprowadzić do wyrzeczenia się formy zdawkowej. U Womeli prostota stała w związku z tą za każdym razem drogo okupowaną energją szczerości, z jaką odsłaniał siebie lub rzeczy.

Dwa pierwsze utwory „Komary" i „Ślepiec" napisane są w latach 1893 i 1895. Są to jego debiuty, kiedy jeszcze nie dowiercił się do własnych źródeł. Strofa tych ballad bardzo kunsztowna, uderza melodyjnością. „Komary" to obrazek pełen powietrza i perspektywy — pogodę przyrody wiosennej przerywa tragedja szarego ptaszka.

W „Ślepcu" wabi sam już pomysł głębiami, jakie się w nim otwierają. Możnaby sądzić, że jest to ironja: starzec widzi słońce dopiero w chwili, gdy słońca już niema, oszukuje się. Ale czyż ta złuda objektywna nie jest równocześnie tryumfem siły wewnętrznej, która mu wyczarowuje świat widzialny wśród głębokich ciemności? Dla mnie, który ten utwór umiałem na pamięć, nabiera on dziś jeszcze nowego uroku przez to, że autor wyprorokował sobie w nim niejako swoje ostatnie chwile.

Dalsze utwory to notatki i tłumione westchnienia na marginesie życia, pisane dla siebie samego, niedrukowane jeszcze nigdzie, krople krwi.

„Z przepaści bolów" napisany jest może w r. 1898, kiedy zaczęła się niebezpieczna choroba Womeli, która go potem okulawiła, oślepiła i doprowadziła do nędzy i grobu. To jest rozpaczliwy krzyk poety, który czuje w sobie „tajemniczy obraz przemienienia", na łożu boleści odkrył w sobie może nowe pokłady ducha, lecz obawia się, że gdy sam zostanie już tylko „stosem gruzów", nie będzie miał tyle siły, aby ten obraz odpowiednio ucieleśnić, a wtedy, steroryzowani wielbiciele, którzy mu dawali zaliczkę na sławę, odzyskają odwagę i wyśmieją go. — Tak, gdy się to wytłómaczy, rzecz się wydaje prosta, a jednak tylu ludzi tego wiersza nie rozumiało, i przeszło obok niego obojętnie, tak jest on zakonspirowany. Na szczupłej przestrzeni zmieścił tu Womela prawdziwą tragedję poety, drżącego o los swoich dzieci duchowych.

Wiersz „Do — —" ma swoją historję filologiczną. Napisał go Womela zapewne w pierwszych latach po r. 1900 — napisał po polsku, lecz oryginał zaginął, pozostał tylko własny improwizowany przekład niemiecki autora, podyktowany 16 czerwca 1906 Niemce pani Schnee na Capri, gdzie Womela był na kuracji. Redakcja „Krokwi" oddała utwór do przetłómaczenia Janowi Lemańskiemu, który wywiązał się z tego zadania tak, że napisał parafrazę wiersza Womeli. Nie wiem, jakie były intencje tłómacza, ale zdaje mi się, że przeoczył ton i treść wiersza i chciał go poprawić, ulepszyć. Wobec tego ja — który zresztą również nie znałem oryginału polskiego za życia autora — postanowiłem zrekonstruować o ile możności wiernie utwór mego przyjaciela. Z łatwością można było domyśleć się rymów, których użył Womela; szło tylko o to, aby nie dodawać niczego od siebie, chociażby przez to miały powstać w wierszu twardzizny (np. w trzeciej strofie 6 wyrazów jednozgłoskowych razem). Stosunek poety do śmierci (bo do niej to jest wiersz pisany), w póloryginale niemieckim tchnie dziką prawdą. Poeta traktuje śmierć — tak mu znajomą — en canaille, ma z nią osobne porachunki. Robi jej wyrzuty za niepotrzebne natręctwo, upomina ją, żeby tempo jej zbliżania się było tylko takie, jakie tkwi w istocie choroby. W zdaniu „Aż z pełnem życiem zamknę swe rachunki" wyczuwam wiecznie nurtującą go troskę — o los swych duchowych dzieci i w ten sposób utwór ten łączy się z „Modlitwą", tylko że bolesna rozpacz zmieniła się już tymczasem w spokojną pogardę wobec nieuchronionego losu. Wynurzenia o resztce praw swoich do „orgji życia" są zupełnie w charakterze Womeli, który niczego się nie wstydził i niczego nie bał.



St. Dębicki: Karykatura St. Womeli.
Ze zbiorów B. Wysłoucha.

Dla mnie ten wiersz był pozdrowieniem zza grobu. Nie byłem świadkiem ostatnich lat jego życia, kiedy ze świątyni robił się stos gruzów, pod któremi legł i nie znalazł wiary!

* * *

Powyższe uwagi razem z utworami Womeli „Komary", „Ślepiec", „Przestroga", „Flirt", „Modlitwa" i trzema warjantami wiersza „An..." były zamieszczone po raz pierwszy w „Krokwiach" R. Zrębowicza nr. 1 z listopada i grudnia 1920. Ponieważ czasopismo to było bardzo mało rozpowszechnione, warto może część tego „Pokłosia pośmiertnego" jeszcze raz ogłosić, — zwłaszcza, że tymczasem znalazły się jeszcze dwa utwory nigdzie dotąd nie ogłoszone: „Porozumienie" i „Ave Maryja", które się tutaj po raz pierwszy drukuje.

„Porozumienie" okazuje się oryginałem polskim wiersza „An — —" i rozstrzyga kontrowersję literacką między mną a Lemańskim. Utwór ten — z pewnością jeden z jego szkiców — różni się od improwizowanego własnego przekładu niemieckiego autora w kilku odcieniach i jest bogatszy o jedną strofkę. Ostro w nim występuje nietylko pogardliwy stosunek do śmierci, lecz również swoista wrogość i nieufność człowieka chorego do swego otoczenia, — stosunek psychologiczny, który był także tłem zaginionego dramatu Womeli „Consumatum est".

Całość podanych tutaj utworów stała się mimowoli cyklem poświęconym śmierci, cyklem, którego uwieńczeniem jest „Ave Maryja", utwór napisany podobno na kilka dni przed śmiercią. Szczególna gra wiary i niewiary jest tematem tego wiersza, w którym wraca także jeszcze raz rozpaczliwa troska o swoją spuściznę literacką, wyrażona dyskretnie: strzeż mojej harfy i psałterza... (Podobne motywy znalazłyby się może w utworach przedśmiertnych Lieberta).

Gdy jeszcze raz rozważam utwory Womeli, — nie utwory — ślady, — widzę i przyznaję: są rymy zdawkowe (moc — noc), metafory „wyświechtane" (sny i śni zbyt częste). Łatwo wyrwać tu i ówdzie kilka miejsc i zasugerować, że są nieudolne. Ale w związku z całością te same metafory mogą nabrać innego smaku i znaczenia, dla tego, kto nie patrzy na guziki i dziurki. „Kiedy światło skonało", „światło wiary mrok przysłania" nie chcą uchodzić za osobliwe „osiągnięcia", oznaczają skromnie tylko pewne fakty i dopiero siła idąca od treści odświeża także ich dawny walor jako przenośnie (np. trzykrotne, uparte zastosowanie zwrotu o świetle i mroku w „Ave Maryja"). Wyrafinowania Womeli zaczynają się w innych warstwach, tam gdzie nowi poeci już kończą, albo już dawno skończyli (psychologja w „Ave Maryja", zwrot „chce nam coś ukraść").

Współczesna poezja zagalopowała się w pośredniości. Lecz pocóż jest cała pośredniość, jeśli nie po to, aby drogą naokoło kuli wrócić do bezpośredniości. U Womeli „prymitywizm" „Porozumienia" jest po części chciany; to jest forma „rzucania na papier", forma testamentowa, gdy się już niema czasu.

Wiersze nowoczesne są jak glisty: można je pokrajać, każdy pierścień będzie się prezentował jako samodzielny, ale glista tem bardziej pozostaje glistą. Za miskę metaforycznej soczewicy nowocześni poeci sprzedają pierworództwo potęgi, jaka może promieniować dopiero w całej bryle. Dla mnie metafory zasadnicze, zawarte np. w brutalizowaniu śmierci przez autora, w nowym stosunku do Madonny, choć jako ukryte nie biją w oczy wprost, spełniają jednak świetnie najważniejszą misję metafory: twórcze przesunięcia w dziedzinie uczuć myśli i wyobraźni. (Twórcze, nowe, na co jest dowód à rebours w tem, że np. Lemański tam nie doleciał; tkwiąc w dawnych wyobrażeniach, a lekceważąc nieznanego sobie autora, nie zrozumiał go, zesłodził, spartaczył).

Nawet pomijając swój osobisty sentyment, mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że tych kilka wierszy daje mi więcej wzruszeń, niż dwadzieścia współczesnych tomików poezji. To nie są tylko zapowiedzi talentu, który byłby się rozwinął — jak pobłażliwie ten i ów przyznaje, ani to nie są ruiny czegoś, co się nie ziściło; to są pełnowartościowe rzeczy — **inne.**

OSTAP ORTWIN

Samoistność krytyki literackiej

Przedrukowany w nowym zbiorze polemicznych feljetonów Irzykowskiego „Słoń wśród porcelany", artykuł p. t. „O godność krytyki" przywodzi nanowo na myśl pamiętną, a poziom naszej współczesnej problematologji literackiej niesłychanie kompromitującą kampanję, jaką przed kilku laty, ze strony głównie autorów beletrystycznych, wytoczono przeciwko krytyce literackiej na łamach tygodników, poświęconych przecież nie czemu innemu, jak omawianiu dzieł literatury, a więc tejże krytyce właśnie. Załatwiano wtedy w gruncie rzeczy osobiste porachunki z niesympatycznymi sobie recenzentami. Że jednak nigdy prawie nie walczy się u nas z otwartą przyłbicą i pierś o pierś i nigdy niema zwyczaju sądom indywidualnym przeciwstawiać ścisłe, rzeczowe i konkretnie sformułowane zarzuty, zamiast spierać się z recenzentami o metody, zasady i podstawy każdej oceny, wolano ryczałtowo i ogólnikami uporać się z całą odrazu krytyką, odmawiając jej nietylko wszelkiej praktycznej użyteczności, ale odsądzając poprostu od samej racji bytu. Opinja autorów, wydawców i czytelników okazała się z przedziwną jednomyślnością w zupełnej co do tego zgodzie, że nikomu z nich krytyka nie była, nie jest i nie będzie potrzebna.

Oczywista, że niedopowiedzianem założeniem tej jednomyślności był stan ogólny świadomości kulturalnej u nas, poziom naszej myśli literackiej i stopień jej gospodarki. Oczywista, że w okresie powszechnej i zpowodu braku odpowiedniego kontyngentu odbiorców koniecznej, zdawałoby się, redukcji dóbr duchowych, przy ogólnej obniżce zainteresowań umysłowych i ciągłem kurczeniu kulturalnej stopy życiowej, przedewszystkiem uszczerbek ponieść musiałby ten dział piśmiennictwa, który jest późnym płodem daleko już w rozkwicie posuniętego życia literackiego, a we wcześniejszych, niedojrzałych, prymitywnych jeszcze fazach, uważany może być za zbytek z całym układem stosunków kulturalnych niewspółmierny, kosztowny, niepopłatny, a przeto zbędny. To też do identycznych wniosków niewątpliwie dojść musiałaby podobna dyskusja u Samojedów, czy Botokudów.



Fryderyk Pautsch: Portret Ostapa Ortwina.

Dobrano się z całą lekkomyślnością i swawolą krytyce do skóry, nie bacząc, jak niebezpieczne przez to dla wszystkich, każdego innego także rodzaju, form literackiej twórczości stwarza się precedensy. Tendencja kwestjonowania potrzeby pewnych działów piśmiennictwa i stopniowego ich zwijania w obecnej konstelacji duchowych u nas wymogów, łatwo ogarnąć bowiem może i dalsze piętra literatury. Budowa ich i tak na niezbyt mocnych wspiera się fundamentach. Potrzeba użyteczności wyższych, bardziej zróżniczkowanych, wyrafinowanych, ewolucyjnych jej rodzajów, zpewnością niełatwo dałaby się wykazać i uprawomocnić ze stanowiska zapotrzebowania i popytu na nie spożywców. Sprawa dóbr duchowych przedstawia się w świetle naszej mizerji nie lepiej, jak niski stan spożycia dóbr materjalnych, gdzieindziej uważanych zresztą za artykuły pierwszej potrzeby, których konieczność jednak w odpowiedniej konjunkturze wolnoby równie zakwestjonować. W pewnych, kryzysowych momentach korzystanie z szeregu wytworów cywilizacji jest już życiem nad stan. Przy postępującej, żywiołowej pauperyzacji inteligencji, najpraktyczniejszą okazaćby się mogła moda chodzenia dla równowagi budżetowej i tężyzny fizycznej bez butów. Konieczność obuwania swej stopy życiowej jest co najmniej problematyczna. Moglibyśmy wygodnie chadzać wszyscy i boso. Nasze baby wiejskie, zdążając do miasteczka na jarmark, szły ze względów oszczędności, z parą swego obuwia w ręku, w owych zamierzchłych czasach, gdy stać je było na sprzęt tak drogocenny. Na tę samą mniejwięcej modłę wyobrażają sobie beletryści marsz naszej literatury w przyszłość, z zabłoconemi w przydrożnych kałużach po same uszy nogami. Bez krytyki, na bosaka.

Cała dyskusja zresztą spełzła na niczem, żadnego nie wnosząc dorobku, poza elementarną, ciętą i świetną lekcją abecadła, udzieloną krytykom krytyki przez tak kompetentnego jej teoretyka i praktyka, jak K. W. Zawodziński. Pozytywnym jej pożytkiem było, że pod maską czytelnika wystąpił po raz pierwszy w szranki, udział biorąc w tym składkowym spisku beletrystów przeciwko krytykom, p. Jerzy Stempowski, który z paradoksalną niekonsekwencją zdołał się od tego czasu wybić szybko do rzędu czołowych, najpoważniejszych i najbardziej interesujących filozofów krytyki.

Skromnie natomiast i blado wypadła obrona krytyki. Frontalnym atakiem tuzów beletrystyki steroryzowani krytycy starali się wybłagać sobie prawo do zasiadania na szarym końcu „katzentiszu" bodaj literatury. Powoływali się nieśmiało na usługi, jakie świadczą autorom, rozwojowi literatury i społeczeństwu, czyto jako komentatorzy dzieł na użytek czytelnictwa, czyto jako regulatorzy sumienia literatury, jej prądów i kierunków, wywierający bezpośrednio taki lub owaki wpływ na „twórców". Aby ocalić krytyce resztki jej zagrożonego rzekomo prestiżu, dobroduszny, a zawsze z wielce srogą miną Irzykowski sięgnąć aż musiał do specjalnie ad hoc przyrządzonej teorji, że jest ona właściwie niczem innem, jak czemś w rodzaju także poezji, tylko w innym stanie skupienia, bo wyrazicielką poezjotwórczej, tkwiącej w każdym z nas, tęsknoty, która konfrontuje, sprawdza i ocenia zrealizowane plany cudzych dzieł, mierząc je planami własnemi. Przypisano zatem krytyce cele i zadania, które leżą wprawdzie w zakresie możliwości jej oddziaływania, jako funkcje wtórne, uboczne i pochodne, lecz jeśli chodzi o podstawowe jej założenia, właściwie nieistotne dla niej i przez nią niezamierzone.

Krytyka literacka, w nowoczesnem, najściślejszem bowiem tego słowa znaczeniu, jest odrębną, całkowicie samoistną formą twórczej pracy umysłowej, o celach własnych i wyłącznie poznawczych na oku. Jej przedmiotem badania, roztrząsania, rozumienia i wyjaśniania, opisu, charakterystyki i klasyfikacji są wytwory literatury i procesy ich wytwarzania, oraz stosunki, zachodzące między zjawiskami literatury, a innemi przejawami życia i procesów rzeczywistości społecznej. Prawdziwy, w zawodzie swym rozmiłowany i świadomy ciężaru i powagi tego posłannictwa krytyk nie dba o autorów ani o ogół czytelników. Nie chce i nie umie być popularyzatorem poszczególnych dzieł literatury, ani uprawiać ich propagandy. Nie jego rzeczą jest recenzjami przyczyniać się do poczytności książek, nie ma ambicji mentorować autorom protekcjonalnym przydziałem pochwał czy nagan lub wywierać indywidualny wpływ na rozwój i kierunek ich talentów. Nie jest organem pomocniczym ani pośrednikiem, ułatwiającym dostęp do nich czytelnikom! **Krytyk służy jednej tylko, głównej i naczelnej sprawie** i jedno tylko zna zadanie: **chce rozwijać krytykę, doskonalić jej środki i bogacić narzędzia**, mnożyć wiedzę o literaturze, ustalać i sprawdzać kryterja, pogłębiać i rozszerzać widnokręgi. W tem pokłada wszystkie swe usiłowania, a całą zasługę widzi w dokonywaniu na tem polu prac, wciąż nowych, odkrywczych i zdobywczych.

Jeżeli gdzie i komu godzi mu się pośredniczyć, to raczej chyba gotów jest służyć jako łącznik między ogólnemi teorjami filozofji, psychologji, estetyki, socjologji czy językoznawstwa, a konkretnemi dziełami literatury, któremi posługuje się jako materjałem prób i doświadczeń w swych laboratorjach. Materjał ten rozpatruje z najrozmaitszych punktów widzenia, kierując się w doświadczeniach swych swobodnie i dowolnie własnemi tylko zainteresowaniami i własne stawia zagadnienia, które rozwiązuje w rozlicznych przekrojach i płaszczyznach, najrozmaiciej się ze sobą przecinających!

Krytyka problematyzuje literaturę. W każdym utworze wybija dno. W śmiałych pchnięciach posuwa go na sam kraj przepaści, wiążąc z Całością Bytu, z wszystkiemi jego dziwnościami i nieogadłą tajemnicą: zawiesza pytajniki nad najprostszą, najpowierzchowniejszą, zdawałoby się, piosenką, najbłahszą anegdotą. Nigdy sobie sprawy nie upraszcza, zawsze każdą robotę utrudnia, wszystko supła i wikła. Poprzestaje na wynikach swych rozmyślań i poszukiwań, nie troszcząc się zgoła o to, komu i na co są one przydatne. Swą rację bytu krytyka czerpie immanentnie z siebie samej i w sobie samej ją szuka i znajduje. Idealną byłaby forma krytyki, **któraby się nawet obejść potrafiła bez dzieł realnie istniejących.** Pracowałaby w wymiarze urojonym nad rozbiorem dzieł fikcyjnych i nieistniejących. Dopóki na pobojowisku trwa jeden choćby niedobitek, któremu taka forma życia i działania dogadza i wystarcza, byt i potrzeba krytyki jest zabezpieczona. Samem swem istnieniem promieniując, stwarza i szerzy bowiem dokoła siebie atmosferę kulturalną wysokiego ciśnienia, podnosi poziom umysłowego życia, jego wymogów i kryterjów. W takim tylko klimacie rodzić się i powstawać mogą dzieła szczytowej miary i rzadkich walorów, o wytężonem napięciu duchowem, które budzić mogą daleki oddźwięk i mir w świecie intelektualnym.



Fryderyk Pautsch: Portret A. Muellera, autora powieści „Henryk Flis".

Na tych doprawdy wyżynach do pomyślenia byłaby dyskusja nad metodami, środkami i sposobem rozwiązywania konkretnych zagadnień. Ale jeśli wśród elity beletrystów rozpęta się zasadnicza kontrowersja na temat samej potrzeby i przydatności krytyki, świadczy ona o niedojrzałości i nieokrzesaniu życia umysłowego, budzącem podejrzenie, że pod maską stołecznej ogłady broni wciąż jeszcze duch baraszkującego sarmatyzmu.

Od środowiska, w którem za rekordowy wyczyn krytyki uchodzić może postawienie zagadnienia o tak historycznej doniosłości, jak czy Mickiewicza otruto, czy też naprawdę umarł na cholerę lub kiedy i ile razy przespał się z Ksawerą Deybel, albo czy Fredro syn uroczył się przed ślubem, czy po ślubie Fredrze ojcu, niepodobna oczekiwać pracy surowej i poważnej.

Łudzę się, co więcej, mam w Bogu nadzieję, że Lwów, który w przeszłości już umiał zawsze zachować trzeźwy sceptycyzm i chłodną rezerwę względem wszelkich przygodnych i jednodniowych haseł, programów i prądów, ma w tradycji swej warunki nader sprzyjające temu, aby wyhodować u siebie opartą na nowoczesnych badaniach, ścisłą, naukową i objektywną krytykę literatury. Jeśli oznaki nie mylą, tworzy się w tym kierunku i przygotowuje odpowiednia placówka przy Wszechnicy króla Jana Kazimierza, która była raz już, i to niedawno, gniazdem całej, oryginalnej szkoły filozoficznej.

Quod felix, faustum, fortunatumque sit.

WIKTOR FRANTZ

Dwukonna bryka Pana Tadeusza

Właśnie przed stu laty... przed wiekiem...

Chociaż, jeżeli wziąć pod uwagę czas pisania, to już chyba dobry czubek parnastu miesięcy narósł kopiato nad tym wiekiem, a może nawet lat paru, gdyby wypadło się cofnąć aż po rok 1831, kiedy to jeszcze Pan Tadeusz nazywał się Żegotą.

Ale czy warto w obliczu stuletniego jubileuszu sprzeczać się o jakieś kilkanaście, a choćby kilkadziesiąt nawet miesięcy. Nie warto i nie wypada i nie o to zresztą idzie.

Dość że jakieś tam sto lat temu

> Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
> I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.

Prawdę jednak mówiąc, to choć to przed stu laty wydano, sto trzy temu napisano, właściwie cała ta historja zaczynająca się od „właśnie" wydarzyła się ni mniej ni więcej tylko przed 116 laty.

Było to bowiem w r. 1818 w pewien letni, sobotni wieczór; wszyscy wyszli oglądać żniwo i nikt nie wybiegł witać dwóch młodych panków, co zajechali właśnie pod ganek dworku tuchanowickiego.

Tak jest — dwóch ich było, ale gdy Tuchanowicze zamieniły się w Soplicowo, pan Tadeusz gdzieś po drodze towarzysza swego zagubił. Zagubił, ale nie bez reszty, i jeśli się kto dobrze przyjrzy dwukonnej bryce, niezawodnie brak owego drugiego panka zauważy.

Bo i jakże, młodzieniec

> Wysiadł z powozu; konie porzucone same,
> Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.

A przecież panicz

> Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
> Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.

I wrócił. Ale czyjąże bryką przyjechał? Wynajętą chyba, tylko gdzież jest woźnica, któryby zapłatę należną otrzymawszy, z końmi do miasta powrócił. Gdybyż to własna bryka, to i wtedy pachołek jakiś siedziałby na koźle, ten sam co podczas nauk panicza koło koni chodził, obrok w żłoby sypał i siana nakładał. Nie wysłano też koni ze dworu po naszego panka, bo po pierwsze i wtedy bez chłopa z batem by się nie obeszło, a po drugie przyjazd młodziana był przecież niespodzianką jak to choćby z powitania Wojskiego Hreczechy wywnioskować można.

I jakoś dotąd nikomu na myśl nie przyszło spytać Tadeusza, czyjemi to końmi przyjechał do stryjaszka. A gdyby go był tak ktoś za język z tej strony pociągnął, możeby się i ciekawych dowiedział stąd rzeczy.

Ale cóż, krytyk oficjalny bada tylko „prawdę dziejową", z trudem umiejscawia akcję w jakichś nieprawdopodobnych Wołkowiczach czy Czombrowie, Soplice przerabia na Soplicowo, dochodzi różnych nic nie mówiących dat, na podstawie własnych zamiłowań wnioskuje, że Mickiewicz badał na globusie położenie gwiazd, albo jeszcze inni niewątpliwe, przez wszystkich odczuwane piękno, wyjaśnia żmudnie ze stanowiska „estetycznego rozbioru dzieła".. Gardzi taką analizą psychoanalityk; on szuka w dziele artysty drobnych usterek, niedopatrzeń, omyłek — tego wszystkiego co się w krytyce nazywa „licentia poetica": na ich podstawie dochodzi do ciekawych, często zdumiewających, jak np. Baley w psychoanalizie pewnej omyłki Słowackiego — odkryć.

Skoro więc z folwarku

> ...Konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano,
> Jako w porządnym domu, i obrok i siano.

Krytycy uspokojeni o ich los przestali się niemi zajmować. Aż teraz po stu zgórą latach zachciewa się komuś interpelować Pana Tadeusza o towarzysza podróży i niedyskretnie badać, co z nim zrobił po drodze. Jest to jednak tajemnica poliszynela i odkrywam tutaj Amerykę, mówiąc, że przyjazd „Tadeusza" był „mutatis mutandis" zdarzeniem zupełnie prawdziwem.

A jak to było, opowiem.

Z dawna już słysząc o wielkiej gościnności pana Michała Wereszczaki, o zacnych zaletach pani marszałkowej, o uroku i w dziękach panny Wereszczakówny — wybrał się wreszcie pewnej soboty Adam Mickiewicz z Tomaszem Zanem do Tuchanowicz. Długą drogę na trzęsącej kałamaszce umilał pan Tomasz swemu towarzyszowi rozpowiadaniem cudów o wdziękach Marji Wereszczakówny, którą po swojemu, romantycznie Marylą nazywał.

Kiedy pod zachód słońca wjechali w szeroko otwarte dla każdego wrota, jakby zapraszające przejezdnych w gościnę, nikt jakoś wbrew przypuszczeniom Zana nie wybiegł na ich spotkanie. Widać

> „We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto
> Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto".

Ale pan Tomasz nie zmartwił się tem wcale

> ...do folwarku nie biegł sług zapytać
> Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać."

i oczywiście pokazać Adamowi. Bo Zan w tuchanowickim dworze czuł się jak u siebie w domu. Michał Wereszczaka był jego przyjacielem a on tak częstym gościem we dworze, że mu nawet jeden osobny pokój na kwaterę przeznaczono. Widać jednak ostatnio dość długo nie przyjeżdżał, bo kiedy wprowadził Adama „do swojej komnaty", ze zdziwieniem ujrzeli w niej „mieszkanie kobiece". Rozglądali się wokoło

> wszystko porzucano
> Niedbale i bezładnie — nieporządek miły!
> Niestare były rączki co je tak rzuciły.
> Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta
> Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta;
> A na oknach donice z pachnącemi ziołki,
> Geranijum, lewkonja, astry i fiołki.

Po białej sukni a przedewszystkiem po znanej sobie dobrze różowej szarfie, poznał Zan, kto się tu wprowadził na dawne jego miejsce. Oczywiście Maryla.

Na Mickiewicza wejście do tego pokoju, zwłaszcza potem, czego się o pannie od Tomasza w drodze nasłuchał — zrobiło wielkie wrażenie i głęboko wryło się w pamięć. Nie na żarty Zan twierdził wśród kolegów, że Adam nim obaczył Marylę już się naprzód w jej sukience zakochał.

Nie tu jednak miejsce i pora na kreślenie dziejów tej miłości. Nas ciekawi co innego. Kiedy po latach, na nielubianym paryskim bruku, dojdzie Mickiewicz do wniosku, że na emigracji

> ... w świecie nieproszonych gości,
> W całej przeszłości i w całej przyszłości
> Jedna już tylko jest kraina taka,
> W której jest trochę szczęścia dla Polaka:
> Kraj lat dziecinnych!...

i w tę krainę lat dziecinnych

> Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
> Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
> Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
> Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem...

wybierze się do cudownych obrazów Matki Boskiej romantyczną kałamaszką, na modłę Hermana i Doroty zaprzężoną w skrzydlatego pegaza i kiedy wreszcie zajedzie pod dwór chędogi, stojący pośród ciemnej zieleni topoli, tą samą drogą, i w ten sam sposób, i o tej samej porze, o której niegdyś przywiózł go Zan do Tuchanowicz — mimowoli budzi się pytanie, czemu nie wziął tam teraz ze sobą, pana Tomasza?

I kiedy śledczym wzrokiem zaczniemy przetrząsać ową dwukonną brykę, która sobie w międzyczasie spokojnie odjechała na folwark, zobaczymy, że Adam po drodze przywłaszczył sobie „prawa" Tomasza do owej gościnnej komnaty, a jego samego wyrzucił z bryczki, zapewne już gdzieś u „Płużyn, ciemnego boru, kędy wjechawszy zatrzymał swe konie, by się przypatrzyć jezioru".

Widocznie podświadomie — co jest jasne dla psychoanalityka — zazdrościł poeta towarzyszowi — że Maryla w jego zamieszkała sobie pokoiku i tem łatwiej podstawił w poetycznem wspomnieniu siebie pod Zana, że sam chyba miał większe prawo napisać pod datą 24 sierpnia 1819 r. w Tuchanowiczach, ów sztubacki wiersz, podpisany przez Tomasza Zana na samym krańcu kartki sztambuchu Maryli

> Kto dla Cię z większym szacunkiem wielbieniem.
> Niech się podpisze pod samym imieniem.

A może jeszcze inne okoliczności wpłynęły na to, że Adam wyrzucił Tomasza z taradajki. Nie trzeba ich nawet daleko szukać, same podsuwają się pod oczy. Wiemy, że Tadeusz nie odrazu się cofnął z pokoju Maryli, tak jak to uczynili Zan z Mickiewiczem i że doczekał się tam czegoś, po czem

> Wyszedł zmieszany i czuł, że mu serce biło
> Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć
> To dziwne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Ujrzał mianowicie „ją" w białem, powiedzmy nader przewiewnem ubraniu, w takiej romantycznej koszulce.

> W takiem Litwinka tylko chodzi z rana,
> W takiem nigdy nie bywa od od mężczyzn widziana;
> Więc, choć świadka nie miała,
> (okazuje się jednak, że świadek był, jak to ostrożność nigdy nie zawadzi) założyła ręce
> Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
> Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
> Pokręcony, schowany w drobne strączki białe
> Dziwnie ozdabiało głowę.

Otóż to — trudno było ze sobą ciągnąć Zana, aby zobaczył to co widział tylko sam Mickiewicz, i co było tylko jego a może i Maryli tajemnicą. Bo i to musi być historja z prawdziwego zdarzenia. Świadczy o tem ów strój, w którym Litwinki „chodzą tylko z rana" — i owe strączki-papiloty nierozplecione jeszcze, choć się już miało pod wieczór. Gdyby poeta nieopisywał prawdziwego zdarzenia, nigdyby mu wyobraźnia podobnie nakręconych włosów u dziewczyny o tej porze dnia nie nasunęła pod pióro.

Musiało to być któregoś wczesiego poranku w czasie pobytu w Tuchanowiczach. Adam zerwał się widać wcześnie, może spać nie mógł i wyszedłszy do ogrodu wodził zakochanym wzrokiem po ścieżkach, dopatrując się na nich śladów swej bogdanki. I nagle... resztę już wiemy.

Kiedy po latach wracał w kraj lat dziecinnych, wejście do pokoju panieńskiego i spotkanie z dziewczyną niekompletnie ubraną — jako wstrząsy uczuciowe poety o jednakowem zabarwieniu i walorze złączyły się w jeden obraz i jedno zdarzenie. Promienie wschodzącego słońca są przecież tak samo długie jak zachodzącego, chociaż z innej padają strony. A papiloty — o tem zapomniał poeta, tak jak zapomniał o woźnicy na koźle — przed oczyma miał bowiem żywe, zachowane przez pamięć obrazy i przedstawiał je wiernie „czując — jak sam pisał — wstręt okrutny do wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie, i królów, których niema w historji", a więc zapewne i opisów z nieprawdziwego zdarzenia.

Inna rzecz, że „mając w obramieniu pamięci tyle — cytuję tu Pigonia — miejscowości szczególniej silnie wrytych w duszę już to przez swą wagę, powiedzmy, materjalną, już też przez poświęcenia uczuciowe... poeta nie wybiera jednego z nich, nie osadza akcji w punkcie terytorjalnym, któryby się dał pokazać palcem".

A to samo co mówi Pigoń o topografji Pana Tadeusza, da się również odnieść i do charakterystyki osób. Najmniej typowym przecież, najmniej charakterystycznym, najmniej jednolitym i najmniej uchwytnym plastycznie dla wyobraźni czytelnika jest sam główny bohater występujący w roli tytułowej. Na postać jego jak widać z pierwotnej nazwy „Żegota" (imię tego samego Domejki — dla uwiecznienia, którego zmyślił później ową żartobliwą anomastyczną historję a zarazem najweselszy epizod poematu) z omówionej co dopiero sprawy dwukonnej bryki — złożyli się, jak i na poemat (przypomnijmy tylko opis matecznika), potrosze przyjaciele, którzy jak żórawie

> Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną,
> I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
> Każdy ptak chłopcu jedno pióro zrzucił,
> On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...

Ale skrzydła skrzydłami. Poręczniej przecież było załadować bagaż wspomnień na brykę i takim ekwipażem wybrać się w strony rodzinne. Rzemiennym jechał w Nowogródzkie dyszlem, popasał tu i ówdzie, często i gęsto, choć to niby ze względu na jedność akcji, miejsca i czasu krokiem się z Soplicowa nie ruszył, chyba w okoliczne lasy, i jeszcze do zaścianka Dobrzyńskiego. Gdyby tedy dobrze przetrząść brykę, nieopatrznie przez poetę bez woźnicy zostawioną, a przez krytyków na wespół z fornalami skrzętnie i pieczołowicie wciągniętą z miejsca do wozowni, możeby się jeszcze nie jeden ciekawy kawałek stamtąd, z tej historji szlacheckiej we dwunastu księgach, wierszem — wyciągnęło. A teraz przebiega się po tem niewidzącemi oczyma, rozszerzając prawo licencji z autora na czytelnika, z twórcy na krytyka. A to jest już bezprawie. I dlatego trzeba czasem ciekawemi oczyma i myślą poszperać i tam, gdzie dotąd nikt nie zaglądał, choćby to była cudza dwukonna bryka i cudzy, lat pyłem przesypany bagaż.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

PRZED BURZĄ

Kwadrat okien i przepaść ulicy,
za kurnikiem drutów — spazm powietrza.
Upał kopnął kamień kamienicy,
omgła spełzła odrobinę bledsza.

Jasnem okiem w chmur szarpanym dymie
wpadł brzęczący owad samolotu,
ukłuł niebo, zatrzeszczał swe imię,
spłynął dalej — by dalej terkotać.

Więc oboje rozpletli swe ręce.
Ktoś powiedział: „zapomniałem o czemś"
Już nie brakło ustom pocałunków.
Chłód wziął upał i szedł chmur zamroczem.

Kwadrat okien — w przepaści ulicy
flet hamulców i wozów czynele.
Lęk wyszeptał: „Ktoś woła... ktoś krzyczy"
Odpowiedział mu głos „coś nas dzieli".
Znów samolot szyby rzędem liczył.

Dźwięk szedł dachem i blaszany dudnił,
rośnie, grozi, zatacza się, śpieszy.
Echo w szafie: masz oczy jak studnie.
I szkło brzęczy: twe oczy odeszły...

Ogon krzyku w wstążce metalowej,
mija, kreśli, przebyte, odpływa.
Lęk zawrócił: trzeba miłość łowić...
Wraca prawda: zapóźno... nieżywa...

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

NIEWAŻNE DNI

Przychodzicie, zamówione na codzień, aby odejść wieczorem
I przyjmować was trzeba poprostu — przecież niema wyboru.

Takby chciało się wiedzieć — znać, podsłuchać, wyśledzić —: być [niezwykle...
I nic z tego nie wyjdzie — jakoś przejdzie... nie przyjdzie — [zgaśnie nikle

Łakniemy ich, jak pełnych półmisków, przygotowanych nie dla nas
Wieczorami pogodnie umierają w kalendarzach na ścianach.

Stamtąd zaczyna się nic i tam się zawsze zakończy jałowo,
I znów się rano otwiera drzwi, żeby daremnie wyjść nanowo.

W pustą zwykłość, w najnieważniejszy dzień — zanim przechyli [się w dosyt,
W kalendarzach, między białe dni, wlepimy czarne kartki — nocy.

KAZIMIERZ TWARDOWSKI

PESYMIZM I OPTYMIZM

Dużo się dziś mówi o pesymizmie. O optymizmie mniej. Pesymizm zdaje się bowiem należeć do inwentarza naszych czasów. Utwory poetów modernistycznych bywają zwykle nastrojone na nutę pesymistyczną, a i poza poezją dosyć jest pesymizmu w świecie dzisiejszym. Szybki w ostatnich czasach wzrost liczby samobójstw kładzie się także zwykle na karb rozwielmożniającego się coraz więcej pesymizmu, a czasem daje się słyszeć skarga, że pesymizm zaraził sobą nawet młodzież, której cechą bywał dawniej przecież niewątpliwie płomienny optymizm.

Ale chociaż wiele się mówi o pesymizmie, mało kto umiałby dać zwięzłą i jasną odpowiedź na pytanie, czem właściwie jest pesymizm. Jest to objaw dość zwykły, że z dokładnego znaczenia pewnych haseł, pewnych utartych, ogólnie przyjętych wyrazów, najmniej umieją zdać sprawę ci, co temi hasłami najwięcej i najkrzykliwiej wojują. Taka niejasność myśli zdarza się tem łatwiej, jeżeli pewien wyraz ma kilka znaczeń pokrewnych a przecież różnych, jak to właśnie dzieje się z pesymizmem.



J. H. Rosen: **Obrona Częstochowy.** Fresk w kaplicy papieskiej w Castel-Gandolfo.

Wyrazy pesymizm i optymizm mają bowiem znaczenie dwojakie: odróżniamy te dwa znaczenia, mówiąc o pesymizmie teoretycznym i praktycznym i tak samo o optymizmie teoretycznym i praktycznym. Przez pesymizm teoretyczny rozumiemy przekonanie, iż na świecie jest więcej złego niż dobrego, więcej cierpień, aniżeli szczęścia, więcej przykrości, aniżeli przyjemności. Teoretyczny optymizm twierdzi przeciwnie, że więcej jest w świecie dobrego, aniżeli złego, więcej szczęścia, aniżeli cierpień, więcej przyjemności, aniżeli przykrości.

Po czyjej stronie leży słuszność? Czy po stronie pesymistów, czy po stronie optymistów? Jedni i drudzy bronią uparcie swego poglądu. Pesymiści wskazują na wielką ilość cierpień, przez które każdy człowiek przechodzi w swej wędrówce od kolebki do grobu. Przypominają niezliczone wysiłki i trudy, których człowiek podjąć się musi, chcąc zabezpieczyć sobie byt jaki taki, podnoszą, że na każdym kroku musimy sobie odmawiać licznych przyjemności a często nawet rzeczy, służących do utrzymania zdrowia lub do lepszego rozwoju naszych władz duchowych, a wyliczywszy cały szereg nieszczęść i niepowodzeń, na które człowiek ustawicznie jest narażony, kończą zdaniem, że dla człowieka lepiejby było, gdyby się wcale nie rodził, a urodziwszy się, jak najprędzej zstąpił do ciemnych wrót Hadesu. Wszak przyjemności, których człowiek za życia może zaznać, są tak małe, tak nieliczne, a zwykle bywają okupione tak wielkim wysiłkiem, że nie warto się o nie ubiegać i że żadną miarą nie mogą wynagradzać cierpień ludzkich.

Niemniej żywo bronią swego poglądu optymiści teoretyczni. Już samo życie, mówią, jest wielką przyjemnością. Prawda, że nie brak w niem cierpień i nieziszczonych pragnień; ale gdzie jest światło, tam nie może nie być cienia; gdzie są rzeczy przyjemne, nie może nie być rzeczy przykrych. Nie powinno nas to smucić, tem więcej, że rozkosze życia są tak liczne i wielkie! Ileż rozkoszy daje nam roztaczające się wokoło nas piękno przyrody! Ile chwil prawdziwego zachwytu doznajemy dzięki sztuce! Ale i poza pięknem dużo, niezmiernie dużo jest rzeczy, które dostarczają nam niezamąconych przyjemności. Przyjaźń i miłość, praca dla narodu i ludzkości, a choćby zaparcie się siebie dla wzniosłych ideałów i pełna poświęcenia działalność około ich urzeczywistnienia, czyż to nie są źródła wielkich a trwałych rozkoszy? Cóż wobec nich znaczą chwilowe przykrości, zwłaszcza, że w ich znoszeniu można doprowadzić do wielkiej cierpliwości? Piękny jest zaiste świat i warto na nim żyć.

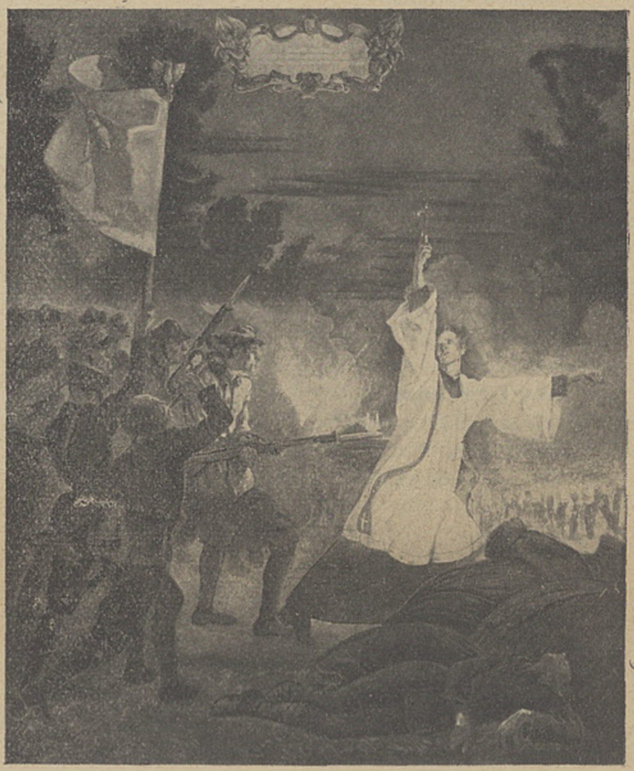
W ten i podobny sposób spierają się z sobą teoretyczny pesymizm i optymizm od tysięcy lat, a spór między niemi jeszcze nie został rozstrzygnięty. Nic dziwnego, ponieważ spór ten nie może być rozstrzygnięty; wskutek czego kwestja, czy słuszność jest po stronie pesymizmu czy optymizmu teoretycznego, jest kwestją zupełnie jałową. Że tak jest, nietrudno wykazać.

Ponieważ przyjemności i przykrości istnieją tylko o tyle, o ile ich ktoś doznaje, przeto trzebaby, chcąc rozstrzygnąć spór między pesymizmem a optymizmem teoretycznym, wiedzieć, czego ludzie więcej doświadczają: przyjemności, czy przykrości? A chcąc wiedzieć, czy ludzie doznają więcej przyjemności czy przykrości, trzebaby naprzód stwierdzić, jak się rzecz ma z każdym poszczególnym człowiekiem. Tymczasem każdy może się łatwo przekonać, że to niemożliwe. Pomińmy te wyjątkowe wypadki ludzi niezwykle szczęśliwych i ludzi, których na każdym kroku prześladuje nieszczęście, i zapytajmy się, każdy siebie: Czy miałem w życiu więcej chwil przyjemnych czy przykrych? A nietylko o l i c z b ę tych chwil przyjemnych i przykrych chodzi, lecz także o to, czy w i ę k s z e były przykrości, czy przyjemności przezemnie doznane. Trzebaby jednem słowem przeprowadzić dokładną statystykę chwil przyjemnych i przykrych, uwzględniając przytem także stopień przyjemności i przykrości.

Zadania tego przeprowadzić nie można. Przypuśćmy bowiem nawet, że udałoby się zliczyć chwile przyjemne i przykre, które każdy z nas przechodził (a jest to rzeczą niemożebną, chociażby już ze względu na pierwsze lata dzieciństwa), to przecież nie udałoby nam się nigdy stwierdzić, czy większe były doświadczone przyjemności, czy przykrości. Miary w tym kierunku nie posiadamy żadnej. Albo czy kto odważy się powiedzieć coś o tem, czy większa jest przykrość, wywołana śmiercią drogiego nam brata, czy przyjemność, spowodowana wiadomością, że brat nie umarł, że wieść o jego śmierci była mylna? Niema tedy mowy o tem, by można kiedykolwiek rozstrzygnąć naprawdę spór między teoretycznym pesymizmem a optymizmem; jeżeli więc ktoś twierdzi, że na świecie jest więcej przykrości, aniżeli przyjemności, a drugi mówi przeciwnie, wtedy obaj wypowiadają twierdzenia gołosłowne, których żaden z nich w sposób przekonywujący uzasadnić nie jest w stanie.

Ale jest jeszcze inny pesymizm i optymizm, zwany p r a k t y c z n y m. Czem jest ten praktyczny pesymizm i optymizm, łatwo wyrazić zapomocą znanego powiedzenia, że pesymizm widzi wszystko w barwach czarnych, optymizm wszystko w barwach różowych. Znaczy to, że pesymizm praktyczny skłonny jest do upatrywania we wszystkiem raczej stron i cech ujemnych, aniżeli dodatnich, do przeceniania tych stron ujemnych i do przeoczania stron dodatnich. Pesymista w znaczeniu praktycznem uważa ludzi raczej za złych jak za dobrych, nie wierzy w ziszczenie się swych pragnień, nie dowierza swym własnym siłom i zdolnościom, przewiduje na każdym kroku przeszkody i niepowodzenia. Optymista praktyczny przeciwnie widzi w ludziach samych aniołów, jest przekonany, że potrafi urzeczywistnić swe plany, posiada wielką pewność siebie, wierzy w siebie i jest tego zdania, że wszystko mu się musi udać, cokolwiek zechce przeprowadzić. Pesymista bywa zgryźliwy, podejrzliwy, optymista natomiast patrzy w świat wesoło i żywi do wszystkich pełne zaufanie.

Taki jest pesymizm i optymizm praktyczny. I znowu można się zapytać, po czyjej stronie jest słuszność. Ale i tutaj nie można odpowiedzieć na to pytanie, chociaż z innych powodów, aniżeli przy teoretycznym pesymizmie i optymizmie. Praktyczny bowiem pesymizm i optymizm jest wynikiem po części usposobienia, po części osobistych doświadczeń. Człowiek, który przeszedł w życiu wiele rozczarowań, którego łatwowierność wyzyskiwano, łatwo przerodzi się w praktycznego pesymistę, zwłaszcza, jeżeli już zgóry miał usposobienie ponure, przystępniejsze dla uczuć przykrych, aniżeli dla przyjemnych. Człowiek natomiast, któremu zawsze się w życiu wiodło, który spotykał się zawsze tylko z ludźmi uczciwymi, będzie wyznawał praktyczny optymizm, zwłaszcza, gdy natura obdarzyła go zdrowiem i wesołem usposobieniem. Ale pesymista może doświadczać rzeczy, które kłam zadają jego smutnym przywidzeniom, tak samo jak i optymista może się znaleźć w położeniu, które sprzeciwi się jego optymistycznym poglądom na świat i ludzi. Wszak nie ma racji ani ten, który twierdzi, że wszyscy ludzie są źli i że nic się człowiekowi nie wiedzie, ani też ten, który mówił, że wszyscy ludzie są bez zarzutu i że powodzenie towarzyszy wszystkim sprawom ludzkim. Prawda leży, jak zwykle w takich razach, pośrodku. Nie można żywić wobec wszystkich uprawnionej nieufności, ale też trudno każdemu ufać, jeżeli nie chce się być wyzyskiwanym i w dodatku wyśmianym. Trzeba sądzić każdego człowieka zosobna wedle jego postępowania, ale nie można ryczałtem ludzi albo potępiać albo wynosić pod niebiosa. Kto zaś ma usposobienie, skłaniające go do jednej z tych ostateczności, ten niechaj z tem usposobieniem walczy, niech stara się zgłuszyć jego podszepty i niechaj trzeźwo, a nie przez pryzmat swego usposobienia patrzy na świat i ludzi. Nie będzie on wtedy coprawda ani pesymistą ani optymistą, ale będzie człowiekiem rozumnym, który będzie ile możności widział świat i ludzi takimi, jakimi są w istocie.



J. H. Rosen: **Bitwa pod Radzyminem.** Fresk w kaplicy papieskiej w Castel-Gandolfo.

Niema więc co począć w życiu z hasłami pesymizmu i optymizmu; mącą one tylko trzeźwy sąd o rzeczach i ludziach, a idąc za ich głosem można łatwo ulegać przykrym nieraz pomyłkom. Lepszym w życiu przewodnikiem, aniżeli choćby najpiękniej brzmiące hasło, jest i pozostanie zawsze rozumne zastanowienie się.

HENRYK BALK

ROZMOWY Z NOCĄ

1. FIKCJA

Mózg — żarek papierosa
tli
w ciemności.
Mrok
gmera
w ślepych, lepkich rybach-kolosach.
Stęchłe podniebienie nieba.
Morze, jęzor gruby, mlaskający.
W ciemności kto?
Mózg,
bohaterski Alain Gerbault.
Walczy szpilką z mrokiem-wrzodem.
Łyżeczką
(czy złotą?)
zjada ogrom — strach.
Kryje się w fałdach — snach.
Ucieka w dzień.
Ucieka w sens.
I splata włosy eteru
w logiczną fikcję świata.

2. STRACH

Wiatr w strychu.
Kłuje niepokojem.
Dorosłe dzieci także się boją.
Jeszcze jasno.
Gdy okiem dziewanny zagasną,
gdy noc
do futryn
nadpłynie, zaszumi powodzią,
strach
będę
sypać
czarnym, ostrym łodziom.
Wiatr wyje.
Strych —
czarny fortepian,
czarne palce niczyje.
Wiatr wre, warczy, wybucha.
Kruche są deski, kruche belki.
Strach,
jak Bóg,
wielki.

3. MAGJA

Heretycy,
czarownicy,
pożądamy srebrnej cycy!
Brać magiczna,
w mroku drżąca,
prężym wargi do miesiąca!
Czarna nocy!
Czarna krowo!
Ryknij!
Tryśnij księżycowo!
Luń z wymiona lepką rzeką
lunatyczne
mroźne
mleko!
Chlust!
Już ustom cieką fale!
Prują
ciało
wskróś
astralem,
wieczną wiedzą ciało pełnią,
noc spełniają
świętą pełnią.

4. SERCE

W czarnej
chłodnej
miednicy,
w miednicy z czarnego lodu
myję
spocony
cuchnący
dzień!
Myję
oczy
usta
szyję!
Płuczę
Płuczę
serce!
Kluczem snu
otwieram —
wchodzę —
ogrody!
Drzewa wycięte z księżyca!
Trawy z jedwabnej abstrakcji!
Trójkąt w trzeźwych nożycach!
W srebrnych tonach
w cichych ramionach
śpi
żłóbek nadludzkiego blasku,
brzask — brzask tryljonowy,
wszystkie Mahomety, Chrystusy, Synaje,
alfa,
kosmogeniczne jaje.

5. STARY TESTAMENT

Strach nocnej letniej burzy
zanurzył mnie
w Bogu pierwotnym,
chłostał policzkami błyskawic,
prał po pysku,
chlustał,
walił brutalnym Synajem.

I choć wstaje już
trzeźwy dzień,
strach nie ustał
i mam
w ustach
nie papierosa,
lecz krzak namiętny,
gorejący
Starym Testamentem.

KAZIMIERZ AJDUKIEWICZ

„Ogół" i „ogół"

Co innego jest „Ogół" przez duże „O", a co innego „ogół" przez małą literę. „Ogół" przez duże „O", to organizacja ludzka, „ogół" przez małą literę, to poszczególni ludzie razem wzięci. „Ogół" istnieje, dopóki ludzie spojeni są więzami organizacji właściwej dla danego „Ogółu"; „ogół" zaś istnieje, dopóki istnieją poszczególni ludzie, którzy doń należą.

Można poświęcać „Ogół" dla ratowania „ogółu" i naodwrót. W czasie cofania się armji, kompanja wojska została odcięta i znalazła się na tyłach nieprzyjacielskich, bez nadziei połączenia się ze swoimi, w sytuacji, w której poszczególni żołnierze do kompanji tej należący narażeni byli na śmierć albo niewolę. Dowódca kompanji dla ratowania „ogółu" żołnierzy, polecił im rozproszyć się i ukryć, gdzie który mógł. Decyzja dowódcy poświęcała kompanję, dla dobra ogółu należących do niej żołnierzy. Dla dobra „ogółu" rozwiązany został „Ogół". — Małe państewko, zagrożone w swym bycie przez potężne mocarstwo, broni swej niepodległości, jakkolwiek wcielenie małego kraiku do obszaru państwa potężnego sąsiada dałoby mieszkańcom lilipuciego państwa o wiele lepsze warunki egzystencji materjalnej i zapewniałoby zupełną swobodę ich swoistego rozwoju kulturalnego. Państewko podejmuje wojnę obronną; ponosi olbrzymie straty w ludziach i w mieniu; dobrobyt mieszkańców, ich szczęście, ich kultura na skutek poniesionych w wojnie strat wyraźnie podupada. Podejmując w takich warunkach wojnę obronną poświęcają czynniki decydujące małego państwa dobro „ogółu" dla podtrzymania egzystencji swej organizacji państwowej, dla „Ogółu".

Wyraz „Ogół", przez duże „O", to rzeczownik, oznaczający pewien twór zbudowany z indywiduów ludzkich, trwający w czasie i żyjący, choć poszczególne indywidua ludzkie do niego należące giną i umierają, a na ich miejsce wchodzą nowe. „Ogół" to coś w rodzaju organizmu, którego niejako komórkami są poszczególni ludzie. Państwo, naród, klasa, kościół i t. p. to takie „Ogóły" na wielką skalę. Ale istnieją też „Ogóły" na skalę mniejszą, np. kompanja wojska, spółdzielnia mieszkaniowa, rodzina, szkoła i t. p.

Wyraz „ogół" przez małe „o", choć gramatycznie biorąc jest rzeczownikiem, pod względem swego sensu rzeczownikiem nie jest. Zdanie „ogół słuchaczy był zadowolony z audycji" znaczy mniejwięcej tyle, co „słuchacze (wszyscy, lub w większości) byli zadowoleni z audycji". To też ściśle biorąc wyraz „ogół" w takich kontekstach jest znaczeniowo raczej przysłówkowem określeniem orzeczenia niż podmiotem.

Dobro ogółu jest najwyższem dobrem. Zdanie to, powtarzane od wieków, stało się już truizmem, któremu nikt nie ma ochoty zaprzeczać. Ale — jak widzimy — wyraz „ogół" jest dwuznaczny. Gdy o dobru ogółu mówiono w XIX wieku, miano na myśli „ogół" przez małe „o" Dobro ogółu ludzi. Dzisiaj panuje moda na „Ogół" przez duże „O". Dobro ogółu to dziś przedewszystkiem dobro państwa lub dobro narodu lub dobro klasy i t. p., a więc dobro tworu ponadindywidualnego, dobro organizacji, choćby okupione ofiarą dobra ogółu (przez małe „o") poszczególnych indywiduów ludzkich.

Kierunek etyczny, który za najwyższą wartość, za cel, któremu wszystko inne ma służyć, ogłasza dobro Ogółu (przez duże „O") zowie się uniwersalizmem. Przeciwstawia mu się indywidualizm, dla którego najwyższą wartość posiada dobro jednostek ludzkich, twory ponadindywidualne zasługują zaś na nasze zabiegi i starania o tyle tylko, o ile dobru jednostek służą.

Gdy przychodzi nam wybrać pomiędzy hasłem uniwersalizmu „dobro Ogółu przedewszystkiem", a hasłem indywidualizmu „dobro jednostek przedewszystkiem", wyda nam się to pierwsze hasło czemś bardziej godziwem, a hasło indywidualizmu czemś, co zasługuje na potępienie, czemś, co pachnie niskim egoizmem. Byłoby to niesłuszne. Albowiem indywidualizm może wprawdzie, ale nie musi być równoznaczny z egoizmem.

Indywidualizm, stawiający dobro ludzkich jednostek na najwyższym szczycie piramidy wartości, może bowiem występować pod trzema postaciami. Może być egoizmem, o ile ogłasza, że nikt nie powinien dbać o nic innego ponad własne dobro. Może być altruizmem, gdy cudze dobro jako cel najwyższy wskazuje. Może wreszcie stawiać ponad wszystko dobro ogółu ludzi, przyczem dobro własne i dobro innych na równi jest traktowane.

Będzie to altruizm umiarkowany, który, o ile utożsamia dobro człowieka z jego szczęściem, nazywa się utylitaryzmem. Hasło altruizmu umiarkowanego brzmi „dobro ogółu ponad wszystko", taksamo jak hasło uniwersalizmu. A jednak zasadnicza zachodzi różnica pomiędzy oboma temi hasłami. Uniwersalizm bowiem stawia ponad wszystko Ogół przez wielkie „O", altruizm umiarkowany pisze w swem haśle „ogół" przez małe „o".

I kto wie, czy nie jest tak, że uniwersalizm, korzystając z podobieństwa brzmienia swego własnego hasła z hasłem altruizmu umiarkowanego nie przywłaszcza sobie bezprawnie tej sympatji, którą ów altruizm darzymy. Altruizm zjednywa nas sobie swem serdecznem ciepłem, gra na strunach najszlachetniejszej sympatji jaką człowiek czuje dla człowieka. Uniwersalizm jest pokornym czcicielem organizacji, którą ludzie sobie zrobili, aby im służyła lub która niezależnie od woli ludzkiej się ukonstytuowała i stawia ją na ołtarzu, niby bożka, każąc mu składać ofiary z ludzi, z ich szczęścia, z ich dobra, z ich krwi. Dla uniwersalizmu ważniejsze jest, aby ludzie pozostali związani węzłami pewnej organizacji, niż żeby byli szczęśliwi.

Jednakowoż i altruistyczny indywidualizm przypisuje wartość Ogółowi przez duże „O", tylko nie ceni go bezwzględnie, jako coś samo przez się wartościowego, ale jako środek, jako narzędzie dla dobra ogółu przez małe „o".

Dobro Ogółu przez duże „O", np. państwa lub narodu bywa bowiem związane z dobrem ogółu (przez małe „o") poszczególnych jego obywateli. Podnosi ich dobrobyt, daje im większą swobodę rozwoju kulturalnego i t. d. Związek między dobrem tworu ponadidywidualnego a dobrem ogółu jednostek doń należących jest szczególnie wtedy silny, gdy jednostki te przeżywają ów twór ponadindywidualny, a więc np. naród lub państwo, jako swą własną rozszerzoną jaźń.

Istnieje postać przeżyć, którym daje się wyraz przy pomocy słowa „my". Gdy polska ekipa sportowa odnosi na terenie międzynarodowym zwycięstwo, cieszy się przeciętny Polak, siedzący w domu i wcale nawet nie zajmujący się sportem i daje wyraz tej swej radości w zdaniu „myśmy zwyciężyli". Cieszy się i czuje się zadowolony w swej próżności w podobny sposób, jakgdyby to był jego sukces osobisty. „Myśmy wygrali", to nie znaczy ja i mój sąsiad i moi znajomi i nieznajomi Polacy wygrali. Radujący się tryumfem polskiej drużyny czuje w tej chwili całkiem osobiście. Owo „my", czuje on jakgdyby drugie swoje „ja". Człowiek ma bowiem dużo form przeżyć osobistych, przeżyć w pierwszej osobie, jakkolwiek tą pierwszą osobą nie musi być on sam, ale może nią być jego rodzina, jego miasto, jego naród, jego państwo, a nawet ludzkość, a więc owe różne postaci Ogółów przez duże „O". Potęgowanie owych przeżyć odczuwanych jako przeżycia w pierwszej osobie, którą jednak nie jest sama osoba przeżywająca, ale twór ponadindywidualny, „Ogół", naród, czy państwo, jest naczelnem zadaniem wychowania narodowego, wzgl. państwowego.

Dzięki tym przeżyciom w sposobie rozszerzonej jaźni, dobro Ogółu (przez duże „O") bezpośrednio splata się z dolą i niedolą ogółu jednostek, które w tym właśnie sposobie umieją przeżywać. Tryumfy państwa własnego cieszą nas jak nasze, jego klęski dotykają nas boleśnie, jakby się nam samym przytrafiły, jego zagłada stanowi jakgdyby śmierć własnego „ja", tem boleśniejszą, że świadomą. Osobista ofiara na rzecz dobra „Ogółu" przez duże „O", odczuwana jest nie jako ofiara na rzecz kogoś innego, ale jako ofiara uczyniona z jednej jaźni na rzecz jaźni drugiej, ale własnej.

Wskutek tego związku pomiędzy dobrem organizacji a dobrem ogółu jej członków ustosunkowuje się w rezultacie altruistyczny indywidualista do owych organizacyj taksamo, jak i uniwersalista. Domaga się od poszczególnych jednostek ofiar i czci dla organizacji, dla Ogółu przez duże „O", taksamo jak i uniwersalista.

Różnica pomiędzy altruistycznym indywidualistą a uniwersalistą leży tylko w przesłankach, na których jeden i drugi opiera swój postulat, domagający się ofiar ze strony jednostek na rzecz dobra Ogółu przez duże „O", a więc na rzecz narodu, państwa, klasy i t. d. Altruistyczny indywidualista opiera ten postulat — jak to już mówiliśmy — na przekonaniu, że dobro Ogółu przez duże „O", przyczyni się do dobra ogółu przez małe „o". Uniwersalista zaś na takiej przesłance się nie opiera. Motywem skłaniającym go do żądania ofiar ze strony jednostek na rzecz pewnej organizacji jest u niego najczęściej rozszerzony egoizm. Mówiliśmy już wyżej o przeżyciu in modo rozszerzonej jaźni, któremu dajemy wyraz przy pomocy słówka „my". W przeżyciu takiem dolę i niedolę Ogółu przeżywamy w pierwszej niejako osobie, przeżywamy jako naszą własną. Żądając dla dobra tak odczuwanego Ogółu ofiar ze strony innych organizacyj, z któremi się nie utożsamiamy i ze strony innych indywiduów ludzkich, żądamy od nich ofiar dla dobra tworu ogólnego, które odczuwamy jako własne dobro. Żądanie to ma więc poniekąd charakter egoistyczny, jest przejawem egoizmu rozszerzonego.

W wyniku tej różnicy pomiędzy uniwersalistą, a altruistycznym indywidualistą, w innem znajduje się położeniu jeden, a w innem drugi, gdy z wielu możliwych a wykluczających się organizacyj jedną przychodzi im wybrać. Altruistyczny indywidualista wybierze tę, która mu się wyda najbardziej skutecznem narzędziem dla dobra ogółu (przez małe „o"), uniwersalista zaś wybierze w takim wypadku tę, z którą się zżył, do której się przywiązał. Dlatego — jak się zdaje — uniwersalista znajdzie się zwykle w obozie zachowawczym, altruista zaś stawać będzie w szeregach ludzi, dążących do zmian, do postępu.

Z. ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

Nacjonalizm kas ogniotrwałych

Są problemy ciekawe; i są najciekawsze. Do ostatnich należy problem pracy i płacy w budownictwie odradzającej się Palestyny. Interesować on powinien nietylko Żydów, ale przedewszystkiem i tych, którzy w nacjonalizmie pokładają wszystkie swe nadzieje na odrodzenie narodów, do których należą, którzy widzą w nacjonalizmie środek do wydźwignięcia ludzi na najwyższe szczyty doskonałości etycznej, którzy widzą w nim źródło najsilniejszych podniet, powód — do największych ofiar.

Nacjonalizm żydowski jest nacjonalizmem najżywszym, mającym za sobą racje bardzo istotne — i tak namacalne, że nie trzeba ich tu przytaczać. Nacjonalizm żydowski jest nacjonalizmem budującym, nacjonalizmem ofiar, nie korzyści, nacjonalizmem rezygnowania z dobrych posad a nie zdobywania ich, — i to go najbardziej i najkorzystniej od wszystkich innych nacjonalizmów odróżnia. Śmiało twierdzę, że do roku 1933-go w szeregach sjonistycznych znajdował się tak duży stosunkowo odsetek szczerych ideowców, że przewyższał on znacznie liczbę ideowców wszystkich ruchów nacjonalistycznych Europy. Ten stan rzeczy był bowiem naturalną konsekwencją ghettowej formy bytowania Żydów w Diasporze, był konsekwencją ich mistycyzmu i religijnego wychowania, ich znacznego udziału w ruchu komunistycznym wszystkich krajów w pierwszych latach po rewolucji rosyjskiej. Zczasem, w miarę utraty nadziei na realizację socjalistycznego budownictwa w krajach Diaspory, młodzież żydowska poczęła wstępować w szeregi sjonistyczne, pozwalając religji Teodora Herzla zająć miejsce, zajmowane dotychczas przez religję Karola Marksa. Była to dla tej młodzieży jedyna furtka wyjścia z długiego i coraz bardziej beznadziejnego stanu oczekiwania na nowego proroka-realizatora wielkiej idei Marksa w krajach Diaspory.

Jechało się więc do Palestyny, w której realizowano w sposób godny podziwu dwie wielkie idee: żydowskiego home'u narodowego i socjalistyczną ideę współpracy. Jechano lub gotowano się do wyjazdu do kwec i kibuców (jednostek pracy kolektywnej).

Ale prócz tych emigrantów, przesiąkniętych ideą socjalistyczną napływał do Palestyny i inny element: drobny i wielki kapitał. Powstały prywatne przedsiębiorstwa. Robiono wielkie inwestycje, które wcale się handlowo nie opłacały, a żydowscy filantropi w rodzaju Rotschilda przeznaczali na fundusz narodowy kolosalne sumy. Przeglądając listę ofiar pieniężnych na cele budującej się Palestyny, na zakupno ziemi i inwentarza dla kolektywnych kwuc i kibuców — ortodoksyjny marksista mógł obserwować na sobie samym, jak wiara jego w walkę klas, w kapitalistycznego wroga — kruszy się i rozpada. Miał namacalne dowody, że ponad osobistym czy klasowym interesem góruje w wielu Rotschildach miłość do kraju praojców, do kraju, o którym marzą miljony ich rodaków.

Słowem — idylla wielka taka.

Piękny i zamożny Tel - Awiw, Pagórek Wiosny, jest w ręku prywatnych kolonistów żydowskich. I oto niedawno gazety żydowskie przyniosły niespokojną wiadomość o pewnej uchwale rady miejskiej Tel - Awiwu, dotyczącej szkolnictwa.

Hebrajskie szkolnictwo palestyńskie zostało zorganizowane przez sjonistyczną „Keren Hajesod" a od niedawna przeszło w ręce Rady Narodowej (Waad Leumi), która zaspakaja potrzeby tego szkolnictwa głównie z podatków przez siebie ściąganych. w niej silnie ślady starej zasady kapitalistycznej: płacę, więc wymagam. Nie wiem czy wśród radnych Tel-Awiwu są tacy Żydzi-sjoniści, którzy niegdyś za pieniądze drugich Żydów chcieli trzecich Żydów wysłać do Palestyny, a w końcu sami, zmuszeni okolicznościami do kraju praojców wyjechali. Faktem jest, że ta kompromitująca uchwała zapadła.

Oto drobny odcinek wielkiego zagadnienia, oto jeden z warjantów zasadniczej kwestji — kwestji jak świat starej i dla niemarksistów ciągle jeszcze nierozstrzygniętej: — czy ludzie są zdolni do rozumienia własnego interesu?

Marksizm stawia wprawdzie to zagadnienie inaczej, nie w formie problemu, lecz twierdzenia, i nie w formie zagadnienia filozoficznego, lecz gospodarczego. Marks mówi poprostu, że między kapitalistą a proletarjuszem może dojść do zgody tylko drogą rewolucji.



K. Sichulski: Św. Hubert. Obraz w ołtarzu kaplicy myśliwskiej w kościele św. Elżbiety we Lwowie.

W Palestynie jest inaczej; tam są warunki specjalne; państwo jest ciągle jeszcze in statu nascendi. Tam się dopiero buduje to — co ewentualnie trzeba będzie zniszczyć drogą rewolucji. Palestyna buduje się, a jeżeli ma być home'em narodowym żydowskim, musi się budować żydowskiemi rękoma. Nie kapitałem — a rękoma. To jest ważne. To jest najważniejsze. Od tego zależy wszystko, cała przyszłość wielkiej idei, — od tego zależy, jakby powiedział marksista, kto w przyszłej Palestynie będzie robił rewolucję: żydowski czy arabski proletarjat.

opłacać drogiego robotnika żydowskiego, pioniera, chaluca, i drogą ofiar budować wielką i drogą rzecz, o! tak! drogą: ojczyznę?

Ta sprawa jest ciągle problemem, a — jak się rzekło — być nim nie powinna. Dla ludzi ożywionych, już nie ideą socjalistyczną, ale „zdrową", mocną, atawistyczną ideą nacjonalistyczną — problemu tu niema. Bez chaluców, bez pionierów nowej ojczyzny — niema i samej ojczyzny.

Czy trudne to do zrozumienia? Czy nie takie myśli muszą się nasunąć każdemu myślącemu narodowcowi? — Nie może tu być mowy o braku zrozumienia.

Więc?

Jesteśmy dziś świadkami nadzwyczaj ciekawego procesu, — procesu, który nam unaocznia, że niema państwa narodowego bez sprawiedliwości społecznej, bez ofiar dobrowolnych ze strony klas posiadających, lub bez przymusu tych ofiar. We wszystkich państwach Europy czy Ameryki, a już szczególnie w tych, w których istnieją t. zw. rządy narodowe, i gdzie obok zagadnień socjalnych nieznaczną tylko rolę odgrywają zagadnienia narodowościowe, — twierdzenie, że państwem narodowem może być tylko państwo sprawiedliwości społecznej, uważane jest za oklepaną śpiwkę partyjną, za argumencik, który przestał być niebezpieczny. W tych państwach wszystko jest zestywniałe, cały ustrój ujęty w klamry praw narzuconych ciemnej przeważnie masie wiejskiego i miejskiego proletarjatu, w tych państwach (Niemcy i t. d.) można socjalistycznemu człowiekowi odpowiedzieć, że Niemcy są państwem narodowem nietylko dla przekonań większości rządzącej, ale przedewszystkiem dlatego, że w Niemczech mieszkają Niemcy. I, niezbyt biegły w djalektyce człowiek socjalistyczny połknie ten argument jak pigułkę aptekarską, po zażyciu której trzeba zamknąć twarz, aby jej spowrotem nie oddać! We wszystkich krajach, poza Palestyną, wymóg sprawiedliwości społecznej, socjalizacji życia narodowego jest uważany za demagogję, obliczoną na bezpośrednie korzyści partyjne.

Ale w Palestynie nie mieszkają narazie Żydzi... Stanowią oni grubą mniejszość.

Toteż poza naszem zainteresowaniem dla sprawy żydowskiej jako takiej i poza obserwacją narastania idei sjonistycznej w społeczeństwie żydowskiem, obserwujmy z uwagą ten ciekawy dramat, rozgrywający się w teatrum palestyńskiem; obserwujmy nasilenie i gorącość nacjonalizmu kapitalistów żydowskich, patrzmy, do jakich ofiar wznieść się dzięki niemu potrafią i kiedy chaluce uznają, że można znieść już posterunki, które nocą strzec muszą żydowskie rynki pracy przed zalewem chętnych rąk arabskich.

To już nie wielka, magnacka filantropja Rotschilda jest tu potrzebna, nie szlachetne ryzykanctwo kapitalistów, inwestujących w wielkich zakładach elektrycznych Rutenberga; tu niema mowy o filantropjach i ciepłej ręce, lecz o twardej grze sił: moralnej, nacjonalistycznej, powiewającej marzonym narazie tylko sztandarem niepodległego państwa, — i głęboko zakorzenionej sile instynktów klasowych, gospodarczych nawyków i racji stanu ogniotrwałych kas.

Czy narodowcy żydowscy rozumieją swój interes, interes państwa narodowego, i jak go rozumieją? Czy klucz do ich nacjonalistycznych uczuć zagubił się gdzieś między interesikami dnia codziennego i czy wczas pożaru trzeba będzie złodziejskim



Eljasz Kanarek, członek bractwa św. Łukasza: Krucjata dziecięca.



K. Sichulski: Powrót z wesela na Huculszczyźnie.

Rozumie się — że fundusze rozdziela ona na szkoły poszczególnych ośrodków wedle klucza istotnych potrzeb a nie wysokości podatków, wpłaconych przez dane ośrodki. I ta właśnie gospodarka, jedynie racjonalna z punktu widzenia interesów narodowych żydowstwa, nie podobała się radzie miejskiej Tel-Awiwu. Radni tego pięknego i zamożnego miasta prywatnych kolonistów żydowskich, uważają, że korzystnem byłoby dla nich wyrwanie się spod opieki Waad Leumi, że z podatków, które płacą, możnaby większe cuda w szkolnictwie poczynić, aniżeli te, które aranżuje socjalistyczna Rada Narodowa. To też rada miejska Tel-Awiwu uchwaliła oderwanie szkół jej miasta od ogólnej sieci szkół, — uchwaliła, i uchwałą tą zademonstrowała, że tkwią

Wypływamy na szerokie wody; dochodzimy do sedna zagadnienia; wymówiło się słowo: Arab.

Arabowie palestyńscy to wielka masa kilkakroć tańszego od Żydów robotnika. Arab nie kończył w Polsce czy Rumunji gimnazjum. Arab nie miał ojca panem doktorem lub handlarzem drzewa; Arab nie używa szczoteczki do zębów. Arab jest robotnikiem tanim.

Oto dylemat, który nie powinien być dla palestyńskich właścicieli pardesów dylematem: wynająć taniego robotnika arabskiego, robić na tem dobre interesa i wstrzymać w ten sposób imigrację chaluców, bez których będą tylko dobre interesa ale nie będzie Palestyny, — żydowskiego home'u narodowego, — czy też

rakiem rozpruwać napęczniałe banknotami brzucha ich ogniotrwałych kas?

W Palestynie pożaru nie będzie, bo Palestyna budująca się potrzebuje kapitału, którego groźbą rewolucji wystraszać nie można. I właśnie dlatego, w tej swobodnej grze sił, w sytuacji, w której możemy mówić jedynie o przymusie psychicznym, presji „Opinji" i opinji publicznej, — właśnie w tej sytuacji nacjonalizm musi pokazać co umie.

Gdy się obserwuje element, imigrujący dziś do Palestyny, nie można mieć wielkich nadziei na zobaczenie jakichś cudów w kraju Izraela. Ale — bądźmy cierpliwi. Czas nam pokaże, co najgorętszy z nacjonalizmów potrafi z siebie jeszcze wykrzesać.

KAZIMIERZ BUKOWSKI

Najsmutniejsza książka

Trzy książki wzniosły się w ostatnich latach ponad poziom przeciętnej poczytności i zdobyły wielki sukces światowy: Remarque'a „Na zachodzie bez zmian", Huxleya „Ostrze na ostrze" i Celine'a „Podróż do kresu nocy"*). Gdyby zmierzyć ich wartość miarą artystyczną, największe walory posiada bezsprzecznie powieść Huxleya, łącząca wnikliwość głębokiej i bystrej introspekcji psychologicznej z kunsztownością oryginalnej konstrukcji. Powieści Remarque'a i Celine'a nie są tworami tak świetnego i wybitnego intelektualizmu, jak niepospolita powieść Huxleya, lecz brak ten okupują innym, cennym walorem: prostotą i szczerością wypowiedzi. Zwłaszcza powieść Celine'a doprowadzona jest do ostatecznych granic bezkompromisowości i nagiego odsłaniania wszystkich przedstawianych faktów i wydarzeń. Jakkolwiek nierównej miary artystycznej i kontrastowo rozbieżne pod względem nasilenia, tonu, głębi i formy, wszystkie one są jednak dokumentami równej wartości: głębokiemi przekrojami dzisiejszej epoki, ukazującemi całą surową nagość współczesnej obyczajowości i bezdenny tragizm ludzkiej cywilizacji.

Powieść Celine'a, posiadająca wiele analogji z książką Remarque'a, nie jest właściwie powieścią. Jest to autobiografja, namiętna spowiedź, wierny i niesfałszowany pamiętnik rzeczywistych przeżyć i refleksyj autora. Fikcyjne nazwiska występujących osób są jedyną literacką koncepcją w tej ponurej i nabrzmiałej oskarżeniami książce. Wypadki, opisywane przez Celine'a, nie tworzą jakiegoś literackiego schematu, nie są celowo i artystycznie skomponowaną grą, lecz płyną tak, jak wyrastały w życiu autora. Wiemy to zresztą z biografji autora: jako 20-letni chłopak przeżył wojnę, był w szpitalu wojskowym, potem wędrował do Afryki, gdzie kontynuował studja lekarskie, po uzyskaniu dyplomu lekarza przebywał w Ameryce, gdzie pracował jako zwykły robotnik, poczem wróciwszy do Francji praktykuje jako lekarz na przedmieściach Paryża.

Tę samą kolejność wypadków zawiera życie głównego bohatera książki Celine'a, Ferdynanda Bardamu. Pod rzekomo fikcyjnemi postaciami kryją się więc ludzie, wzięci żywcem z osobistych przeżyć autora. W ten sposób powstała odyseja Bardamu-Celine'a, jedna z najdziwniejszych książek, jakie ukazały się w ostatnich czasach w literaturze świata, książka, będąca surogatem czystych przeżyć, myśli i wrażeń, przesiąknięta stuprocentowo bólem i nabrzmiała jego własnem cierpieniem.

Może dlatego znalazł Celine tyle odwagi, ażeby mówić prawdę z taką furją, namiętnością i bezwzględnością, ażeby wymierzać cywilizacji dzisiejszej tak druzgocące policzki. Ta pasja oskarżenia, nie cofająca się przed niczem, jest u Celine'a wypływem przekonania o słuszności swoich sądów, opartych w całości na prawdzie bezpośrednich przeżyć i doznań.

„Podróż do kresu nocy" jest historją wędrówki ludzi, którzy przeszli życie do samego dna, do najgłębszego jego spodu, którzy wyczerpali wszystkie możliwości i stanęli przed śmiercią: nie znaleźli już bowiem w rzeczywistości niczego, coby im dawało możność przeżywania nowego jutra. Ludzie ci wyszli z wojny, jako z tego najpotworniejszego kotła, w którym przeżerały się do cna ich ciało i dusza. Tam poznali siebie i otoczenie, przejrzeli do głębi to, co było przesłonięte dotąd maską konwenansu, obłudy, dobrych obyczajów i pozornej cywilizacji. W obliczu śmierci, głodu i nędzy, w rozluźnieniu wszystkich moralnych więzów, ludzie odsłonili prawdziwą swoją naturę: zwierzęctwo, bydlęcość, draństwo i łajdactwo. Wędrujący przez to piekło zgrozy i podłości Bardamu sam odkrywa wszystkie prawdziwe instynkty swojej własnej natury. Czuje więc, że jest tchórzem, jak tchórzami są otaczający go ludzie, choć się do tego nie przyznają, dochodzi bowiem do przekonania, że tchórzostwo jest cechą ludzi posiadających wyobraźnię i mogących sobie wyobrazić grozę śmierci. Wojna jest dla niego czemś odrażającem, bezcelowem, niezrozumiałem. Cóż go obchodzą interesa klas wyższych, posiadających, walczących jego krwią o utrwalenie swego prawa do dobrobytu, do spokojnego i bogatego życia. Wojna nie przyniesie mu więcej niż dał mu spokój, a jeśli chodzi o sławę, któż będzie pamiętał jego nazwisko w dziesięć lat po wojnie! Dla Bardamu-Celine'a wojna jest nietylko ohydną zbrodnią, popełnianą na ludzkości, nietylko rzezią ludzi pędzonych pod nóż, jak dla Remarque'a i Barbusse'a, ale rzeczą jeszcze groźniejszą: nieobliczalnem absurdem, niepoczytalnym porywem manjaków. W świetle tego absurdu komiczne wydają się Celinowi wszystkie ideowe nastawienia: rzeczywistość z całą nagością natury ludzkiej sprowadza całą ideologję wojny do jednego mianownika zwierzęcej nienawiści i jeszcze silniejszego od niej tchórzostwa.

To nastawienie Celine'a czyni przedstawiony przez niego obraz wojny jeszcze potworniejszym i bardziej makabrycznym niż u Remarque'a. Surowy i szorstki realizm Remarque'a obnażył wszystkie okropności wojny, lecz ludzie pozostali na jej tle bohaterscy i szlachetni. Superrealizm Celine'a, sięgający do trzew, nie oszczędził nikogo: zamienił całą wojnę z jej grozą i okropnością, z jej demonizmem i bohaterstwem, z jej wypadkami i ludźmi, w lepkie, grzązkie, beznadziejne, szare błoto. Niżej już zejść niepodobna. Od tych nizin najgłębszych chyba tylko droga do śmierci.

Gdy u Remarque'a jest wojna największą potwornością, jaką wydało życie, djabelskim młynem, miażdżącym ludzi i wyrzucającym ich poza nawias zdrowego społeczeństwa jako nieudolnych wykolejeńców, u Celine'a wojna jest dopiero początkiem strasznej wędrówki. Celine pokazuje w swej książce, że są jeszcze gorsze piekła niż piekło wojny: życie kolonjalne w Afryce, straszliwy żywot robotnika w Ameryce, nędza i bezdenna rozpacz, brud i ohyda moralna drobnomieszczańskiego społeczeństwa, przeżartego syfilisem powojennej obyczajności. Wyzysk murzynów, gnębionych bez miłosierdzia przez białych, bitych i kopanych, ograbianych z najcięższej pracy rąk przez zdeprawowanych plantatorów, ta „afrykańska łaźnia tropikalna dla instynktów", to dalszy etap „podróży", jeszcze straszniejsza niż wojna. A jeszcze upiorniejszy, to obraz życia Celine'a-Bardamu wśród drobnomieszczańskiego środowiska przedmieść paryskich wraz z jego sadyzmem, zwyrodnieniem erotycznem, ciemnotą umysłową, piekłem nędzy, opuszczenia, brudu i demoralizacji, obraz, gaszący ostatni promień nadziei wśród tej i tak bezdennie czarnej i posępnej nocy, którą przebył Celine-Bardamu.

Nie jest chyba rzeczą uboczną, że autor „Podróży do kresu nocy" jest lekarzem. Mógł on dotrzeć z łatwością do tych najniższych i najbrutalniejszych pokładów życia, które są dla innych zamknięte. Mógł widzieć i obserwować przerażające przejawy chorób, niewidzialnych dla drugich. I to czyni jego książkę tak wstrząsająco prawdziwą. Ale z drugiej strony książka jego czyni wrażenie jakiejś koszmarnej wiwisekcji, jakiegoś pławienia się w ropiejących ranach konających, skazanych bez żadnej nadziei na śmierć. Przekrój życia, dokonany wprawnym i odważnym lancetem lekarza Celine'a, ukazuje w całej nagości chorobę bez ukazania środka na jej uleczenie. Zapomniał o tem Celine w zawrotnym szale sekcjonowania. Prawdziwy i rzeczywisty jest świat, przedstawiony przez Celine'a, lecz ciągłe przebywanie w mrokach pozbawiło go zdolności spostrzegania światła. W książce Celine'a niema ludzi szlachetnych (prócz jedynej amerykańskiej prostytutki Molly), niema idealizmu, wyższych celów, wzniosłych porywów. A co gorsze: niema żadnego celu. Celem jest chyba śmierć, która jest kresem wędrówki. Ale czy taki cel może być pozytywny? Książka Celine'a jest samą negacją. Wieje z niej bezdenny pesymizm. I dlatego mimo wielkiej i mocnej prawdy życia, mimo głębokiej bezpośredniości, mimo wstrząsającej oczywistości faktów, jest najtragiczniejszą i najsmutniejszą książką, jaką w ostatnich czasach napisano. Z trójcy Remarque, Huxley, Celine, ten ostatni zeszedł najgłębiej. Ale z tej głębi, do której odważnie dotarł, nie znalazł już drogi powrotnej do światła.

---

*) Louis Ferdinand Céline: „Voyage au bout de la nuit". Roman. Paris 1932. Editions Denoël et Steele. Str. 623 i I nl.

WŁODZIMIERZ LEWIK

POCZTÓWKA Z WENECJI

Tak się o tem nie myśli, nie marzy i nie śni...
lecz słowo „czar" czaruje, a „wzniosłość" brzmi wzniośle
gdy się wplątać w tę gęstwę zaułków i cieśnin
kiedy sienią-ulicą wędrować na oślep

słyszysz — dzwon: gołąb biały, perłowy i szary —
kaskadą wniebowstąpień tryl dzwoni za trylem
Marja della Salute z Marją dei Frari
dmą naprzemian we fletów śpiewne campanille

z dachów niebo trzepoce wąską chorągiewką
a wśród murów różowych, w okien majestacie
zachciało się w południe śniadolicym dziewkom
porozwieszać na sznurach koszule i gacie

upał; grupki turystów: oh yes! siehst du, Müller!
wiew kartki szeleszczące Baedeckerów muska —
cień się skrada z pod arkad — i rośnie; za chwilę
zgasi słońce w kopuły szmaragdowych łuskach

addio! już u brzegu kołysze się barka
pocóż grzebać w historji oklepanem próchnie!
w drogę! rżą, rwą się klacze od Świętego Marka
a w dole mórz królowa lazurowo cuchnie

WILHELM RAORT

XIV Targi Wschodnie

Wędrowcem jestem z dalekich stron.

Z krainy, gdzie nic kupić, ani sprzedać nie można.

Na targ wasz przybyłem, ludzie; z krainy wygasłych kraterów, wystygłej lawy i popiołu szarego, by ujrzeć, jak wyglądają oczy płonące chciwością, chrapy rozdęte pożądaniem i palce kurczowo ściśnięte przemocną siłą gorączki złota. Z krainy dalekiej przybywam; tak cichej i smutnej, że obcy wam jestem na tym targu i śmieszny, jak kukiełka cudackiego truposza na parkiecie nowoczesnego dancingu.

Kupcem jestem z krainy umarłej i cichej...

Ja niczego u was nie kupię — wy mi niczego nie sprzedacie.

A jednak jestem wśród was na targu.

Może „potarguję się" dla konkurencji — może towar oglądnę — udam zainteresowanie, patrząc na wasze eksponaty — może nawet zapalę teatralne światełka w swych oczach zamarłych, lecz wy mi nie wierzcie, ludzie!...

Wasz targ jest mi za mały, za ciasny...

Wasze targi obejmują zazwyczaj tylko jedną stronę świata — a jam ci przehandlował dolę swoją na wszystkich krańcach globu.

Miałem w arendzie ból całego świata — kochałem uczuciem wszystkich ras — płonąłem i ostygłem temperaturą wszystkich stref — wzlatywałem i upadałem siłą wszystkich sił.

Byłem na targach Wschodu, gdzie kupowałem przepiękne baśnie Szeherezady i gwiazdy tajemnie płonące wśród granatowych opon wschodniego nieba...

Byłem na targu Zachodu, gdzie łowiłem ton, światło, barwę, woń i dźwięk, które filtrowałem przez stosy bibuły uczoności ludzkiej...

Na targu Południa kupowałem mozaikę fioletowych cieni czających się we framugach starych witraży romańskich; sprzedawałem ciche, niedomówione szepty ultramarynowych wieczorów i dźwięki słodkie mandolin, płynące z gondoli, kołysanej ciepłą piersią sennego morza...

Na targu Północy kupowałem kryształy i stalaktyty łez opalizujących mlecznym refleksem syberyjskich śniegów; łowiłem skrzyp szubienic i szlochy tłumione dusz, wleczonych na Golgotę...

Młotem mocarnego Losu przekuwałem swe serce w ogniu podziemnym i hartowałem je w lodach polarnego morza... aż pękło!

...A teraz jestem kupcem z krainy zamarłej i cichej...

Ja niczego u was nie kupię — wy mi niczego nie sprzedacie...

TYMON TERLECKI

O sztuce malarskiej Leopolda Gottlieba

Łączy mnie z tą sztuką stosunek bardzo osobisty. Przed laty była ona obecna niemal u pierwszego przejrzenia mojej świadomości. Wzajemnie na wiosnę tego roku, ja sam byłem przytomny naglej, zawsze jednakowo przerażającej, zawsze tak samo niemożliwej do przyjęcia sprawie jej śmierci.

Na strychu domu, w którym mieszkała moja matka i pewnie na każdym strychu stąpając, budzi się z siwego, mącznego pyłu, z nieruchomych, rozprószonych smug światła — niepowrotne dzieciństwo. Tam wśród zeszytów z wypracowaniami, wśród straszliwej trygonometrji, „słówek" greckich i słów polskich, które wtedy jeszcze zdawały się łatwe, wśród starych, zestrzępionych podręczników leżą pobłażliwe dokumenty dziecięcych — chłopięcych manjactw. Zbiór papierowych znaczków, które mi przypinano do poły płaszcza lub klapy mundurka każdej, każdej wojennej niedzieli, teczki, kartony, albumy. Zapełnia je pożółkłe listowie obrazków, wycinanych z pism, kalendarzy, ulotek legjonowych, zwilgotnione wióra kart, reprodukcyj, grawjur. To jest to wspólne moje z Leopoldem Gottliebem: to co egzaltowało jego dojrzałą męskość i moje smutne, zaburzone chłopięctwo.

Gdy minionego roku spotkałem go poraz pierwszy w Paryżu, powiedziałem poprostu: „Na rysunkach Pana uczyłem się Polski". Nie okazał zdziwienia, nawet poruszenia. Może wydawało mu się to równie proste i zwyczajne, jak mnie. Miał zresztą jakąś wewnętrzną rezerwę i jakiś jawny a niepochwytny smutek w sobie. Może chciał już uczyć świat czego innego.

Spotykałem go potem wielokrotnie na zebraniach towarzyskich, na środowych konwentyklach dziennikarzy polskich w Café de Flore, w jego skromnem atelier na Mont Rouge. Był właściwie brzydki. Przykrótki, przysadzisty, klocowaty. Ręce miał zbyt długie i zbyt wielką głowę, powiększoną jeszcze przez rozrzenięte, posiwiałe włosy. Twarz ściekała fałdami wprost na barki podsunięte w górę. Posuwał się ciężko i niezgrabnie. Mówił też niezbyt wiele i jakby bezbarwnie. Tylko oczy jasne, przyblakłe miały zaprzeczającą tej powierzchowności odrębną, własną wymowę. Zdawały mi się gorzko doświadczone i smutnie pogodzone z goryczą doświadczenia.

Minionej zimy zdaje się z końcem marca był u mnie. Nad Paryżem, nad stołem mego hotelowego pokoju od miesięcy wisiała dławiąca, oślizgła posępność. Byłem chory, gotujący się do wyjazdu na Południe. Mówiliśmy o jego wystawie niedawno otwartej w Galerie Zak, i o mojej, jak mówiłem, żrącej mię nostalgji za słońcem. Więcej niż usta, jego oczy przyświadczyły mi, że tę okrutniejszą z tęsknot rozumie. Gdy wróciłem w kwietniu, moją wizytę za Porte d'Orléans uprzedziła wiadomość, że Gottlieb nie żyje. Ta rozmowa o mojej tęsknocie i jego wystawie była ostatnia.

Żywo mi stoi w myśli ten pokaz, o którym nikt nie myślał, że jest przedśmiertny. Później zrozumiałem przecież, że zawierała się w nim jakaś nieuchronna ostatniość, nieprzekroczoność. Było w tem końcowem słowie coś uderzająco jednolitego i — jednotonnego. Ten fakt zastanawiał jeszcze więcej w obliczu bogactwa, różnolitości, rozrzutności środków technicznych w dawnych pracach Gottlieba. Wystawa dawała patetyczne świadectwo lęku i ucieczki przed łatwością, zaciekłe i radosne poszukiwanie oporu. Opowiadając swoje wspomnienia legjonowe, Gottlieb prawie bez próżności stwierdzał, że owe niezliczone, tak dobrze znajome memu dziecięctwu szkice, portrety rysował na kolanie, na wsiadanem, że później dla brawury „zaczynał je od guzika". Pokazywał potem jakiś inny obraz i mówił: „to było zbyt łatwe, chciałem znaleźć coś innego". Można było myśleć, że niema dla niego rzeczy groźniejszej, niż własny talent.

Ostatnia faza malarska Gottlieba znaczyła dobrowolną rezygnację z najpierwszej łaski malarza: z pełnej palety. Była świadomą ascezą. Z dobrej woli i w pełnej samowiedzy zamknął się Gottlieb w egzaltacji białości. W obrębie tak zubożonej, zdawałoby się, unicestwionej skali odkrył nieoczekiwany, fascynujący skarb możliwości, zamknięty dotychczas, niepodobny do osiągnięcia bez decyzji i woli wyrzeczenia. Stworzył malarstwo nuane'ów, odcieni, przejść, wahnień, $^1/_2$, $^1/_4$ i $^1/_{100}$ — tonów. W obrazach tej doby białe postaci wychodzą z szarawego tła i każda z nich objawia coraz nową, chciałoby się przypuszczać, nieskończoną gamę możliwości. Pamiętam obraz kobiety śpiącej w mansardzie: w nim białość widziana pod światło waha się w szarościach, w odcieniach popielatych. W tem poszukiwaniu „kolorów białości" Gottlieb ciążył do skali zimnej, choć jeden z najdziwniejszych, znanych mi obrazów zawarty jest w gamie ciepłej. Jego przypomnienie jest mi tak drogie i tak jednocześnie mało prawdopodobne, że nie usiłuję go tu dotykać słowami.

W artyście niema niczego, coby nie było nim całym. W każdym szczególe swej sztuki bytuje on integralny. Dlatego tej monomanji białości nie można wyjaśnić jako przedsięwzięcia czysto formalnego. Ma ona, musi mieć odpowiednik w poglądzie na świat. Ten związek między postawą moralną i malarstwem pozwala z pewnem prawdopodobieństwem założyć i określić dawną twórczość Gottlieba, twórcy: „Uczty ubogich" i „Miłosiernego Samarytanina". Tylko gdy tamta przedwojenna doba była wyrazem niepokoju religijnego, Pascalowskiej rozterki wewnętrznej, ta jest znakiem uciszenia, świętofranciszkowej, właśnie w białościach wygrywającej się pogody .Gdy tam tematyka ewangeliczna, tu tematyka codzienności wyraża stan doświadczenia religijnego. Postaci zaludniające ostatnie obrazy Gottlieba są to ogrodniczki, kucharki, szwaczki, spełniające najzwyklejsze zadania w gestach pełnych prostoty i hieratyczności. Twarze tych pracownic powszedniości są pozbawione rysów indywidualnych, są typizowane, ich ciała jakby odcieleśnione, odseksualizowane. Praca, którą czynią jest modlitwą. Białość ich odzieży jest białością duszy. Jest świętością.

Od strony tematyki oglądana twórczość Gottlieba zdaje się apoteozą pracy i człowieka pracy. Od strony ujęcia, odczucia wewnętrznego to malarstwo, fioritura białości, jest jakby beatyfikacją świata, jest objawieniem jego radosnej tajemnicy w codzienności powszedniej, wyniesieniem zwyczajnego życia i zwyczajnego człowieka — na wyżynę mistyczną. „Hymn na cześć słońca" śpiewał naiwnie święty Franciszek z Assyżu, Gottlieb śpiewa go na cześć pracy i z pracy płynącej moralności, chciałoby się powiedzieć terminem Sorelowkim: „moralności wytwórców", moralności ludzi pracujących.

Ten moment akceptacji, posiadania wiary zdaje się mieć odpowiednik w wewnętrznej harmonji obrazów. Całe malarstwo powojenne Gottlieba zdradzało napięty wysiłek konstrukcji. U kresu osiągnęło ono równowagę. Znowu równowagę prostoty. Częsta jest kompozycja djagonalna, symetryczna, nie mniej ulubione zgrupowanie trójkątne, odwołujące się do praktyki renesansowej. Często artysta odchodzi od tego jawnego rozkładu ciężeń i wtedy w swobodzie, w tem niepodległem, autokratycznem, a niezawodnem ważeniu się elementów utaja się jakaś bardzo intymna tajemnica sztuki.

Tę sugestję zgody wewnętrznej zyskuje artysta przez rozkład lekko znaczonych akcentów przeciwstawnych: zimnych i ciepłych, bądź często używanych akcentów centralnych w obrazie. W tej roli najczęściej występują kwiaty i — czerwień. Poprzez to znowu wraca się do interpretacji psychologicznej malarstwa Gottlieba. Chce się w tem widzieć stygmat boleśnie radosnego odczucia posiadanej prawdy.

Zaiste z niesnobistyczną koniecznością wobec tego malarstwa w bieli, białem na białem musi się myśleć o Norwidowskiej „prostocie do której się dochodzi". I o tem, że może taka prostota jest jedyną świętością i jedyną wielkością, jaką człowiek i artysta może osiągnąć.

Dziś się wydaje, że to osiągnięcie, to dojście powiodło Leopolda Gottlieba na paryski cmentarz Villejuif. Rosną na nim drzewa bujnie i szumnie, jak na polskim cmentarzu.

Najstarszy we Lwowie Dom Bankowy SCHÜTZ i CHAJES przy placu Marjackim (róg ul. Kopernika) poleca swój kantor wymiany oraz dział sprzedaży na spłaty miesięczne dolarówek, premjówek i t. d. DOM BANKOWY SCHÜTZ i CHAJES ma także kolekturę Państwowej Loterji Klasowej.

HENRYK GAERTNER

Nieco o wyrazach złożonych w języku poetyckim

Dziwne są niekiedy koleje upodobań literackich: powstają napozór spontanicznie, stają się często po silnej walce powszechną modą, w momencie zaś swego rozkwitu znikają nagle, by znowu po pewnym czasie się pojawić. Ten ustawiczny ruch odbywa się nietylko w zakresie doboru i sposobów ujmowania elementów treściowych, ale tez niemniej silnie zaznacza się w rozwoju środków językowej ekspresji. Jednem z takich upodobań językowych jest pojawiająca się od czasu do czasu skłonność do tworzenia wyrazów złożonych. Ma ona bardzo stare tradycje literackie: wywodzą się one jeszcze z klasycznej starożytności, gdzie wyrazy złożone uchodziły za konieczną ozdobę stylu wzniosłego. Pierwszy raz moda ta pojawiła się w Polsce u Kochanowskiego, który pod wpływem poezji greckiej wprowadził: **białoskrzydłą** pławaczkę, strzały **prędkopióre**, **różanoręką** zorzę, rogatego **chłopobyka** i wiele, wiele innych wyrazów złożonych. Pod jego niewątpliwym wpływem tworzą je także niektórzy epigonowie, a ośmielony zapewne próbami mistrza z Czarnolasu Patrycy w swych przeróbkach z Horacego wprowadza tym razem istne dziwolągi, jak np. **ogniomietne** woły, **śmiercionosze** rozkosze, **łapożonnych** (tj. takich, co porywają cudze żony), **mężochwytę** (tj. taką, która cudzego męża zbałamuciła), **winogardów** (tj. takich, którzy winem gardzą i t. p.)

Drugi okres mody wyrazów złożonych to czasy Naruszewicza (np. trakt **gwiazdolity**, jędze **płaczorode**) i Woronicza (np. **mroźnośniegie** pęta, **kwiatoroda** wiosna, **ślepomózgi** lud). Neologizmy Naruszewicza spotkały się jednak z reakcją, której dowcipny wyraz dał ks. Krajewski w Podolance, parodjując oświadczyny miłosne modnego eleganta zapomocą naruszewiczowskich nowotworów.

Od czasów tego najsilniejszego może zalewu wyrazów złożonych upłynął niemal wiek. Język poetycki zarówno w wierszu, jak i w prozie używał wprawdzie pewnego zasobu tradycyjnych złożeń, odziedziczonych jeszcze po Kochanowskim i Naruszewiczu, od czasu do czasu nawet pojawiały się jakieś neologizmy, ale naogół tendencja ta uległa zapomnieniu. I rzecz dziwna — ozyła ona właśnie w ostatnich dziesiątkach lat i to na szczytach naszej literatury pięknej, ogarniając twórczość kilku najwybitniejszych prozaików i poetów, a mianowicie Żeromskiego, Berenta, Staffa, Zegadłowicza i Tuwima. Dla ilustracji zacytuję trochę przykładów. Najliczniejsze z pośród nowotworów złożonych są u nich przymiotniki, np. u Żeromskiego: **błogowonne** kwiaty, **chlebożerna** filozofja, **grubomury** kościół, wiatr **martwogłosy**, **prawdogłośny** krzyk, **wielkoszybe** okno, **wojnopamiętna** pieśń, u Berenta: mara **dziwokształtna**, atłasy **pawiobarwne**, nici **wszystkobarwne**, u Staffa: błoń **bujnochwasta**, chmury **chyżopłynne**, mogiła **czarnojamna**, bezdnia **mrocznolica**, rozpacz **ślepooka**, skrzydła **wiatrosieczne**, **życiochwalczy** szum, u Zegadłowicza: dom **czerwonocegły**, znak **zgubowróżbny**, chałupy **żółtostrzechate**, u Tuwima: gołąbki **białołone**, Zaratustra **krzykousty**, hymn **miljonostrunny**, jeździec **ogniolicy**, **smętnolice** boginki i w. i. Mniej liczne są nowe rzeczowniki złożone, np. u Żeromskiego: **cudokrzew**, **słowotok**, u Berenta: **czarnowid**, u Staffa: **czaromoc**, **ogniotrysk**, **złoczyn**, u Tuwima: **czarostaw**, **iskromiot**, **piorunościąg**, **słowotrysk**, **trędogród** itp. Ponadto pojawiają się liczne zestawienia rzeczownikowe, tj. pary rzeczowników, połączonych graficznie kreską, a ujmujące dwukrotnie ten sam przedmiot, np. u Żeromskiego: kolega kochany, **dusza-człowiek**, **baby-truposze** szepcą, u łona **matki-gałęzi**, u Tuwima: popłynął spokój **pląsem-zawrotem**, **płot-staruszek** się pochyla i t. p.

Z wyjątkiem ostatniego typu inne rodzaje wyrazów złożonych są naogół kontynuacją typów wprowadzanych przez Kochanowskiego i Naruszewicza, dzieląc z niemi zalety, a w pewnym ograniczonym zakresie także i wady. Przeważają oczywiście wyrazy udatne, w czem się przejawia wielowiekowy rozwój kultury literackej i smaku artystycznego, trafiają się jednak także twory sztuczne, mniej zgodne z ogólnemi tendencjami słowotwórczemi polszczyzny. Trudno mi tutaj klasyfikować je z punktu widzenia budowy słowotwórczej i szczegółowo omawiać ich poprawność gramatyczną lub wartość ekspresyjną. Nie mogąc z braku miejsca cytować przykładów w pełnych, obszernych kształtach, chciałbym tylko przestrzec czytelnika przed częstem zresztą nieporozumiem: wyrazy nowe, wyliczane luźnie jako przykłady wyrwane z tła treściowego, chociażby to były nawet najbardziej poprawne i najtrafniej użyte neologizmy typu niezłożonego, zawsze czynią w pierwszym momencie wrażenie dziwolągów. Chcąc je naprawdę objektywnie ocenić, trzeba je rozważać zawsze na tle obszerniejszych kontekstów, w których się narodziły, wywoływane potrzebą subtelniejszego wyrażenia pojęć i uczuć, obrazowej i syntetycznej ich ekspresji, albo wreszcie — rytmicznego lub rymowego toku artystycznej wypowiedzi. Jednem słowem wyrazy złożone, podobnie jak wogóle wszystkie współczesne neologizmy poetyckie, zasługują na osobne studjum, narazie chodziło mi tylko o zwrócenie uwagi na dość nieoczekiwane na tle nowoczesnych upodobań literackich wznowienie dawnego i jak się zdawało zapomnianego środka ekspresji poetyckiej.

Trudno tu także zastanawiać się dokładniej, skąd przyszło do tego „renesansu" wyrazów złożonych. Faktem jest tylko, że wyrazy złożone pojawiają się właśnie u tych samych pisarzy, którzy w tendencji do stworzenia własnego, indywidualnego stylu wprowadzają wogóle mnóstwo nowych wyrazów. Na tle tego żywiołowego pędu słowotwórczego, cechującego szczególnie owych pięciu pisarzy, musiał pojawić się także typ nowotworów złożonych, które istotnie nadają stylowi niekiedy cechę wzniosłości i szlachetnego patosu, o ile oczywiście wynika ona także z treści wypowiedzeń i o ile nowe wyrazy są trafnie utworzone.

JANINA KILIAN STANISŁAWSKA

Lwów w planszach graficznych Ludwika Tyrowicza

Rodzaj twórczości Ludwika Tyrowicza, jak zresztą tego wymaga epoka i jej nastawienie formalne, nie będzie nigdy zależny wyłącznie od idei tematycznej, lub od prawdziwości czy nieprawdziwości kształtu w stosunku do rzeczywistości realnej. Bowiem ten rodzaj twórczości wypowiada się przedewszystkiem w ekspresji i dynamice formy, a następnie dopiero w treści i temacie.

Ludwik Tyrowicz nie jest ani realistą, ani klasykiem. Jest wyrazicielem nowego porządku plastycznego, oczyszczonego z balastu realistycznej prawdy. Stwarza sztukę „sztuczną", opartą na rzeczywistości abstrakcyjnej, ażeby w ten sposób przeobrazić ową działalność artystyczną na elementy czysto plastyczne, wartościowe nie z powodu takiej czy innej fabuły, lecz ze względu na swą istotę formalną, fakturalną i emocjonalną, oraz ich wzajemny do siebie stosunek.

Grafika Tyrowicza wyznacza formie najwyższy sens i byt w swej sztuce. Nie znaczy to wszelako, iż ekspresjonizm tego artysty jest bezprzedmiotowy, jak skrajny neoplastycyzm Vantongerloo, rosyjski suprematyzm Malewicza, albo nawet nadrealizm Maxa Ernsta. Tyrowicz w swej sztuce nie ma zamiaru negować wagi i bryłowatości materji, podkreślać abstrakcyjności istnienia ani deformować siły ciężkości, jak Chirico, zawieszając ciężkie realne przedmioty ukośnie w powietrzu. Sztuka jego nie jest kultem nonsensu, lecz raczej wprost przeciwnie: jest ładem i dyscypliną, jest wiedzą graficzną, która ustala i segreguje zdobycze już osiągnięte w zakresie współczesnego warsztatu graficznego, a zarazem dąży świadomie do nowych i ciągle nowych idej. Lecz ta karność graficzna nie przeszkadza wcale Tyrowiczowi być romantykiem w wyborze, a zwłaszcza w interpretacji tematu. Fabuła zatem każdej planszy Tyrowicza, inspirowana niewątpliwie przez rzeczywistość i życiową impresję, przeobraża się na warsztacie artysty w syntezę jakiegoś wydarzenia, pejzażu czy przedmiotu, anieleje, odrzuca balast nieistotnych momentów w kompozycji, — dochodzi tą drogą do czystej ekspresji i ustala się na desce lub na płycie miedzianej w postaci doskonałego technicznie i bogatego fakturalnie rysunku: żywego, płynnego, ekspresyjnie-romantycznego. Zagadnienia formalne nie zabijają w Tyrowiczu artysty; rządzi niemi, nie pozwalając im zapanować nad sobą. W sztuce jego niema supremacji formy nad treścią twórczą, obie bowiem organicznie się przenikają.

Zagadnienia **statyki, ruchu, skupienia, grupy,** lub **stanu emocjonalnego, w jakim znajduje się przedmiot; wymiar czasu i charakteru formalnego w pejzażach architektonicznych oraz wyraz oblicza współczesności:** oto typ twórczości Tyrowicza, typ pozatem wspólny najżywotniejszym współczesnym artystom zachodnim.

Wymieniając powyższe cechy działalności warsztatowo-graficznej Ludwika Tyrowicza, pragnę przygotować podłoże do oceny prac artysty na lokalnym gruncie lwowskim, tematycznie opiewających. Lwów, a wydanych niedawno w formie teki p. t. „Piękny Lwów", oraz w wielu jeszcze oddzielnych planszach, jak np. „Kaplica Boimów", „Podwale" czy „Rynek".

Cykl ten, zawarty w dwunastu barwnych autolitografjach, wykonanych przez artystę osobiście, posiada charakter umiarkowanie ekspresyjny. Pejzaże na temat ulic, gmachów, drzew i architektury, obejmują prócz relacyj ogólnych także duchową sylwetkę Lwowa współczesnego; owego „ducha czasu", mieszczącego się nietylko w formalnym warsztacie omawianych plansz, lecz głównie w nowoczesnych sylwetkach przechodniów, oraz wyraźnie ekspresyjnem potraktowaniu graficznego tła. Teka o Lwowie nie jest więc wyłącznie wiernym konterfektem wyglądu miasta, jakich posiadamy cały szereg dzięki pracom Dobrowolskiego, Markowskiego, Pieniążka, Korzeniowskiej, Nowotnowej, Kratochwili-Widymskiej, Huthowej i innych — lecz wyodrębnia się swem nastawieniem do formy i faktury graficznej, oraz swą troską o kompozycję. Odbicie Lwowa w planszach Tyrowicza jest odbiciem **miasta przez pryzmat nowoczesnej sztuki** — i tu leży najwyższa wartość tej teki, będącej dokumentem czasu, nie zaś tylko jeszcze jednym zbiorem widoków lwowskich.

Całość, — którą artysta ciągle uzupełnia, jest dziełem syntetycznem wyrazu dzisiejszego Lwowa i powinna znaleźć się we wszystkich zbiorach bibljofilskich naszego miasta. Jest pozatem pierwszym etapem tego, co na temat Lwowa zamierza jeszcze artysta wykonać.

Tyrowicz, jako artysta kresowy, oddalony od środowiska grafików warszawskich, niejedną trudność musiał pokonać, zanim zdołał zainteresować lwowski świat artystyczny swą nowoczesną twórczością. Grafika taka, jaką zastał we Lwowie ten niestrudzony pracownik-artysta, walczący bezkompromisowo o nowe wartości w warsztacie graficznym, należała do szkoły wczorajszej i niełatwo mu przyszło wyrwać mu ją z podłoża wczorajszych nastawień i pchnąć na nowe tory!

Niepowodzenia, nierzadko uprzedzenia i niewdzięczność, paraliżują i dziś jeszcze artystę na każdym kroku, mimo, iż on sam o tem nie wie; a jeżeli spotyka się nawet z negacją i uporem, zwalcza go nie teorją i dyskusją teoretyczną, lecz owocną, nieustępliwą pracą. Znaczenie zatem Tyrowicza, jako grafika-artysty, rozbudzającego uśpione dotychczas kwestje grafiki lwowskiej wogóle, a organizującego pozatem zastępy młodych grafików pod swą specjalną opieką — posiada wagę pierwszorzędną.

Jesień 1930 r., kiedyto, po skończeniu czteroletnich studjów u Skoczylasa i praktyce na prowincji, rozpoczął Ludwik Tyrowicz działalność swą we Lwowie w Szkole Technicznej i na Politechnice, oraz w szeregu kursów graficznych w M. Muzeum Przemysłu Art. i w Instytucie Przemysłowym, — staje się dla Lwowa nowym etapem w twórczości graficznej. Żywy udział artysty w ruchu graficznym w Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie, ciągły kontakt z ideami najnowszej sztuki na Zachodzie i w Paryżu, żarliwe śledztwo w sprawie kierunkowych założeń nowej sztuki — i jednocześnie uczciwa, niezazdrosna współpraca z uczniami i towarzyszami warsztatu, czynią Tyrowicza zjawiskiem nietylko wysoce wartościowem artystycznie, lecz nadewszystko bardzo dodatniem moralnie i kulturalnie.

Szczery, świadomy, uczciwy ekspresjonizm formy i treści, jest artystyczną wymową twórczości Tyrowicza. W ten sposób spłaca artysta daninę współczesnym tęsknotom plastycznym. Faktura Tyrowicza, dotycząca linearnego rytu na desce, zwłaszcza sztorcowej, bardzo bogata w różnorodności rylca i interpretacji cięcia, daleka od klasycznego spokoju i równego rytmu, a natomiast płynna i ruchliwa — tworzy swoistą manjerę artysty, trudną do naśladowania. Ani Skoczylas ze swym klasycznym prymitywem słowiańskim, ani Bartłomiejczyk, soczysty w technice nowoczesnego rytu, lecz monumentalnie statyczny w każdej linji, ani wreszcie nikt w Polsce, prócz Kulisiewicza, ekspresjonisty na sposób niemiecki, — nie zbliża się do wibrującego typu metody graficznej Tyrowicza.



Ludwik Tyrowicz: autoportret.

Tworzy on sztukę oderwaną od rzeczywistości materjalnej swojego i naszego życia, ażeby ją przenieść w dziedzinę prawdziwszej i potężniejszej rzeczywistości wyobrażeniowej, niewyczerpanej w bogactwie wyrazu indywidualnego. Czerpiąc zaś z otaczającego go życia materjał emocjonalny, nie kopjuje rzeczywistości przyjałapanej przypadkiem na pozie do portretu, lecz rozbija poszczególne jej formy na elementy plastyczne, ażeby następnie połączyć je świadomie w syntezę kompozycyjną, nie według wzoru z natury, lecz według ich wzajemnej przynależności plastycznej i artystycznej.

JAN BRZOZA

Andrzejowi Rybickiemu

KAMIENIARZ

(ballada do gitary)

Co dzień, co dzień stalowym dłutem rył
Spowity w szorstki mioceński pył
Co dzień, co dzień ciężkim młotem bił
W gryzący gorżkosłony ił

Dolę swoją kuł, dolę swoją kuł
Wtłoczony w ziemi szarobrudny muł
Skałami śpiewał, głazami czuł
Bazalty w rękach pracowitych żuł

Marmurem gładził imię świątynnych cisz
Granitem wchłaniał dumę chłodnych nisz
Grobowcowym smętkiem stroił krzyż
W pyskaty śmiech chimery, zaklinał porfirowy spiż

Ogłuszał go, mostów kolejowy stuk
Czy, kamienio - łomowy huk
Słupkami znaczył siną perspektywę dróg
Gdzie hen — modlił się rozkrzyżowany Bóg

Kamieniarz kuł — he, dolę swoją kuł
Wtłoczony w ziemi szarobrudny muł
Skałami śpiewał — głazami czuł
Bazalty w rękach pracowitych żuł

Aż wykuł pomnik swój kamienny raz...
Hej, hej! Większy niż Giewontu głaz!
Cokół powstał z napełnionych łzami waz
A w górze wbita w chmury zapadnięta twarz

Na barach dźwiga ciężki — jakże ciężki świat
Spowity w szorstki mioceński czad
A wzdłuż alabastrowych szat
Spływa płacz: Żył tylko trzydzieści lat.

WILAM HORZYCA

Zagadnienie Polskiego Teatru Monumentalnego

Każdy wielki, a raczej każdy twórczy teatr musi być związany z życiem zbiorowem, musi być tego życia wyrazem, bez tej bowiem głębokiej łączności z treścią duchową społeczeństwa, teatr, jako sztuka z natury rzeczy społeczna, skazany być musi na zwyrodnienie i upadek. Tak często dziś wymawiane słowo „kryzys" teatru, nie oznacza niczego innego jak właśnie to, że teatr przestał mieć łączność z życiem zbiorowem, że życia tego nie wyraża, że nie jest już „zwierciadłem natury", które wedle wieczyście prawdziwych słów Szekspira ukazuje „światu i duchowi wieku postać ich i piętno".

Ten społeczny i narodowy charakter każdego teatru, ten nieodzowny związek z życiem zbiorowem należy również brać za podstawę, gdy rozważa się zagadnienie teatru polskiego. O twórczym teatrze polskim można więc mówić tylko wówczas, gdy istnieją te złoża przeżyć zbiorowych, zwanych przez Szekspira naturą, które umożliwiają powstanie zbiorowego porozumienia, zwanego znów teatrem.

Gdybyśmy nawet nie posiadali wielkiego dramatu polskiego, to tak, jak to powyżej określono, wyglądałoby podstawowe zagadnienie teatru polskiego. Gdyby nawet nie było „Dziadów" czy „Wyzwolenia", to tak musiałby być sformułowany zasadniczy postulat: teatr musi być zwierciadłem zbiorowego życia i problemów życie to nurtujących. Gdyby dramat polski nie istniał wcale, to mimo to pisarz, który dziś dramat ten usiłowałby stworzyć, musiałby sięgnąć do pokładów zbiorowych przeżyć społeczeństwa, do powszechnego doświadczenia dziejowego, do tych wreszcie zasobów prężności tragicznej, które wytworzyła w duszy polskiej półtorawieczna walka całego narodu o swój byt fizyczny i duchowy. W społeczeństwie bowiem, które każda chwila stawiała przed tragicznem „być albo nie być" i które raz po raz podnosiło „bunt przeciw morzu nędzy", istnieć muszą całe złoża zbiorowej pamięci tragicznej, która upomniałaby się o znalezienie dla siebie wyrazu artystycznego nawet wówczas, gdyby pisarze chcieli nad nią przejść do porządku. Dzieje bowiem polskiego tego okresu, to szkoła tragedji, a jak Maraton upomniał się o swych „Persów" i „Edypa", tak one upomniały się o „kształt i postać", których treść wypracował zbiorowy wysiłek.

Dzieje stworzyły więc stan, który nazwaćby można „tragicznym stanem duszy polskiej". Kto pojmuje teatr jako zwierciadło „natury", ten wie, jak bezcenny jest taki dorobek, umożliwiający to zbiorowe porozumienie, nazywane teatrem. I mylą się ci, którzy sądzą, iż kapitał ten wolno już lekceważyć dziś, po osiągnięciu niepodległości. Teatr polski może tak samo dziś, jak przedtem, apelować tylko do tego zbiorowego dorobku, poruszać te zdolności do przeżywania tragedji, które wytworzyła historja polska. Niema innej rzeczywistości, psychicznej, do której także dziś może się odwołać tragik polski, co nie przesądza bynajmniej konkretnego kształtu artystycznego, w którym wyraziłyby się nowe zagadnienia życia zbiorowego. Tragedja nie rodzi się na kamieniu, ale wyrasta z krwawego wysiłku społecznego, nie potrafi też zabić tragedji choćby najszczęśliwszy wypadek w życiu zbiorowości (np. zdobycie niepodległości), bo tragedja wynika z twórczego stosunku do życia, a nie z pesymistycznych nastrojów, jak się to naszym optymistom od czasów niepodległości wydaje. Tragedja jest wieczna, jak wieczny jest żywy człowiek, i dlatego wieczne są „Dziady" i wieczne jest „Wesele", a tylko rozprężenie tragicznego stanu duszy polskiej może położyć kres ich wieczności w naszych sercach.

Z tego bezcennego, wysiłkiem miljonów stworzonego, tragicznego stanu naszej duszy zbiorowej — który upomniałby się o głos nawet wówczas, gdyby go nie dostrzeżono — z tego twórczego stosunku do życia wywodzą się dzieła polskiego dramatu, „Dziady", „Sen srebrny Salomei", „Nieboska komedja", „Krakus", „Wyzwolenie", „Akropolis", „Kniaź Patiomkin" — oto wielkie słowo, którem przemówiła tragiczna pamięć narodu. Nie dało to słowo czekać na siebie, pod naciskiem zbiorowej świadomości powstawało ono w znacznej części wówczas, gdy teatr polski, teatr tragedji polskiej był zaledwie mitem, marzeniem dalekiem. Mimo to tworzono ten wielki dramat jakby w przeczuciu, że przyjdzie kiedyś chwila, kiedy te potężne wizje przemawiać zaczną ze sceny, by wyrażać tragiczną świadomość narodu i utrzymywać ją w tem napięciu, jakie jest nieodzownym każdego twórczego życia. Dlatego obecność tragedji polskiej w naszem życiu duchowem, obecność jej na scenie, to nie rzecz pietyzmu, ale kwestja siły i zdrowia duchowego całego narodu. Ona może i musi być wielką wychowawczynią społeczeństwa, ona też może i musi być najpierwszem, jeśli nie jedynem zwierciadłem polskiej natury.

By jednak tragedja polska mogła być rzeczywiście żywem zwierciadłem ducha społeczeństwa, musi powstać scena i teatr, mogące w swem wnętrzu pomieścić potężne wizje dramatu polskiego. Jest to koniecznością, gdyż dramat posiadał zawsze i posiada swe drugie życie, nie książkowe: życie teatralne. To życie teatralne, prawdziwe życie tragedji jest w dzisiejszym teatrze niemożliwe, jest to bowiem teatr, będący konglomeratem scen renesansowej (włoskiej), pseudoklasycznej (racinowskiej) i mieszczańskiej wieku 19-go. Jest to więc teatr posiadający zupełnie odmienne założenia konstrukcyjne i ideowe od tego, co stanowi treść wielkiego dramatu polskiego. Jeśli więc Corneille czy Ibsen mogą się dobrze czuć na tej scenie, to tragedja nasza musi z konieczności kurczyć się w tych warunkach scenicznych i czuć się jak na madejowem łożu. Dlatego stworzenie teatru, a raczej rozbudowanie dzisiejszej sceny w ten sposób, by była ona podatnem narzędziem naszego dramatu, jest zasadniczą koniecznością: niespełnienie tego postulatu skazuje tragedję polską na suchotniczy żywot w nieswoim przybytku.

Rozumieli to doskonale romantycy, przedewszystkiem Mickiewcz, który głosił, że nie dramat ma się podporządkować nakazom sceny, ale scena ma być organem dramatu. Dlatego już w „Wykładach literatury słowiańskiej“ wysunął zasadniczy, dziś równie aktualny, a może nawet aktualniejszy, postulat odrębnej sceny polskiej, któraby była odpowiednikiem teatralnym dramatu polskiego, sceny skonstruowanej i rozbudowanej w myśl żądań zawartych w tragedji polskiej. Faktura bowiem dramatu polskiego nie stała w żadnym stosunku do technicznej faktury i jego środków ekspresji, co skłaniało Mickiewicza aż do tak radykalnego posunięcia, iż żądał, by twórcy naszego dramatu dzieł swych na scenie istniejącej, a zniekształcającej je, nie wystawiali.

Lecz hypnoza starej „dramatyczności“ i „teatralności“ była tak wielka, że nad tem żądaniem, jako nierealnem, następne pokolenia przeszły do porządku. Teatr zresztą nie zmienił się technicznie, nie udoskonalał jak mówił Mickiewicz „machinerji“ i wciąż reprezentował typ „kameralny“, dostosowujący wielki dramat polski do swych technicznych, a także ideowych możliwości. Tragedja polska jeśli ukazywała się wówczas na scenie, na której wciąż jeszcze pokutował duch pseudoklasyczny — czyniła wrażenie góry oglądanej przez pomniejszającą soczewkę.

Nastały jednak dni przemiany w teatrze, przemiany artystycznej i technicznej. Już sam fakt, że do teatru wprowadzono elektryczność był czemś o tak podstawowem znaczeniu, że nie dziw, iż pod wpływem tego stara scena malowanych kulis zamieniać się zaczęła powoli ale stale w teatr światła. Otworzyły się przed teatrem ogromne możliwości, stara scena renesansowo-mieszczańska zmuszona została do odwrotu. Ten przewrót technicznej natury spowodował również nową orjentację w dziedzinie dramatu, a to co do niedawna było „niescenicznem“, zaczęło ukazywać swą ukrytą logikę sceniczną. I teraz dopiero stały się aktualne milcząco lub głośno wypowiadane postulaty tragedji polskiej. Wraz z stopniowym upadkiem sceny dawnej, zwanej w skrócie iluzjonistyczną, coraz głośniej zaczęły się odzywać wołania o stworzenie wielkiej sceny, którą nazwaćby można wizyjną, monumentalną.

Pod znakiem tego nowego „idealizmu“ scenicznego stały i stoją usiłowania Zachodu (linja Craiga), po części także Wschodu (gdzie duch gogolowskiego realizmu unicestwia powoli zdobycze teatralne pierwszych lat rewolucji), nigdzie jednak sprawa nowego teatru nie ma tak doniosłego znaczenia jak w Polsce. Tu gdzie istnieje wielki repertuar, wymagający takiego właśnie teatru, repertuar realizowany dotychczas niedostatecznie — powstanie takiej sceny będącej odpowiednikiem monumentalnego dramatu polskiego, jest wprost koniecznością. To co zrobiono dotychczas w tym względzie, jest wprost zaledwie początkiem. Nawet działalność warszawskiego teatru im. Bogusławskiego, tak owocna w skutki, jest tylko prologiem i manifestem stwierdzającym, że powstanie sceny opartej na wielkim dramacie polskim i na monumentalnych formach teatralnych z dramatu tego wydedukowanych, jest możliwe i konieczne.

Stworzenie teatru opartego na takich podstawach byłoby równoznaczne z zbudowaniem odrębnej i rzeczywiście narodowej sceny. Dopiero na tej scenie „Dziady“, „Akropolis“, „Samuel Zborowski“ i cały nasz wielki dramat będzie się mógł poczuć u siebie w domu, a nie ulega wątpliwości, że nowe przesłanki teatralne istnienie sceny nowego typu, wywrzeć może znakomity wpływ na zamierający dziś dramat polski, który, kto wie, czy nie doczekałby się trzeciego pokolenia wielkiej polskiej tragedji.



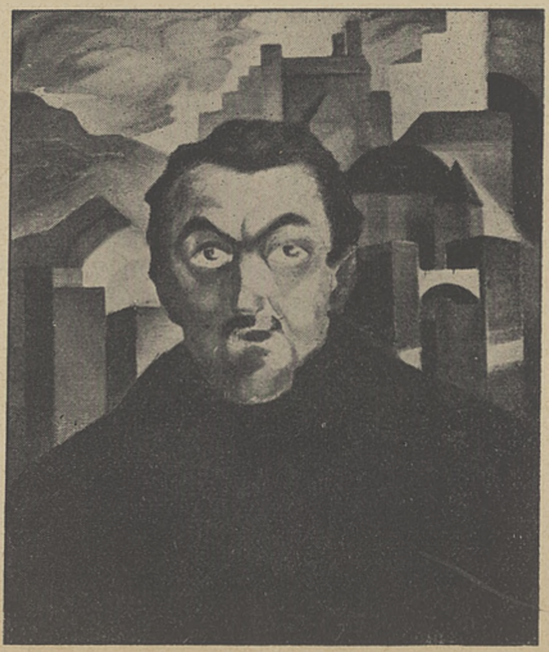
Kazimierz Łotocki: Widok z Łyczakowa. Drzeworyt barwny.

TADEUSZ MAŃKOWSKI

Dwa oblicza sztuki dawnego Lwowa

Lwowianie naogół mało zwracają uwagi na zabytki przeszłości swego miasta. Jeszcze około 50 lat temu świetne pióro Władysłaaw Łozińskiego i jego studja zdołały swego czasu wzbudzić zainteresowanie nimi. Nastąpiła potem krótkotrwała, lecz szeroko pomyślana akcja kulturalna Rutowskiego, zakończona z wybuchem wielkiej wojny. Tymczasem popełniono wiele grzechów przeciw zasadom konserwacji zabytków. Dopiero ostatnio akcja władz miejskich przywrócenia Rynkowi lwowskiemu dawnego charakteru architektonicznego zdaje się świadczyć, że ktoś przecie o tem myśli.

Lecz i to, co z dawnej sztuki zachowało się we Lwowie, nie zostało dotąd należycie oświetlone myślą i piórem badaczy. Słusznie na pierwszem miejscu zawsze zajmują dotąd polskich historyków sztuki związki z sztuką i kulturą Zachodu. Ziemie polskie podległe tym wpływom były kolebką naszej państwowości, rozszerzającej się stopniowo ku Wschodowi. Kultura i sztuka Zachodu znaczyła w Polsce ślady swego postępu w kierunku wschodnim. Zatem badania tych wpływów były dotąd zawsze punktem wyjścia poszukiwań naukowych, zainteresowania się sztuką i kulturą dawnego Lwowa, o charakterze zachodno-europejskim.



St. Matusiak: Portret prof. Podlachy.

Ten kąt widzenia znajdujemy podkreślony w dziełach Łozińskiego, stanowiących do dzisiejszego dnia podstawę tego, co wiemy o sztuee dawnego Lwowa, jego zabytkach i jego roli kulturalnej. Lubimy na nią powoływać się, gdy pokazujemy Lwów obcym, zwiedzającym miasto. Padają wówczas słowa o „ostoi zachodniej cywilizacji“, o „grodzie kresowym“, „tarczy chrześcijaństwa“ i t. p. i słusznie tem się chlubimy, czasem zapominając, że słowa takie obowiązują do większej troskliwości w zakresie kultury przeszłości, aniżeli ją widzimy stosowaną we Lwowie.

Baczne rozejrzenie się w dawnych zabytkach sztuki we Lwowie, tych stosunkowo nielicznych pozostałych, które oszczędził czas i brak zrozumienia ich wartości u współmieszkańców, powoduje pewne stopniowe odkrycia. Spostrzegamy, że prócz kultury artystycznej Zachodu, włoskich wpływów w architekturze, niekiedy niemieckich w plastyce i innych, jest miejsce w sztuce dawnego Lwowa także na wpływy Wschodu. Na niektórych zabytkach stwierdzić można, że sztuka Wschodu jakgdyby wkradła się chyłkiem w dzieła o znamionach stylowych naogół zachodnich, nie rzucając się w oczy, niejako pokryjomu wyciskała na nich także swoje piętno.

I nic dziwnego nie byłoby w tem, jeśli przypomnimy sobie przesłanki tego stanu rzeczy, którymi były przedewszystkiem czynniki geograficzne. Geografja sztuki zyskała w sobie w ostatnich czasach w historji sztuki prawo obywatelstwa i jest stosowana w coraz szerszym zakresie przez historyków sztuki.

Lwów leży na dziale wód Morza Bałtyckiego i Czarnego, leży też na granicy dróg wodnych i lądowych, niosących ze sobą odmienne czynniki cywilizacyjne i kulturalne. W wiekach średnich wzrost swój zawdzięczał Lwów temu, że na tych drogach stanowił najważniejsze ogniwo pośredniczące w handlu między Wschodem, w szczególności handlowymi kolonjami genueńskimi na Krymie (Kaffa), a Zachodem. Zawdzięczał też wiele przyznanemu mu przez królów polskich prawu składu towarów, przywilejowi, który powodował, że przybywający z Zachodu zarówno jak i ze Wschodu kupcy, obowiązani byli swe towary w tem mieście wystawić na sprzedaż.

Średniowieczny Lwów ze swą architekturą domów o wysokich trójkątnych szczytach, ze swymi licznemi zabytkami spłonął w groźnym pożarze miasta w r. 1527, po którym niewiele tylko pozostało. Katedry, łacińska i ormiańska, to dwa najcenniejsze zabytki architektury monumentalnej z przed r. 1527, obok kilku mniejszego znaczenia kamiennych portali prywatnych domów. Jednak i z tych niewielu stosunkowo resztek sądząc, w zabytkach średniowiecza lwowskiego Wschód mieszał się z Zachodem. W lwowskiej katedrze ormiańskiej, zbudowanej w połowie XIV wieku, widzimy architekturę o typie ormiańskich świątyń, zbliżonym do tych, które Ormianie uchodząc ze swej azjatyckiej ojczyzny przed prześladowaniami Turków, budowali w swych kolonjach nad Morzem Czarnem. Lecz dawna dekoracja wnętrza lwowskiej katedry ormiańskiej, jej płaskorzeźbione w kamieniu ornamenty, to niespodziewana dla nas na tem miejscu dekoracja o cechach sztuki Islamu, którą ormiańscy rzeźbiarze i kamieniarze przynieśli z sobą z krajów, pozostających pod panowaniem tureckiem.

Styl zabytków Lwowa renesansowego nie jest również w całej pełni zachodnim. Do architektury opartej na włoskich wzorach, kamienic często stawianych przez włoskiego pochodzenia, na gruncie lwowskim zasymilowanych i spolszczonych budowniczych, przemycone zostają dodatki dekoracyjne, poczęte z innego zgoła ducha sztuki. Badając dekorację ornamentalną lwowskiej architektury tych czasów jesteśmy zdziwieni, odkrywając w niej elementy zdobnictwa wschodniego. Znajdują się one w pewnych szczegółach rzeźbionych w kamieniu w cerkwi wołoskiej, a nawet w jednym z późno-renesansowych ołtarzy katedry łacińskiej znajdujemy ich ślady. Jest to ołtarz marmurowy o trzech skrzydłach, w kaplicy dawniej Zamcyskich, dziś św. Józefa, znaczony podpisem rzeźbiarza i datą wykonania. Rzeźbiarzem tego ołtarza był Jan Biały, który prócz podpisu swego postawił na nim datę r. 1592. Całość ołtafza robi wrażenie w zupełności zachodnio-europejskiego dzieła sztuki. Jednak przypatrując się bliżej ornamentowi spostrzeżemy, jak w dwóch kolumnach korynckich, malowniczy ich ornament płaski, w górnej części rzeźbiony w rodzaju tym, który zwykliśmy porównywać do wykrojonych w blasze lub skórze ornamentów, w dolnej części kolumny przechodzi w motyw dekoracyjny właściwy sztuce tureckiej, spotykany często zwłaszcza we wschodniej tkaninie. Na wschodnich tkaninach też niewątpliwie widywał go we Lwowie mistrz Jan Biały i zastosował w płasko-rzeźbie ołtarza w katedrze. Podobnie wschodnim jest skromny ornament rowków i wałeczków pod gzymsem w dolnej części tegoż ołtarza.

Przykładów podobnych z zakresu dekoracji architektonicznej możnaby przytoczyć wiele. Zwłaszcza obfitują w nie zabytki lwowskie XVII wieku. Niektóre z nich przytoczyłem w mej pracy o „Sztuce Ormian Lwowskich“ i nie będę ich tu powtarzać.

Lecz rola sztuki Wschodu, sztuki Islamu w szczególności, zaznaczyła się w XVII wieku we Lwowie w inny jeszcze sposób. Dzięki napływowi towaru z krajów tureckich na rynek handlowy lwowski, stał się Lwów w tym czasie miejscem, w którem zaopatrywała się w ten towar niemal cała Polska. Co więcej, należący do różnych organizacji cechowych miejskich rzemieślnicy lwowscy zaczęli w swych wyrobach naśladować towar wschodni, wytwarzając go na miejscu u siebie. Ze Lwowa rozchodziła się ta t. zw. manufaktura lwowska, o typie sztuki Islamu, w broni siecznej, w rzędach na koni, haftach, sajdakach, namiotch i innych wyrobch przemysłu artystycznego w różne strony Polski, a z nią szerzyło się i zamiłowanie do smaku wschodniego w ornamencie i dekoracji tego wszystkiego, co dotyczyło konia i broni, dwóch największych umiłowań rycerskich szlachty polskiej.

Lwów i jego zabytki, zarówno nieruchome, polegające na dziełach architektury, jak i te, które widzimy w zbiorach muzealnych, ruchome, świadczą o dwóch niejako obliczach kultury artystycznej dawnego Lwowa, Zachód miesza się w nich ze Wschodem, prócz zachodnio-europejskiej, widzimy w nich często piętno sztuki Islamu, dziś poniekąd egzotycznej w naszych oczach, lecz niegdyś nam bliskiej, której wpływy zaznaczyły się dobitnie w naszej przeszłości, a które wielu zabytkom lwowskim nadały piętno swoiste, oryginalne, o kolorycie odmiennym, niż innych dawnych centr kulturalnych polskich.

Lwów dawny był z jednej strony „pomnożycielem polskości“, „ostoją kultury Zachodu“ na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, — z drugiej strony sam jednak rozszerzał elementy kultury artystycznej Wschodu na szerokich przestrzeniach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.



J. Kratochwila-Widymska: Bożnica „Złota Róża“. Drzeworyt.

KOLUMNA UKRAIŃSKA

MICHAŁ RUDNICKI

AFORYZMY

Jedną z tajemnic piękna jest piękno tajemnicy.

*

Poeta często wybiera sobie formę, jak kobietę: nie najpiękniejszą i nie najprzyjemniejszą a taką, która daje mu najwięcej swobody.

*

W literaturze praca jest rzeczą nieodzowną dla ludzi bez talentu: by mogli nią dowieść, że i nią niczego dowieść nie można.

*

Pierwszą rzeczą, jaką publiczność musi zrozumieć w sztuce: — sztuki nie musi ona rozumieć.

*

Niejeden malarz mógłby rozwinąć swój talent, gdyby zamiast malować obrazy — sprzedawał je.

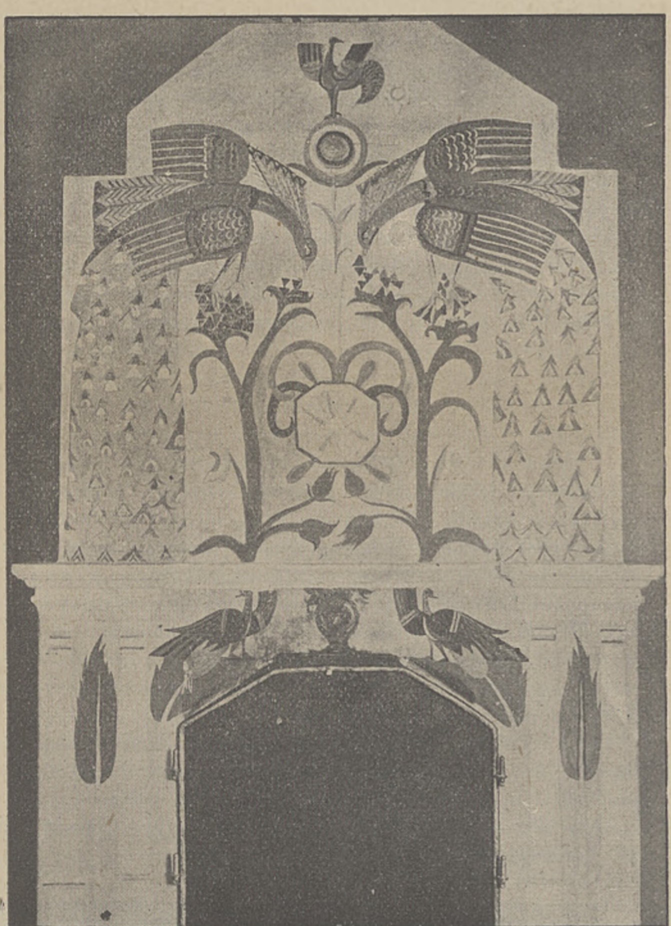
*

Wielka to tragedja dla narodu, jeśli nie daje swym pisarzom żyć z pióra; lecz jeszcze większa, gdy daje żyć z pióra nie-pisarzom.

*

Autor może nas nauczyć czegoś tylko takim utworem, przy którym musiał sam się czegoś nauczyć.

*



W. Kryżaniwski: Kominek w stylu ukr.

O społecznych obowiązkach sztuki najczęściej zaczyna się mówić wtedy, gdy nie można mówić o artystycznych obowiązkach społeczeństwa.

*

Małżeństwo kończy się najszczęśliwiej wtedy, gdy kończy się nieszczęśliwie.

*

Kobiety tak lubią rolę pokrzywdzonej ofiary, że dla niej zawsze gotowa wyjść zamąż.

*

Uświadomione współczesne panny: te, które wiedzą, dlaczego same są winne, że są niewinne.

*

Działacz społeczny: człowiek stwierdzający własnym przykładem, że uczynki można zastąpić słowami, nawet niekoniecznie rozumnemi.

*

Nieśmiertelność duszy ma jeden wielki defekt: rozciąga się też na ludzi z brzydkiem ciałem.

*

Zakochani najczęściej zaczynają mówić sobie wszystko, gdy nie mają już nic do powiedzenia.

*

Pedagogja ma jedną wielką zaslugę: uczy młodzież naśladować swych wychowawców tj. buntować się przeciw pedagogji.

*

Narkotyki budzą wyobraźnię tylko tych, którzy mają ją i bez nich.

*

Kto służy jednej idei, musi mieć, by jej nie ośmieszać, wiele idej

*

Miłość bez pieniędzy prowadzi do marzeń; miłość bez marzeń prowadzi do pieniędzy.

*

Istnieją dwie wielkie ludzkie namiętności: walka z własnemi namiętnościami i rozbudzanie ich u drugich.

*

Niektórzy muszą aż zmienić swoje przekonania, by zwrócić uwagę, że je wogóle mieli.

*

Kobieta wydaje się najczęściej śmieszną, gdy stara się być rozumną, — mężczyzna, gdy stara się być pięknym.

*

Najwyższa forma zazdrości: zazdrościć komuś żony, której nie chcielibyśmy...

ŚWIATOSŁAW HORDYŃSKI

LAUTRÉAMONT

Je te salue, vieil Océan!..
Lautréamont „Chants de Maldoror"

A więc to tu?... Umiera dzień,
blask broczy wciąż gorętszy...
A więc ten dom?... Hotelik ten?...
Czy to na piątem piętrze?...

Oczyma badam okien rząd
na brudnej tej ruderze...
Lautréamont spoglądał! stąd?...
Stąd życie swoje przeżył?...

Choć nie wiem, lubię błądzić tak
i szukać dawnych cieni,
co, niby gorejący krzak,
wciąż trwożą nas płomieniem.

...Pokoik mały, w górze, tam,
garść książek, stary klekot,
a on przy oknie stoi sam,
wpatrzony gdzieś — daleko...

A słońce drży, a fale mkną,
gubiące się w przestworzach — — —
a tu, na stole wierszy krąg
i Pieśni Maldorora.

I widzę, jak się z siebie rwie
z potęgą niewstrzymaną,
układa dzikim wichrom śpiew
i hymny oceanom...

Kopułę nieba odkrył ktoś,
objawił ogień w mrokach,
a on ostatni kończy ton,
dwudziestoletni chłopak!

I nagle strun zerwanych syk!
— Dlaczego dzień już skonał?
Dlaczego, jak meteor, znikł
ów blask Lautréamonta?!

Przełożył Henryk Balk.



Cerkiew Wołoska.

ST. ŁEWIŃSKI

ODKRYWAM LWÓW

Długie czasy przebywałem za miedzami Lwowa i teraz odkrywam wszystko na nowo. Od zwyczajnego turysty różnię się tylko tem, że nie noszę przy sobie Baedeckera. To nie zawsze jest wygodne. Kiedy szukam arcydzieł, muszę wierzyć tylko oczom. Kiedy krytykuję — niemiłosiernie „fałszuję", jak uliczny śpiewak-obieżyświat. Dlatego, proszę, nie bierzcie tego poważnie. Zupełnie inaczej myślałem przed rokiem i może za rok odwołam to, co teraz napiszę.

Przed tygodniem odkryłem Cerkiew Wołoską. Proszę się nie śmiać. Była noc. Szedłem wzdłuż Podwala, obok Tow. „Dnister" przeszedłem ulicę Ruską i nagle ją zobaczyłem. Potężny, ciemny tułów, który od wieków wrósł w ziemię i ten fryz tak wysoko wgórze. Powiew Zachodu, romantyzm przeszłości? Nie wiem. Było nieco gwiazd na niebie a ulica opustoszała, martwa. Zdało mi się, że jestem w starodawnem mieście i tem dziwnem cieple kultury, które jest jedną z tajemnic starej Europy.

Dawniej, była to jesień, wędrowałem boczną dróżką za stacją łyczakowską. Trawa rdzewiała pod nogami, tam wdole, pod Lwowem, bezkresna przestrzeń układała się w mozaikę czarnych i bronzowych plam. Niebo było tak blade jak na pejzażu Hobbemy. Nagle z gąszczy wynurzyła się przedemną mała chińska pagoda. Przywidzenie czy halucynacja? Pełne wdzięku da-



P. Kowżun: Kompozycja.

chy, jeden na drugim, jak w domku z kart, naokoło częstokół, jak w dobie feudalizmu. Uderzył dzwon. Z pochylonemi głowami, w czarnych średniowiecznych kapturach wyszli zakonnicy. I naraz zdało mi się, że jestem na pograniczu Zachodu i Wschodu, tam właśnie, gdzie te światy rodzą trzeci — syntezę. Czemu nie najczystszą, nie najpotężniejszą? — To zadanie przyszłości — pomyślałem.

I jakimś przypadkiem odkryłem uśmiech dziejów, ten tak krótki a najwartościowszy, który jest dzieckiem odczutej sztuki. On nigdy nie rodzi się w atmosferze Lwowa, ze słów czy myśli, z subtelności ironji czy błyskotliwych serpentyn metafory. W naszem mieście ironję odczuwa się jak cynizm, a rojenia i zamysły, niezabarwione uczuciem, niepokoją zmysły jak kształt nie zamknięty konturem. „Bez harmonji uczuć nigdy sztuka nie wejdzie w duszę Lwowa", zrozumiałem to i odrazu znalazłem się w świecie Słowian, równie daleki racjonalizmowi sztuki Zachodniej Europy, jak mistycznej formalistyce Dalekiego Wschodu.

Tak codziennie odkrywam moje rodzinne miasto — patos starych kamiennych bloków, poezję drewnianych dachów i dynamikę uczuć jego mieszkańców. Nie mając możności podróżowania, włóczę się po Lwowie, uczę się wszystkiego od początku, raz jeszcze, jak ten uczeń-idealista, który repetuje klasę.

K O L U M N A Ż Y D O W S K A

N. BOMSE

KONIE W NOCY

Konie po nocy bliższe są niż ludzie —
Wtedy nad kopułami wschodzi czerwony księżyc —
Nad kopułami cerkwi rozlunionych zachodem —
A dzień konający legł przed parkanami.

Konie po nocy są od tych łez bliższe,
Gdy serce człowieka wspomnieniem zachodzi,
Głębsze niż radość, co tryska gdzieś z głębi,
Gdy w sercu rozwinął skrzydła jakiś orzeł.

Konie po nocy, po łąkowych trawach,
Kiedy pobożnie chylą łby bez jarzma,
Są bliższe od smutków w godzinach odejścia,
Droższe nad radość w godzinie początków.

Konie po nocy, gdy deszcz się wysączył
I rynny ciągną śpiewkę o mijaniu —
Umieją głębiej sprząc się z serc żałobą
Mogą głębiej zrozumieć radości człowiecze...

Przełożyła Debora Vogel.

S. ASZENDORF

Wiersz o moim chorym ojcu i jego nowych trzewikach

Ojciec mój leżał na łóżku
A pod łóżkiem stały jego prawie nowe buciki.

I coraz cięższy był jego oddech,
W jego piersi coś rwało się, kipiało, gotowało:
W piasku spluwaczki leżało jego zdrowie.
Wtedy odeszła nas radość i znikły z kredensu
Złote kieliszki na miód i na wino:
Stosami rosły flaszki z gorzką medycyną.
I każdy uśmiech dziecka kaleczyły spojrzenia,
Szkło spojrzeń ścinało uśmiechy w lęk.

Mój ojciec leżał na łóżku
A pod łóżkiem stały jego prawie nowe buciki.

Był to właśnie czas, kiedy kończy się zima:
Przenikające chłody i mokre brudne śniegi
A w całym domu nie było
Ani jednej pary całych butów.

Więc po cichu zakradano się do ojca
By pożyczyć bucików na wyjście z domu.

A kiedy ojciec przejrzał, co robimy
Zaczął ciężej jeszcze i mętniej oddychać
I jakgdyby prosząc o coś, mamrotał:
Niech stoją... jeszcze będą potrzebne... te trzewiki...

Jakby mogły te buciki go uzdrowić
Jakby mogły jego życie wyprosić:
Przecież nosił je wszystkiego kilka razy!
I jakgdyby już stracone było wszystko
Gdyby mu te buciki zniszczono...

Pamiętam: ojciec nie leżał więcej w łóżku
(Leżał pod pagórkiem mokrej gliniastej ziemi)
Bucików też nie było więcej pod łóżkiem:
Wytęsknione buciki wynieśli i sprzedali:
Zabrakło na ubranie z płótna i na pogrzeb.

Tłum. z żyd. Debora Vogel.

B. SZNAPER

Z CYKLU „MOJE MIASTO“

W każdej ulicy, w każdym pokoju mego miasta
Żyje dziewczyna opuszczona i więdnąć nie chce
Rośnie dziecko zmarniałe i umrzeć nie chce.

A gdy jesienią tłumnie spadają serca
Jak liście
Pod naszemi krokami:
Wtedy przychodzą dobre wiatry z całego świata
I pędzą
I roznoszą
I zawlekają dokądś liście
Jak sny wygasające
Na cztery strony świata:
Żeby nawet wspomnienia nie zostało
I znak nawet śmierci by nie został.

Zimą zaś kiedy drzewa są jak dzieci
Takie wyschłe, nagie,
I niebieskie
Zginą z mrozu:
Gromadami zbierają się chmury
Jak bardzo białe owce.
Wtedy strzyże je ktoś nożycami
I szarpie
I obsypuje miasto śniegiem
Jak miękką wełną puszystą
A z tej wełny —
Z tej wełny
Przędzie moje miasto koszulę
Przędzie moje miasto suknię
A jakaś matka
Drżąca i miękka
Ubiera w nie drzewa
Nagie
Jak dzieci.

1932

Tłum. z żyd. Debora Vogel.

HENRYK HESCHELES

BEZ CELU

Najmilsze są myśli, które snują się bez celu. Nikogo nie próbują zdobyć, nikogo przekonać. Wypływają nagle jakimś rytmem krwi, jakiemś olśnieniem z milczenia wywołane, sycą się rozbrzmiewającą muzyką przestworza, słońcem jeśli wdzięczy się słońce, melancholją, jeśli monotonia szarego dnia mgłami świat spowija, lub tajemnicą kontrastu lśnią w mroku a gasną w świetle, płyną, drgają, mijają. Na wszelki sposób, ku czemukolwiek dążą, jakąkolwiek nagłą wiedzę z czeluści wyławiają, są w swej beztendencyjności, w bezcelowości swej jedynie prawdziwym refleksem życia. W świecie celów i organizacyj, w współczesnem — jak ciążącem każdemu — poddaniu nawet myśli, strategji i taktyce, w mundurowaniu jej, koszarowaniu, zacieśnianiu do wąskich pól działania tkwi zerwanie jej kontaktu z przyrodą, ograniczenie jej, skurczenie, pozbawienie prawdy. Niema bardziej lekceważącego dziś pojęcia nad liberalizm i nikt nie wie, że w postponowaniu zawartych w niem ideałów wyzwoleńczych przejawia się tylko jeszcze jedna forma samobójstwa.

Strategiczne orjentacje wniosły w dziedzinę kultury kult nacjonalizmu i doprowadzają ten kult do absolutu — do absurdu. Obłęd, jaki wybuchł na wieży Babel, majacej urągać Bogu, nie wynikł z pomięszania języków, lecz z urągania Bogu. Budowniczy zakreślili sobie cele niespełnialne. Beztwórczość czystek rasowych i nacjonalistycznych również urąga prawdzie i tak samo, prędzej jeszcze, wiedzie do kulturalnego rozkładu. Najbardziej rasowi twórcy dopiero przez skrzyżowanie, zetknięcie, przeciwstawienie obrazu świata, jaki w sobie nosili z treścią innych kultur dochodzą do istotnego swego światopoglądu, do genjuszu. Nie w teutoburskich lasach lecz w Italji doszedł Goethe do olimpijskiego ogarnięcia bytu. I na kamiennym paryskim bruku u wieszcza, gdy wgłębiać się począł w tajnię losów obcych narodów i sił zrodziła się najpełniejsza, najbogatsza w literaturze polskiej wizja polsko-litewskiego krajobrazu. Obłęd nacjonalistyczny tuszy, że naród, rasa, społeczeństwo jest jakimś absolutnym pierwiastkiem, jakimś jonem, czy polonem i dla wydobycia tego pierwiastka niszczy analizą te związki socjologiczne, w których się rzekomo hipotetyczny pierwiastek znajduje. Niszczy tem samem życie, niszczy kulturę, niszczy naturalny proces układania się duchowych warstw. W pysze swej — uważa — że jego świadoma, celowa, strategiczna wola potrafi poprawić przyrodę, potrafi stworzyć coś doskonalszego. Niesie zaś wprost przeciwnie rozprzężenie. Zatomizowała międzynarodowe życie polityczne i gospodarcze. Rozbija i na wewnątrz państw współżycie moralne i duchowe na atomy. Wyścig pracy przeistoczył się w wyścig udaremniania pracy. Zamiastześrodkowania sił zbudzone zostały ich odśrodkowe energje. Ponuro mijają się zwyciężeni i nie mniej posępni zwycięscy — czujący niepewność jutra.

Elita duchowa milczy. Ona najlepiej może wyczuwa duszność atmosfery, determinizm haseł głoszonych i rozlegających się dokoła niej i ona, która niegdyś służyła prawdzie dla prawdy, sztuce dla sztuki, czuje się bezsilną i bezradną, lub co gorsza oddaje swą intelektualną inwencję w służbę tych celów współczesnych nie prowadzących do żadnego celu. Wiele sił, wiele haseł, wiele namiętności i potęg porywa się na kształtowanie jutra — którego kształt jednak — czy nie czują tego wszyscy — wyłoni się właśnie z wzajemnego unicestwienia się tych sił i haseł, potęg i namiętności.

DEBORA VOGEL

Budowa stacji kolejowej [1]

1.

Jest ogromnie dużo przestrzeni w świecie. Przestrzeni niepotrzebnej nieporadnej.

O, przestrzenie płaskie, powolne. Nudne jak ługiem szorowana wielka podłoga z desek; jak krągły krajobraz kalendarzowej niedzieli z ludźmi, którzy podziali gdzieś, na kilka godzin, swój los.

I przestrzenie nudne jak ludzie ze straconem życiem. Przestrzenie ciężkie jak życie bez losu.

Przestrzenie, które wyciskają wielkie łzy. I są dla nikogo.

— Za dużo przestrzeni jest w świecie. Trzeba coś począć z pałubiastą przestrzenią świata.

2.

Kawałek pola, w którem stanie nowa stacja kolejowa, jest oblepiony narazie lila bodiakami i żółtym jaskrem. Jaskier i bodiaki pachną słodkawą nudą perkalu, bali białego perkalu i perkalu kwiecistego.

Przestrzenią, pachnącą perkalem w wielkie czerwone kwiaty, idą nogi. Nogi w trzewikach czarnych i żółtych; nogi śpieszne i ziemię odpychające; nogi opiłe słodyczą ziemi i ciężkie jak szczęście.

Co one robią w przestrzeni? Och, trzeba skrócić o część trzecią, skrócić na połowę niepotrzebną długość świata. Ale kroki wloką tylko dalej — wloką o pół metra dalej kulisty ciężar świata, łysą materję świata z przegraną sprawą życia i niewiadomą drugą sprawą śmierci.

Stańmy w miejscu. Jak drzewa. Drzewa nic nie wiedzą o lęku i nic o śmierci. Drzewa żyją jak wśród czterech ścian; jak w pomniejszonej przestrzeni ulicy czy pokoju.

Budujmy ulice i domy. Ludziom potrzebne są ulice. Ludziom potrzebne są ściany. I okna i balkony. Budujmy stacje. Stacje o szynach równoległych, o szynach świat obejmujących. Stacje dzielą cały świat na sztreki.

W polu z żółtym nudnym jaskrem i wodnistemi bodiakami lila niema jeszcze szyn. Niema ścian. Niema balkonów i okien.

6.

Jest osobny świat surowców.

Świat materyj tłustych, rozwiązłych, pałubiastych.

Surowce czekają na swój los.

Leżą po całym świecie w gromadach ogromnych. Jak chwasty. Lepkie, gryzące, wyuzdane i z ciągłego czekania na cetnary ciężkie.

Surowce chcą być liczbą i figurą. Surowce czekają na miarę i kontury: to ich przeznaczenie i los.

Ciało surowców grube jest i nieporadne: kawał ciężaru ogromnego, który do łez doprowadza, jak wielka ługiem szorowana podłoga i jak życie bez losu.

Ale dusza surowców jest delikatna bardzo i fantastyczna. Trzeba tylko wydobyć ukrytą duszę materyj.

Jest glina lepka i w życiu zatracona.

Cement szary, gryzący i jak z niczego.

Aksamitne wapno, pełne cierpliwości.

Blacha doświadczona i smutna, jak człowiek, który już mówi: niech to będzie, co jest właśnie.

I żelazo, twarde jak tragiczne postanowienie.

Na wszystkich budowach odkrywa się ukrytą formułę ich duszy.

7.

Glina

Glina jest ciężka i nieporadna. Jak szczęście i jak nieszczęście.

Gliniasto-żółty — to kolor przegranych spraw jak cytrynowy jest chłodnej rezygnacji kolorem.

My jesteśmy z gliny: raz jeden w ruch wprawione dwie nasze nogi i ręce — spadają potem po sto razy i po tysiąc razy w jedno miejsce i to samo, jedna rzecz w naszem życiu przegrana — i już całe życie jest przegrane.

Z lepkiego surowca gliny palą cegłę: kuby kanciaste wedle miary i liczby, 27 na 13 na 6 centymetrów wielkości; których czerwień jest twardą i nieco sztywną czerwienią.

Cegły są klarowne, zdecydowane i twarde, jak ludzie, idący do zajęć: rzeczowi ludzie, których chciałoby się porównać ze sztywnym kwiatem krągłej, czerwonej georginji.

Cegły są zupełnie niepodobne do gliny. Cegły są klarowną i melodyjną duszą ciastowatego, rozwiązłego, beznadziejnego ciała: gliny.

11.

Rozdział końcowy.

Pochwała surowcom szorstkim, lepkim, tłustym. Im wszystkim, rozrzuconym po całym świecie jak lepkie chwasty i czekającym swej historji i losu.

Pochwała polom nieobliczalnym z perkalowej wegetacji lila, o wielkich łopuchowych liściach nudy.

Pochwała życiu, które jest jak wielki łopuchowy liść nudy i jak surowa bryła tłustej gliny i gryzącego cementu.

Z nich pochodzą rzeczy, połyskujące gładkością i miarą; rzeczy pachnące świeżą twardością i elastycznością metalów i chodzenia.

Skończona stacja kolejowa mówi pochwałę wszystkim wyuzdanym, ciastowatym i jak nuda rozwiązłym surowcom mówi pochwałę materjom zużytym na budowę.

Jest miesiąc październik i budowa stacji kolejowej dobiegła końca.

Jesień 1931.

[1]) Fragmenty większej całości z wersji polskiej wedle oryginału żydowskiego.

HERMAN STERNBACH

ROSA W NOCY *)

(Rozdział II.)

Z tamtej strony „ulicy" inny był świat. Nie dzieliły go ni bramy, ni mury, ni wał — a jednak był inny. Krótki pobyt „w mieście" był zdarzeniem, choć i tam już żydzi mieszkali i niejeden z ulicy tam swój kram miał czy kramik, a niektórych i potrzeba jakaś tam pójść przymuszała. Boć tam był i urząd podatkowy, tam była apteka, tam mieszkał doktor i „purec" — tam wreszcie prowadził metryki Reb Szyje, którego zwali „Szyje regirer".

Rzadziej natomiast widać było nieżyda na ulicy. O ile tu zachodził, zdradzał lęk, bo ulica nie zażywała dobrej sławy. Wszystko, co szpetne, złe i niecne, przypisywano jej i jej mieszkańcom. Wszystkim w czambuł — bez zastanowienia i bez skrupułów. Jeśli popełniono gdzieś kradzież, okradziony prowadził policję w „ulicę". Ta przeszukała ci każdy kącik, pierzyny rozpruwała i sienniki, nawet wtedy, gdy chodziło — o zaginionego wieprza, z którym napewno nikt z ulicy nie wiedziałby, co począć. Skoro rewizja okazała się bezskuteczną, okradziony zaciskał pięści, groził ulicy i w każdy dom krzyczał „Żyd złodziej". Obwinieni — a byli nimi wszyscy — słuchali; a niechby się który był odważył choć dwa słowa rzec na swą obronę, policjant z nim zaraz na ty i szturchańca mu nie żałował i stekiem wyzwisk do milczenia przymuszał.

Pojmiesz, że na zbłąkanego tu nieżyda też z lękiem spoglądano i nieufnością. Bo czegoż on tu właściwie szukał, albo cóż mógł tu znaleźć? Taż tu wszystko było żydowskie: bożnica, jatka koszerna, mykwa i cmentarz. Wszystko to dla żydów. Żadna z tych instytucyj nieżydowi przydać się nie mogła. Stąd też, ilekroć zjawiał się nieżyd w ulicy, było to ważnem zdarzeniem. Patrzano na niego z okien, a podrostki chodziły za nim w pewnem oddaleniu, wołając naprzemian: „A purec gait! a purec gait". I taksamo mawiali do siebie w izbach starsi: „A purec gait! A purec — epes naies!"

Bywało, zjawiał się nieraz purec w ulicy bez złych zamiarów i bez policji. Starsi zwykle zdejmowali przed nim kapelusze, zostawiając chwilę w swych zatłuszczonych jarmułkach, nisko mu się kłaniali (przechodzeń niezwykły łacno mógł być ze straży pożarnej lub egzekutorem podatkowym) i witali go po niemiecku, sądząc, że w ten sposób szczególnie sobie jego szacunek zaskarbią. Tylko dwóch było na owe czasy na ulicy, którzy „uszanowanie pana dobrodzieja" bez trudu wymawiali.

Cesarz mówił po niemiecku — a ci z ulicy stali wiernie u boku cesarza...

Z czasem jednak zacieśniał się stosunek między „ulicą" a „miastem", niektórzy z ulicy osiedli w mieście — ale ulica zachowała zawsze właściwy sobie wygląd, była czemś innem, miała swój tryb życia, swoje waśnie i zwady, cierpienia i radość swą. Została czemś innem, odrębnem, odległem — mimo bliskości. Nawet najbliższe staje się odległem, gdy pozostaje nieznane.

* * *

Wieczorami mężczyzn w izbach nie znajdziesz. O tej porze, po trudach dnia, zbierają się w bożnicy na modły wieczorne i gwoli rozjaśnienia duszy legendami po odbytych modłach.

Gdy nad domami jesienne zawioną szarugi, szare i smętne, albo gdy zimowe wichry o ściany tłuką i borykają się z nocą, zasiadają wiedzący i prości, lepsi i pospolici, świadomi pisma i ksiąg razem z tragarzami, bałagułami i wodonoschami około wielkiego stołu tuż przy rozpalonym piecu i pogawędki mają różne albo słuchają opowiadań Mordchy, syna Bajły. Ten ci o czasach prawi dalekich, hen za nimi leżących, przykrytych nocą wieków, o przydarzeniach przedziwnych, o królach rozpowiada i o Bogu bliskich mężach, jako o rabim Lejbie, synu Sury, co to z cesarzem Józefem na ty był; o „sądeckim" (niech imię jego będzie błogosławione!); o Baalszemie, co to zmarłych wskrzeszał, o rabim Majer, co to czas wstrzymywał i cudów był świadom i o rabim Mejlechu (błogosławione imię jego!). A rozpowiada tak wdzięcznie i miękko, że cichość powstaje dokoła głęboka — żar pieca usłyszałbyś snadnie i buzowanie się płomieni świeczkowych i oddech czasu, który gonitwy swej na chwilę zaprzestał, by słuchać — słuchać.

Kiedy Mordche, syn Bajły opowiada, stawają zegary i czas przykucnie.

A słuchaczom aż serca rozbiera, a pierś ich się wzdyma, a oczy płoną i z pogardą patrzą na wirującą poza bożnicą rzeczywistość i na wszystko, co wokoło nich się dzieje.

W ulicy noc czarna; a wiatr goni po ulicy i wdziera się w chałupy, zawodząc i wyjąc — — —

W bożnicy zaś rozpowiada Mordche, syn Bajły. — A słuchaczy ciepło jakoweś obejmuje, ciepło dziwne a tak lube, że o strudzeniu swem i poniewieraniu zapominają i o tej swej bezsłonecznej doli tułaczej i przyźni im się, że są jak inni: cali, wolni i z równymi równi.

A wiatr zawodzi w ulicy i łkania wydobywa ze siebie rozpaczliwe, jakgdyby go nieukojona tęskność jakowaś gnała.

W bożnicy zaś rozpowiada Mordche, syn Bajły. — A słuchającym serca rosną a na umysłach ich osiada kojące zapomnienie, iż są jako te opadłe liście, któremi kaprys wiatru miota, jużto ku niebu je unosząc, jużto w bajurę strącając plugawą...

Tu w bożnicy, w godzinach wieczornych, gdy Mordche, syn Bajły rozpowiada, gdy słyszą, że i oni kiedyś czemś byli, silnymi wśród silnych, wśród wielkich wielkimi — tu wśród ciepłych rozpamiętywań, że ich wielką spuścizną duch i słowo — tu wtedy szare życie dla nich ustaje, rzeczywistość zapada się w toń a otwiera się przed nimi świat piękny, wielki, bezkresny.

Z chwilą zaś, gdy z obłoków legendarnych zstępują i wychodzą na ulicę, urąga im rzeczywistość. Wiatry czepiają się fałdów ich bekiesz, a bywa, że ten i ów przechodzeń „cybuch" za nimi woła lub „żyd parch". Wtedy szybkiemi idą kroki, jak trwożliwa zwierzyna, przez sforę psów gończych ścigana.

*) Z niewydanej powieści. Tłum. z niemieckiego.

KAZIMIERZ TYSZKOWSKI

Polska i Moskwa na Bałtyku

I.

Rola Bałtyku w dziejach Europy i świata przechodziła różne fazy. Starożytne czasy zakrywa noc hyperborejska, dopiero we wczesnem średniowieczu głośno było wszędzie o wikingach normańskich, których śmiałe wyprawy sięgały dalekich ziem, szerząc postrach i zniszczenie. Lecz samo morze i kraje nad niem leżące nie zaciężyły pozatem na rozwoju ludzkości w tym okresie. Powoli, w miarę postępu życia gospodarczego i kulturalnego rozwija się w krajach nadbałtyckich handel, który ujmują w swe ręce miasta północnoniemieckiej Hanzy, konkurując skutecznie z emporjami Morza Śródziemnego, by przez trzy prawie stulecia wywierać wpływ decydujący na życie ekonomiczne i polityczne dzieje Północy. Dopiero wiek XVI-ty przynosi emancypację ostateczną krajów skandynawskich z pod preponderacji hanzeatyckiej. Na pierwszy plan wysuwa się władczyni cieśnin, wiodących z Bałtyku ku Zachodowi, — Danja.

Ale równocześnie dokonywa się wielka przemiana gospodarcza w życiu Europy, która punkt ciężkości przesuwa z Morza Śródziemnego na wybrzeża Atlantyku i jego północne odnogi. Za interesami handlowemi idą sprawy polityczne, rozpalając na Bałtyku zarzewie długotrwałych konfliktów i antagonizmów, zahaczających o najodleglejsze problemy polityki europejskiej. Wszystkie narody i państwa zamieszkujące brzegi bałtyckie musiały się zetrzeć w śmiertelnym boju, który kolejno jednych pogrążył, a drugich wywyższał, oddając hegemonję w coraz to inne dłonie: królów duńskich, szwedzkich, carów rosyjskich i cesarzy niemieckich.

Znamy trzy wielkie etapy tej walki o Bałtyk, kiedy wszyscy konkurenci za broń chwycili, trzy wielkie wojny północne, w których wzięły udział wszystkie państwa sąsiednie, a nawet i dalej położone. Czwarty, chronologicznie właściwie drugi z kolei etap to wieloletni zatarg polsko-szwedzki, związany w późniejszym swym okresie z wojną trzydziestoletnią w Niemczech. Trzy te fazy polityki bałtyckiej zainicjowane wojną siedmioletnią o Inflanty, przypadają na drugą połowę wieku XVI-go, początek XVII-go pierwsze lata XVIII-go stulecia. Rozgrywa się w nich antagonizm czterech najważniejszych państw bałtyckich. Danji i Szwecji, Polski i Moskwy.

Stawka w tej grze wysoka o hegemonję polityczną i gospodarczą nad Bałtykiem, a zwycięscy uścielę się droga do wielkiej roli w Europie, na którą wstąpi w wojnie trzydziestoletniej Gustaw Adolf szwedzki, a w wieku XVIII-tym po trupach Polski i Szwecji imperatorska Rosja Piotra Wielkiego i jego następców, by palmę pierwszeństwa po katastrofie wojny japońskiej oddać rozrastającym się Niemcom cesarskim, panom kanału kilońskiego i floty olbrzymów pancernych.

II.

Wielkie zagadnienie walki o Bałtyk wcześnie zostało zrozumiane przez historjografję zainteresowanych krajów. Zwrócono uwagę na znaczenie Bałtyku w historji rozwoju mocarstwowego Polski i jej wschodniej rywalki Rosji, nie mówiąc już o najściślejszem związaniu losów państw skandynawskich z morzem. Liczne i gruntowne rozprawy i dzieła oświetliły zda się wszechstronnie omawiany temat. Z uczonych rosyjskich Forsten przeorał całe zagadnienie na podstawie archiwów skandynawskich uzupełniając dotychczasowe wyniki nauki rosyjskiej. Ze Szwedów Geijer, Hjärne, ostatnio Almquist i Wittrock opracowali całość lub pewne okresy dziejów walki o Bałtyk. Wśród polskich badaczy pierwsze miejsce należy się rozprawom Szelągowskiego i Sobieskiego. Prócz nich wymienić można wielu innych historyków, którzy otarli się o te problemy w większym lub mniejszym stopniu.

A przecież po syntezie całości jaką dał przed czterdziestu laty Forsten, trzeba pomyśleć o rewizji tego ustępu historji północnej Europy. Trzeba rozszerzyć zakres naszych źródłowych informacyj, sięgnąć do archiwów wszystkich państw zaangażowanych w problemie bałtyckim, a zpewnością i szczegóły nowe wzmocnią i unaocznią obraz całości i poglądy ogólne niejednej ulec mogą modyfikacji, jak świadczą o tem francuskie prace Charliat'a. Wskazały nam nato również badania prof. Inny Lubimenko, jaką rolę odegrała Anglja, tosamo da się powiedzieć o Holandji, która w pewnych okresach była gorąco zainteresowana walką o Inflanty i konkurencją polsko-moskiewską. Studja nad handlem obu słowiańskich sąsiadów pozwolą nam wniknąć w podłoże ekonomiczne konfliktu, co słusznie zapoczątkował Szelągowski. Nowego oświetlenia domaga się wojna ostatniego Jagiellona z Groźnym. Braki dadzą się zauważyć w czasach Gustawa Adolfa, że wskażemy na kilka doraźnie nasuwających się problemów, z któremi zetknęliśmy się osobiście w toku własnych naszych studjów. Tu też ograniczymy się do sumarycznych uwag na temat walki o Bałtyk między Polską a Moskwą w ciągu pierwszego stulecia jej trwania.¹)

III.

Polska Jagiellońska graniczące z Moskwą na olbrzymiej otwartej przestrzeni musiała zetrzeć się z nią w wiekowym konflikcie o panowanie na międzymorzu bałtopontyjskiem. Potężna ekspansja polsko-litewska ogarnęła ziemie ruskie daleko poza Dniepr i zmazała dopiero opór w rozrastającej się monarchji potomków Monomacha, gdy otrząsnęli ze siebie jarzmo tatarskie. Walka szła o pograniczne terytorja, ale pęd gospodarczy kierował oba państwa na północ ku morzu, by zdobyć okno do Europy, by zaczerpnąć oddechu, pozyskać środki techniczne, zbyć produkt własnej ziemi. Polsko-litewskie imperjum forsuje drogę ku Prusom, w naturalnym kierunku wzdłuż koryta Wisły, z Litwy zaś Niemnem i z Białej Rusi Dźwiną posuwa się ku Inflantom. Moskwa Iwana Srogiego ujarzmia potężne republiki kupieckie, bogate handlem z Hanzą. I Nowogród Wielki, którego rola wobec Moskwy przypomina mutatis mutandis stosunek Gdańska do Polski, lecz rozwiązany o wiele pomyślniej dla spoistości państwa, ten Nowogród staje się bramą wypadową Moskwy na Bałtyk. W tym momencie, kiedy wnuk i imiennik Iwana Srogiego przystępuje do zrealizowania zamysłów swego dziada i zastępy moskiewskie pojawiają się na wybrzeżach Bałtyku, rozgorzała krwawa wojna o odepchnięcie Moskwy od morza, a największy wysiłek włożyła w to Polska Zygmunta Augusta.

W antagonizmie polsko-moskiewskim walka o Bałtyk występuje dopiero około połowy XVI-go stulecia, gdy Moskwa wyciąga dłoń po ziemie Zakonu Kawalerów Mieczowych. Ale od tego czasu zagadnienie to staje się osią główną zatargów i bojów obu państw słowiańskich w ich zmaganiach o prymat w Europie wschodniej. Sukcesy na tym terenie stają się sprawdzianem siły, a klęski decydują o upadku potęgi danego państwa.

Polska zagradzając Moskwie dostęp do Bałtyku zwalczała nietylko współzawodnika do panowania nad dorzeczem Dźwiny i Dniepru, ale i groźnego konkurenta gospodarczego, dostawcę tychsamych surowców dla zachodniej Europy, które ustanowiły przedmiot polskiego wywozu i podstawę czynnego bilansu handlowego. I to było walną przyczyną wystąpienia ostatniego Jagiellona przeciw parciu Moskwy ku Bałtykowi. Chodziło o niedopuszczenie do wzmocnienia gospodarczego i kulturalnego odwiecznego wroga, a to zapobiegłoby zorganizowaniu uśpionych sił Moskwy, któraby musiała ciężarem swego ogromu przygnieść przeciwników. Nie inaczej formułował zasady swej polityki Zygmunt August, który szukał kontaktu ze szwedzkimi Wazami, ale sprawa podziału Inflant nie pozwoliła na naturalny związek dwu wrogów cara, zamącony przytem w dalszej kolei losów dynastycznemi komplikacjami. Niemniej pierwszy okres tych zmagań wypełnia walka Szwecji i Polski przeciw Moskwie o Inflanty i żeglugę narewską aż do zwycięstwa Batorego i Jana III Wazy nad Iwanem Groźnym (1582—1583). Potem rozwija się konflikt polsko szwedzki o Inflanty i panowanie na morzu, połączony z walką o tron Wazów i w związku z komplikacjami religijnemi epoki. W czasie tym Moskwa lawiruje między obu przeciwnikami nie mogąc po przekrwawieniu się wewnętrznem podczas „Smuty" zdobyć się na samodzielną inicjatywę.

W polityce polskiej te dwie sprawy moskiewska i szwedzka były ze sobą ściśle związane. Zygmunt III. idąc pod Smoleńsk w r. 1609 ugodzić chciał w Szujskiego, sprzymierzeńca jego stryja uzurpatora na tronie Wazów, a temsamem zabezpieczyć sobie drogę lądem do Szwecji. Syn jego i następca, gdy bronił tegoż Smoleńska przed najazdem moskiewskim, zamyślał wyprawą tą stworzyć podstawę do akcji zmierzającej do odzyskania ojczystego tronu w Sztokholmie. Odezwie się ta korelacja dwu konfliktów w czasie Potopu, gdy Moskwa poprze Jana Kazimierza przeciw Szwedom. Ale w wielkim tym potopie wojen o prymat w Europie północno-wschodniej, w którym zetrą się wszyscy dotychczasowi współzawodnicy, a sieć zawikłań rozszerzy się na dalekie kraje europejskie, wciągając je w wir walk. Wyczerpią się siły Polski i Szwecji, a na plan pierwszy wysunie się Rosja i Hohenzollernowie brandenbursko-pruscy, wykuwający swą potęgę w ogniu walki o Bałtyk.

IV.

Nie jest rzeczą historyka ferowanie wyroków, potępiających na działalność dawniejszych pokoleń lub pisanie dytyrambów pochwalnych dla zwycięscśw i zdobywców. On ma tylko ocenić wartość poczynań ludzkich w perspektywie wieków wydającą owoce, zbadać ma warunki i tło, na jakiem rozgrywają się wydarzenia historyczne, zastanowić się nad niewyzyskanemi możliwościami i nad osiągniętemi wynikami.

W wielkich linjach rozwojowych naszego narodu, w jego tysiącletnich dziejach wyciska piętno dominujące położenie geograficzne, sytuacja na rozdrożu światów, na pograniczu Wschodu i Zachodu. I ten splot kierunków dziejowych odbija się na naszem zagadnieniu. Bałtyk dla Polski był koniecznością historyczną. Utrzymanie stanowiska na morzu było sprawdzianem siły w danym momencie. Ale zawsze konsekwentne i decydujące rozstrzygnięcia komplikowały się z wydarzeniami na południowym wschodzie, nie pozwalając na wytężenie sił państwa i narodu do jednego celu. I tu w konflikcie z Moskwą nad Bałtykiem krzyżują się te dwa kierunki. Gdy Polska w zrozumieniu swego istotnego interesu opanowuje Inflanty, stacza bój o nie przedewszystkiem z Moskwą, dzięki energji Batorego zakończony zwycięstwem, które stanowi można powiedzieć punkt szczytowy znaczenia Polski nad Bałtykiem. Bo spór polsko szwedzki wywołany dynastycznemi komplikacjami nie pozwolił na utrwalenie potęgi polskiej w Inflantach. Owszem w długiej niepomyślnej walce zachwiał znaczeniem monarchji jagiellońskiej na Północy. Ale winę nie ponosi tu król Zygmunt III, a przynajmniej nie wyłącznie. Przecież interes dynastyczny, którym się przedewszystkiem kierował, był tu zgodny z potrzebami Rzeczypospolitej, lecz król nie umiał pozyskać narodu dla tej idei i to spowodowało katastrofę, pomimo Kircholmu i Kłuszyna. Społeczeństwo nie odczuło należycie konieczności walki o panowanie na morzu, nie zdając sobie sprawę, że to gra idzie o całość i przyszłość państwa.

Natomiast Moskwa usilnie kieruje swe wysiłki ku Bałtykowi, przez wieki całe dążąc do opanowania wybrzeży. Od chwili zrzucenia tatarskiej niewoli, aż po czasy założenia Petersburga przez Piotra Wielkiego wszystkie starania państwa carów idą w tym kierunku. I osiągają wynik trwały, gdy przeciwnik polski ponosi klęskę. Ale też w perspektywie przeszłości możemy łatwo zrozumieć ten bieg rzeczy. Gdy Moskwę sterowała ku Bałtykowi żelazna, bezwzględna wola samowładnych carów, powracająca do tego samego planu wbrew klęskom i katastrofom, to w szlacheckiej Rzeczypospolitej zabrakło motoru twórczego i energji należytej, sterowanej przez wolę silną, nie stało koniecznej w takim wypadku kultury politycznej, któraby zastąpić mogła wolę jednostki. I tu leży przyczyna klęski Polski a zwycięstwa Moskwy nad Bałtykiem.

¹) Szerzej zająłem się tem zagadnieniem w referacie na Kongresie Międzynarodowym w Warszawie ub. r., ogłoszonym w publikacjach Kongresu.

PIOTR DUNIN-BORKOWSKI

BEREZA KARTUSKA

W opinji szerszych warstw społeczeństwa założenie obozu koncentracyjnego w Berezie nie zrobiło zbyt wielkiego wrażenia. Poprzedziło ten fakt założenie obozów koncentracyjnych w innych krajach, jak we Włoszech, Niemczech. Pisma obozu narodowego cytowały wyciągi z dzieł Marszałka Józefa Piłsudskiego o liberalizmie w więziennictwie przedwojennem. Nie ulega wątpliwości, że wraz z likwidacją liberalizmu również liberalne więziennictwo załamało się zupełnie. Liberalnie nastrojeni ludzie mogą nad tem ubolewać, dziwi jednak, gdy to robią członkowie obozu narodowego w obecnej chwili tak bardzo antywolnościowo nastawieni.

Na chłód publiczności wobec Berezy wpływa bezsprzecznie stanowisko obozu narodowego. Daje ono poznać, że właściwie uważa obozy koncentracyjne za zupełnie wskazane dla komunistów i mniejszości narodowych, za niedopuszczalne zaś dla lokowania w nich ich zwolenników. Otóż trudno komuś nieuprzedzonemu zrozumieć dlaczego tak wyjątkowa bezkarność miałaby być obozowi narodowemu i jego secesjonistom przyznana. Słusznie bowiem mogliby sanatorzy powiedzieć, że właśnie wichrzenia narodowości panujące z natury rzeczy są najniebezpieczniejsze. Ta podwójna buchalterja narodowców wpływa zdaje się z zakorzenionych pojęć o immunitecie jaki daje tak zwany patentowany patrjotyzm, pod pokrywką którego winno być wszystko jego wyznawcom dozwolone. Chwalba swych własnych zasług, powstałych zwykle na tle wypadkowego urodzenia jeno w pewnej narodowości a poniżenie inaczej myślących, czy bodaj tylko urodzonych na dobrą nutę działa zawsze humorystycznie.

Jakkolwiek uczuciowo będziemy sprawę obozów koncentracyjnych odczuwać, jest faktem, że jest to w tej chwili zwycięstwo myśli bolszewickiej nad myślą liberalną w pewnych krajach środkowej Europy. Można nawet powiedzieć, że w państwach, gdzie zwyciężył jawny czy zamaskowany nacjonalizm nowej formacji, doprowadził on antyliberalną myśl bolszewicką do ostatecznej konsekwencji, skoro bowiem komuniści w Rosji uważają antyliberalne poczynania za przejściowy tylko środek ustalenia swej władzy i przemian w życiu społecznem, a nawet jeszcze nie zdecydowali się na wprowadzenie obozów koncentracyjnych, neonacjonaliści uważają, że należy antyliberalizm ustalić nazawsze. Odłamy neonacjonalistów nie są tylko zgodne, kogo należy właściwie ubezwłasnowolnić, w meritum sprawy nie różnią się między sobą.

Oczywiście, nie można jednak stanąć wobec obozów koncentracyjnych na stanowisku tego, co Niemcy nazywają „Schadenfreude" i cieszyć się, że ci, którzy ideowo są im bliscy, zostali w nich ulokowani. Pozbawienie kogoś wolności z powodu przypuszczenia, że może się stać szkodliwy, może rozciągnąć się niemal na wszystkich obywateli z wyjątkiem tych, którzy dzierżą władzę. Zapewne niekiedy środki prewencyjne mogą być mniejszem złem, aniżeli środki karne później zastosowane; winny i one jednak w wysokiej mierze budzić czujność społeczeństwa.

Rozmyślnie nie wchodzimy w meritum sprawy, czy ci, co siedzą w obozach koncentracyjnych zasłużyli na swoje internowanie. Wstrzymują nas od tego względy tak zasadnicze, jak cenzuralne. Jeśli o zasadnicze chodzi, to oczywiście tylko w krajach rządzonych demokratycznie można dać jasną odpowiedź na to, co zasadniczo jest uczynkiem antypaństwowym. Mianowicie antypaństwowem jest to, co się takiem być zdaje większości reprezentantów obywateli państwa, a antynarodowem, co większości reprezentantów narodu. Nie ulega jednak wątpliwości, że metoryczne większości te mogą się mylić.

Podobnie nie bez omyłek mogą wydawać swój sąd oligarchje czy inne elity, dyktatorzy czy inni ludzie opatrznościowi. Mommsen mówiąc o Cezarze, twierdzi, że charakterystyką wielkich ludzi jest to, że się nader często mylą. Zresztą tak do osądu reprezentantów narodu, jak i każdej innej władzy w państwie, może się wmieszać wiele ubocznych motywów poza troską o dobro państwa czy narodu.

Najlepszym dla państwa i społeczności jest stan wolności obywatelskiej, jeżeli bowiem mało nawet przynosi korzyści, pozwala uniknąć wielu błędów. Państwo wolnościowe, szanujące zasady prawne, nie pozwalające na ich zbyt szerokie interpretowanie, nie dopuszczające do wydawania praw wyjątkowych czy ustaw, dotyczących nie uczynków, ale przypuszczeń co do chęci i zamierzeń, czyni to zwykle dlatego, ponieważ działa na państwo siła obywateli kontrolująca i stojąca na straży tych zasad.

Ludzie o przekonaniach wolnościowych znajdują się niezaprzeczalnie w Polsce we wszystkich obozach politycznych, jak również i poza niemi. Mają oni jednak mały wpływ nietylko na bieg wypadków, ale nawet na swych kolegów politycznych, cnoby najbliższych. Nie mogą oni także stworzyć jednolitego, własnego obozu politycznego: zbyt dzielą ich między sobą przekonania społeczne czy polityczne. Nie mniej są to ludzie, którzy jedynie mają prawo zasadniczą tworzyć opozycję wobec poczynań sprzecznych z ich światopoglądem.

Staraniem Wojewódzkiego Komitetu Pomocy Ofiarom Powodzi odbędzie się pod protektoratem JWPana Wojewody Wł. Beliny - Prażmowskiego koncert Bronisława Gimpla i Jakóba Gimpla w dniu 7. września 1934 w Teatrze Wielkim. — Bilety w cenie 4, 3, 2 i 1 zł. do nabycia w biurze „Abo" pl. Marjacki l. 9, oraz w dniu koncertu w kasie Teatru Wielkiego.

B. W. LEWICKI

O pisarstwie filmowem

Zbyt oczywistą byłoby prawdą powtarzać tu, że podstawą kinematografji artystycznej — jak wszystkich zresztą sztuk — jest zorganizowana kultura piśmiennicza. „Literatura przedmiotu" — jak to się poprostu nazywa. Gruntowne poznanie wszelkich tajników filmów spływa na adeptów nie z rozświetlonego ekranu ani nawet ze skomplikowanych aparatur, ale przedewszystkiem z kart książek i z rozłożystych roczników pism specjalnych. Ten pozornie łatwy i naturalny porządek rzeczy (poznanie teoretyczne przed wiedzą praktyczną —!) nie rozwiązuje się w dziedzinie filmu równie prosto jak gdzieindziej. Naukowy opis teoretyczny kinematografji to jeszcze nie całe pisarstwo filmowe. Zaledwie szczupła jego część. Pisarz filmowy mocniejszą w swej dziedzinie zdobywa pozycję, niżby się to na pierwszy rzut oka wydawało.

Obrońcy czystych form kinematografji artystycznej często szafują hasłem: „oczyścić kino z zalewu literackości". Potwierdzając w pełni słuszność tej dewizy, stwierdzić należy, że ona właśnie wyrobiła u miłośników filmu przekonanie, iż pióro nie jest narzędziem pracy filmowej. Że ludzi piszących — wyjąwszy jedynie teoretyków — fachowców — usunąć należy z grona klerków X. Muzy, gdyż oni jakoby sprowadzają kino w niewolę literatury a projekcji taśmy celuloidowej nadają niewłaściwą postać techniki literackiej i powieściowej. W istocie zachodzi tu duże nieporozumienie. Kinematografja artystyczna pod względem tematowym, a nawet konstrukcyjnym rzeczywiście ulega infekcyjnym wpływom literatury. Winę tego, że każdy prawie film jest fotografowaną optycznie i akustycznie powieścią, ponosi spekulujący na taniej popularności tematu producent, często także — zaproszony do współpracy literat. A literat nie ma nic wspólnego z pisarzem filmowym. Łączy ich chyba wspólne narzędzie pracy: pióro, wzgl. maszyna do pisania.

Najbardziej prawomocnym pisarzem filmowym wydaje się być teoretyk kina jako znawca i objektywny relator. Teorja filmu (inaczej: wiedza o filmie) dzięki swej niewzruszonej objektywności jest jednak nawskroś statyczna i znajduje się poza wiecznie żywym nurtem zjawisk i zamierzeń, choćby je nawet chciała przewidywać i projektować na daleką przyszłość. Życie filmu skupia się w dwu ogniskach: 1) w pracowni realizatora, gdy rodzi się koncepcja utworu i przyobleka zdecydowany kształt artystyczny, 2) w sali kinoteatru, gdy utwór schodząc z ekranu w mrok sali, staje się własnością widzów-odbiorców. Oba te ośrodki mają odpowiadających sobie klerków-pisarzy. W pierwszym wypadku jest nim scenarzysta, w drugim — krytyk filmowy. Wśród nich, reprezentantów przeciwległych biegunów żywej kinematografji, teoretyk zajmuje miejsce środkowe, jednoczące, ujmuje bowiem zjawisko filmu w wszystkich jego fazach: zarówno in statu nascendi, jak i ostatecznej konkretyzacji. Istnieją więc trzy stanowiska pisarstwa filmowego: krytyk — teoretyk — scenarzysta.

Krytyk filmowy. Jak w innych dziedzinach sztuki, jest on i tu pośrednikiem między utworem a odbiorcą. W swej niezależności jest utworu filmowego najczulszym odbiorcą, równocześnie zaś przeżera go nawskroś, analizuje wlot i rozumie jego treść i formę. Widzi dzieło filmowe w każdym wymiarze i w każdej sytuacji odbiorczej. Jako rzecznik spraw filmowych wkracza krytyk w sedno społecznej pozycji filmu; ocenia nietylko jego zalety estetyczne, ale również jego przydatność i znaczenie pozaestetyczne. I stwarzają się sytuacje, w których krytyk staje się publicystą filmowym i zaciąga się w szeregi przedniej straży kinematografji, walczącej o lepsze jutro. I na tym terenie, gdzie najskuteczniejszą bronią jest żywe i pisane słowo,pisarz obejmuje dowództwo i staje się w filmie postacią najbardziej czynną i centralną. Powiedzieć można, że on to właśnie, a nie kto inny, organizuje życie utworu filmowego, w dalszej perspektywie: całej kinematografji.

Teoretyk filmu jest naukowcem. Nie obchodzą go doraźne przemijające formy utworu kinowego, widzi go bowiem permanentnie i statycznie. Jego zadaniem jest: przeniknąć istotę każdego zjawiska filmowego, wiernie je przedstawić, objaśnić szczegółowo i ukazać na tle innych zjawisk; poznać i ująć dokładnie teraźniejszy stan faktyczny, korzystać z doświadczeń przeszłości, w miarę możności wytyczyć drogi rozwojowe na przyszłość. Zmienność i wielorakość badań laboratoryjnych przekuwa teoretyk na abstrakcyjny schemat. Dochodzi do odtwarzania zjawisk syntetycznych, demonstratywnych. Kieruje się w tem racją wykładu naukowego. W praktycznem bowiem zastosowaniu swej pracy teoretyk filmu staje się filmowym pedagogiem.

Zdala od spraw krytyki i teorji kina stoi trzeci z pisarzy filmowych: — scenarzysta. On bowiem uczestniczy w samym procesie narodzin utworu filmowego. Na niego pierwszego spływa światło zalążkowego pomysłu; w jego myśli nasamprzód jawi się niewyraźna wizja obrazów i dźwięków, mających ożyć na ekranie. W praktyce najczęstszej jest scenarzysta pierwszym doradcą realizatora. Obaj jednoczą się na pewien czas duchowo i przenikają nawzajem, o ile pomysł scenarjuszowy ma być zrealizowany w pierwotnej swej, pomyślanej w natchnieniu postaci. Porozumienie takie jest trudne do przeprowadzenia. Stąd też pierwszą ambicją utalentowanego scenarzysty jest: samemu, realizować film! dlatego także najwybitniejsi twórcy filmowi (Chaplin, Clair) sami koncypowali scenarjusze swych filmów.

Pozycja pisarza filmowego tkwi w centrum spraw kinowych. Nie na ich marginesie. Pisarz filmowy w swej działalności staje w wspólnym szeregu z wszystkimi innymi pracownikami kina. Ustępuje jednemu chyba tylko realizatorowi. W walce jednak o lepszą teraźniejszość i przyszłość kina pisarz wysnuwa się — jak już wspomniano — na czoło tyraljery. Prowadzi ofenzywę. On bowiem organizuje świadomość estetyczną i społeczną kinematografji, on jest wszystkich jej spraw i wewnętrznych procesów najczulszym manometrem. Kiedy więc mówi się szeroko i obszernie o potrzebie uzdrowienia filmu polskiego, pierwszym tej akcji etapem winno być zjednoczenie frontu naszych pisarzy filmowych. Niechże już raz uderzą w tarabany do ataku.



St. Matusiak: Śpiew o wydrze.

TEODOR PARNICKI

POTĘGA SZTUKI

Fragment powieści historycznej p. t. „HRABIA JULJAN I KRÓL RODERYK"

(Akcja powieści rozgrywa się w latach 710—713, w państwie Wizygotów w Hiszpanji w przeddzień i w czasie najazdu Arabów).

Królowa nie zatrzymywała Roderyka. Cieszyła się nawet, że już poszedł. Oczekiwała księcia Kartageny.

Zapadł wieczór. Egilona narzuciła na siebie ciemny płaszcz i udała się na skrzydło Leowigithy, gdzie w zacisznej komnacie miała czekać na księcia, powracającego ze swej prowincji.

Szła zakamarkami, jej tylko lub nielicznym zaufanym znanemi. Gdy znalazła się na miejscu, zobaczyła w świetle słabo gorejącej pochodni wciśniętego w kąt, otulonego w płaszcz mężczyznę.

Ogarnął ją niepokój. Książę Kartageny nie mógł jeszcze powrócić, nie był to więc on. Chciała się cofnąć, ale było już za późno. Mężczyzna spostrzegł ją, zbliżył się i zrzuciwszy płaszcz, pozdrowił ją niskim ukłonem. Poznała malarza Biklara.

Egilona oddawna wiedziała, że jest przedmiotem szalonej a trwałej, beznadziejnej a pewnej czci miłości malarza. Jeszcze nie myślała nawet o tem, że mogłaby kiedyś zostać królową Gotów, a już przecie Biklar nie raz wyznał jej swoją miłość. Pochlebiało jej to, że mówił, iż ją kocha człowiek, który sławny jest na cały niemal świat chrześcijański, któremu biskup rzymski przysłał w podarunku obraz Chrystusa Pana, malowany jeszcze za życia apostoła Jana, — którego cesarze bizantyńscy i królowie frankońscy obsypali darami, a któryś tam Childebert czy Teodebert zapraszał go do Parisiów, a co Biklar dumnie odrzekł, że jest Gotem i tylko w ziemi ojców chce mieszkać. Nie podobał się jej jednak wcale jako mężczyzna, nie było w nim nic, coby ją pociągało, i gdy nieraz zastanawiała się nad tem, czyby nie wynagrodzić jego cierpień i wytrwałości, coby przy swej wielkiej swobodzie obyczajów potrafiła uczynić z łatwością — spostrzegała, że myśli o tem z pewną przykrością, a nigdy w życiu nie nawiązywała takich stosunków, któreby dla niej samej nie były źródłem rozkoszy lub choćby przyjemności. Toteż gdy kiedyś malarz po raz nie wiedzieć który mówił jej o swej miłości, przerwała mu niecierpliwie, mówiąc:

— Chcesz, bym cię kochała?... Dlaczego, za co?... To, że jesteś wysokiego rodu, mogłoby mieć znaczenie dla kobiety, którąbyś chciał poślubić, ja zaś mam męża... Jesteś bogaty, i ja też. Nie możesz mi dać nic innego, czemby nie mógł mnie obdarzyć kto inny... Że ktoś maluje śliczne obrazy, a imię jego znane i powtarzane jest we wszystkich stronach świata — za to jeszcze nigdy nikogo żadna kobieta nie pokochała. A co masz ponadto?... Nie masz ani urody, ani postawy pięknej, ani ognia w oczach, ani siły, co zniewala niewiasty i rzuca je w ramiona mężów. Nie masz nic takiego, czembyś zdobyć mógł mą miłość...

I odeszła, szeleszcząc sukniami.

Odtąd malarz Biklar nigdy już nie mówił Egilonie o swojej miłości. Widziała jednak, jak pochłania ją głodnemi oczyma, gdziekolwiekby się ukazała, jak śledzi ją ukradkiem, jak chodzi za nią, w oddaleniu przyzwoitem pozostając, jak pies wierny...

Widząc więc teraz, że to on, natychmiast się uspokoiła. Ten człowiek nie zrobi niczego, czego ona nie będzie chciała. Przyjaciel królów i biskupów posłuszny będzie i jak dziecię uległy każdemu jej skinieniu.

Pragnęła jednak, by się oddalił, każdej bowiem chwili mógł nadejść książę Kartageny. Zapytała więc go, czego od niej chce.

Jakież było jej zdziwienie, gdy po raz pierwszy od sześciu lat zaczął znowu mówić o swojej miłości.

Przerwała mu gniewnie.

— Słabą masz pamięć, wielki artysto — rzekła z pogardą. — czyż już zapomniał, com ci mówiła wtedy w Kordubie?...

Uśmiechnął się malarz.

— Ani słowa z tego nie zapomniałem, królowo — odparł, — i właśnie ponieważ tak dobrze pamiętam wszystko, coś wtedy rzekła, mówię ci dziś: kocham cię, bądź moją... mam coś, czem mogę zdobyć twą miłość... coś, co więcej będzie dla ciebie warte, niż uroda, piękna postawa, ogień w oczach i siła, niewiasty przyciągająca... Mogę cię obdarzyć czemś takiem, czego nikt inny w świecie całym dać ci nie może... Pójdź za mną!...

Słuchała go z wrastającem wciąż zdumieniem. Gdy skończył, zapytała go żywo, z zaciekawieniem, starając się jednak głosowi nadać ton pogardy: — Cóż to jest?... Co mnie ty, Biklarze, możesz dać?...

Wyciągnął z za pasa sztylet. Podał go królowej.

— Pani, — rzekł — będziesz mogła mnie zabić, kiedy tylko zechcesz. Noc zapada, drogi znamy ukryte, nikt cię nie ujrzy... Pójdź za mną, a zobaczysz coś takiego, czegoś nigdy nie widziała i nigdy już w życiu nie będziesz mogła ujrzeć... Będziesz posiadała coś, co napewno w twoich własnych oczach uczyni mię godnem twojej miłości...

Ciekawość wciąż wzrastająca, nieporównana, ogromna zagłuszyła w kobiecie niepokój, niechęć do mężczyzny i tęsknotę za innym mężczyzną.

Wahała się jeszcze trochę, więc Biklar, który czuł, co się z nią dzieje, rzekł pośpiesznie: — Przysięgam ci na swą miłość do ciebie, królowo, że nie uczynię nic takiego, czegobyś nie chciała i że pokażę ci coś, co będziesz rada zobaczyć...

Spojrzała na niego przenikliwie. — Przysięgnij mi na swą cześć rycerza gockiego i na imię ojca swego, — powiedziała, otulając się szczelnie płaszczem...

— Przysięgam, — zawołał, a głos jego zadrgał wielkiem wzruszeniem.

— Idę, szepnęła i ścisnęła w dłoni głownię sztyletu.

— Szli długo, krążąc po różnych tajnych przejściach i zakamarkach. Stanęli wreszcie przed drzwiami, okutemi żelazem, jak wszystkie inne w zamku.

— To tu, — powiedział Biklar. Otworzył drzwi, wszedł pierwszy, za nim z silnie bijącem sercem królowa.

Znaleźli się w obszernej komnacie. Egilona rzuciła bystre spojrzenie dookoła Nic niezwykłego nie uderzyło jej wzroku.

Z niepokojem spojrzała na Biklara. I opanowała ją straszna trwoga. Był jakiś dziwny, niepokojący, odmieniony — nie Biklar — inny człowiek...

— Co mi chcesz pokazać? — zapytała drżącym głosem.

Malarz otworzył drzwi, ukryte w ścianie.

— Wejdź, rzekł rozkazującym tonem, jakiego nigdy od niego nie słyszała: — chcę ci pokazać ciebie taką, jaką jesteś naprawdę, a jakiej nie znasz...

Z zamierającem sercem przestąpiła królowa próg jasnooświetlonej dziwacznemi lampami komórki.

Krzyknęła. Z niewysokiego piedestału uśmiechała się do niej druga ona... Ona sama, blado różowa, jakby żywa, naga, przepiękna, wspaniała...

Skamieniała w zachwycie. Potem podbiegła do posągu, objęła go, przytuliła się i w uniesieniu poczęła całować zimne uda, kolana, stopy. W mgnieniu oka zrzuciła płaszcz, trzewiki, zerwała ze siebie szaty i naga stanęła obok swego drugiego ja.

Czas jakiś w najwyższem zdumieniu i zachwycie spozierała to na posąg, to na siebie. — To ja, ja jestem — wołała cochwila nieprzytomnie. Ogarnęło ją niewypowiedziane szczęście. Nigdy nie myślała, że jest tak... aż tak piękna!... Uczuła, że posąg ten jest tem, co najdroższego i najczarowniejszego dało jej życie. Nie myślała, że to twór sztuki bezbożnej, pogańskiej, przez Kościół wyklętej — widziała tylko siebie... taką piękną, taką cudną! I nagle przeniosła wzrok na stojącego u progu malarza Biklara i wyciągając ku niemu ramiona, zawołał głosem, pełnym tkliwości zachwytu i szczęścia:

— Dzisiaj kocham ciebie!...

A wtedy malarz Biklar osunął się do stóp największego dzieła swego życia i zapłakał ze szczęścia.

WŁADYSŁAW JANOWICZ

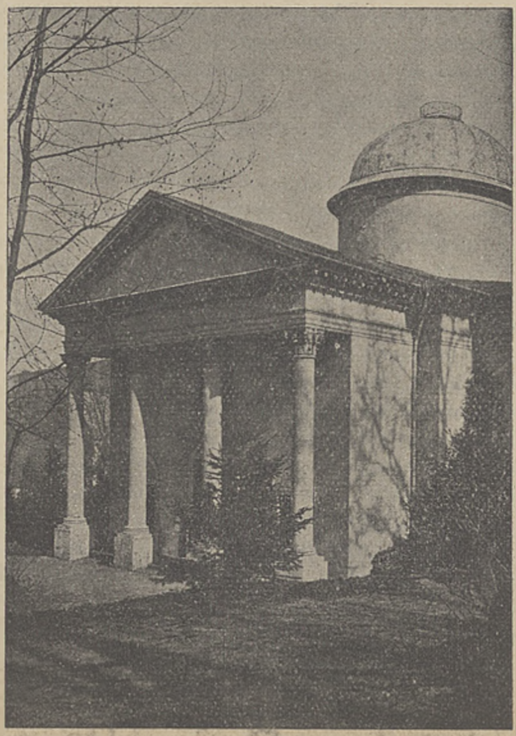
OSSOLINEUM

Niejednokrotnie stwierdzono słowem i pismem, że zawsze wierne miasto Lwów jest jedną z najcenniejszych pereł w diademie Rzeczypospolitej Polskiej. Blask jego i sława sięgają wiele lat i stuleci wstecz, a promienie rzucane oświetlają szereg chlubnych kart historji naszej przeszłości.

Jeśli uznamy za słuszne powyższe twierdzenie, to nie możemy zaprzeczyć zdaniu, że największym klejnotem Lwowa jest Ossolineum.

Świątynia wiedzy i nauki pomieszczona przed studwudziestu prawie laty przez wielkodusznego fundatora Józefa Maksymiljana Ossolińskiego w murach spalonej przed laty świątyni słowa Bożego, twierdza ducha narodowego wyczarowana z ruin obronnego niegdyś klasztoru wolą jednego z najszlachetniejszych Polaków epoki porozbiorowej, odegrała w historji Lwowa i byłego zaboru austrjackiego bardzo wybitną i brzemienną w błogosławione następstwa rolę.

Już w zaraniu swoich dziejów Zakład Narodowy imienia Ossolińskich stał się ogniskiem życia narodowego. Sam fakt jego



Ossolineum.

istnienia był w czasach szalejącego ucisku epoki przedkonstytucyjnej i zakusów germanizatorsko-wynaradawiających, żywem i jaskrawem zaznaczeniem, że Polska „jeszcze nie zginęła". Jakżeż wzmogło się znaczenie nowej placówki narodowej, kiedy wśród wydobywanych z pak i porządkowanych zbiorów zaczęli się gromadzić ówcześni przewodnicy narodu, uczeni, literaci, artyści, politycy. Ossolineum stało się wtedy siłą faktu ośrodkiem wszelkich poczynań narodowych, humanitarnych i naukowych.

A kiedy po upadku nieszczęśliwej wyprawy pułkownika Józefa Zaliwskiego rozpoczęła się na terenie Galicji bardzo żywa praca podziemna, konspiracyjna, to znowu centrum jej stanowił Instytut Ossolińskiego. Tu odbywały się tajne zebrania i narady, tutaj drukowano nocami zakazane i prześladowane przez austrjaków broszury, odezwy i ryciny. Nic też dziwnego, że władze zaborcze powiadomione przez nikczemnego zdrajcę o niebezpiecznych spiskach, knowanych w murach „narodowego" Zakładu, wytężyły wszystkie siły, by znienawidzone i niebezpieczne gniazdo buntowników zamknąć, zniszczyć lub przynajmniej skonfiskować. Wiedeń, długoletnia siedziba Ossolińskiego, okazał się dla nas łaskawszym niż Lwów. Dzięki silnym wpływom polskim, nie dał on ucha wrogim podszeptom Kriegów i Sacher-Masochów, pozostawiając Ossolineum we Lwowie, a nawet pozwalając po pięciu latach zamknięcia na ponowne otwarcie jego podwoi. Ale zaciekłość prowincjonalnych władców i reprezentantów monarchji habsburskiej nie zmniejszyła się, a generał Hammerstein wyraził szczere ubolewanie, że „przez przeoczenie" nie zbombardował i nie spalił Ossolineum w okresie likwidowania ruchów wolnościowych w listopadzie 1848-go roku.

Około roku 1850-go zmienia się rola Zakładu Ossolińskich. Po ukończeniu przebudowy gmachu, uporządkowaniu i udostępnieniu bogatych zbiorów bibljotecznych, archiwalnych i muzealnych, Ossolineum nabiera charakteru środowiska ruchu naukowego prowincji, staje się niewyczerpanem, z coraz większą siłą bijącem źródłem wiedzy i nauki. W pracowni instytutu i jego biurach zbierają się licznie uczeni o światowej sławy nazwiskach. Do grona urzędników Zakładu należą: August Bielowski, Karol Szajnocha, Antoni Małecki, Wojciech Kętrzyński, Władysław Wisłocki, Władysław Bełza, Aleksander Hirschberg, Bronisław Gubrynowicz i wielu, wielu innych. Sale Zakładu zapełniają stale uczeni, pracujący na polu historji, literatury, prawa czy innej gałęzi wiedzy. Znaczenie Zakładu rośnie szybko, wysuwając dzieło Ossolińskiego na jedno z najpierwszych miejsc wśród tego rodzaju instytucyj polskich, bezpośrednio po macierzy księgozbiorów narodowych Bibljotece Jagiellońskiej.

Wojna światowa przerywa normalny tok prac Ossolineum, które bierze na siebie zaszczytną rolę obrońcy zabytków narodowych, zgromadzonych we dworach i rezydencjach magnackich, rozsianych na terenie Galicji Wschodniej, Podola i Wołynia. Pracownicy Zakładu idą w ślady walczących armij, ratują od zagłady i zniszczenia zbiory i zabytki sztuki, goją zadane im rany i uwożą na zachód wszystko, co stanowiąc wprawdzie majątek prywatny, jest równocześnie własnością całego narodu.

A skoro z pożogi wojennej wynurzyła się wyśniona postać wolnej Polski, Zakład Ossolińskich rozwija wszystkie siły i zasoby, by odpowiedzieć swemu zadaniu. Wierne tradycjom Ossolineum chętnie gromadzi, konserwuje i udostępnia szerokim kołom badaczy naukowych i studjującej młodzieży wszelkie zabytki piśmiennictwa polskiego i najważniejsze przynajmniej dzieła uczonych zagranicznych, rozbudowuje bogaty dział rękopiśmienno-archiwalny, mnoży ilościowo i jakościowo zbiory muzealne i artystyczne.

Szczególnie silnie rozwinął się w okresie lat ostatnich dział wydawniczy, wysuwając się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce. Tradycje edytorskie Ossolineum są niemal tak stare jak sam Zakład. Ossoliński wyraźnie zaznaczył w akcie fundacyjnym, że pragnie, aby powołana przez niego do życia instytucja posiadała własną drukarnię, oraz wydawała czasopismo naukowe i ważniejsze dzieła myśli polskiej. To też już pierwszy dyrektor Zakładu ks. kanonik Franciszek Siarczyński rozpoczął wydawnictwo pisma historyczno-literackiego, jego następca Konstanty Słotwiński doprowadził do otwarcia własnej drukarni i litografji, a dalsi kierownicy nawy zakładowej coraz rozszerzali dział wydawniczy, nie przekraczając jednak ram publikacyj ściśle naukowych. Specjalny dział stanowiło przez długie lata „C. k. wydawnictwo książek szkolnych", które umieszczone przy Ossolineum, drukowało polskie podręczniki dla szkół powszechnych na terytorjum Galicji. Kierownictwo Zakładu nie miało jednak wpływu na układ i treść czytanek szkolnych, zajmowało się jedynie ich drukiem i administracją, czerpiąc z tego źródła dochody na swe utrzymanie.

Z upadkiem Austrji przestało istnieć wspomniane wydawnictwo, a Zakład przystąpił do edycji odpowiednich podręczników dla szkół polskich. Pomni ważności swego zadania, dołożyli kierownicy działu wydawniczego wszelkich starań, by książki szkolne wychodzące pod firmą Zakładu Ossolińskich pod każdym względem odpowiedziały swemu zadaniu. Zwrócono baczną uwagę nietylko na treść dziełek, ale i na ich formę zewnętrzną, papier, druk i ilustracje. Wysiłki nie pozostały bez skutku. Dziś można stwierdzić, że książki szkolne opatrzone godłem Zakładu, wyobrażającem front kościoła-książnicy, należą bezsprzecznie do najbardziej popularnych i ulubionych zarówno przez młodzież szkolną jak i pedagogów.

Specjalizując się w dziale szkolnym, nie zapomniało Ossolineum o dziełach naukowych. Z drukarni zakładowej wychodzą nadal publikacje o wysokiej wartości naukowej i artystycznej pióra pierwszorzędnych uczonych i literatów polskich. Katalog wydawnictw Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich rozszerza się szybko, zapełniając szpalty tytułami dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i narodowej.

Obecne kierownictwo Zakładu spełnia pod każdym względem z całem poświęceniem i zrozumieniem zadanie wyznaczone mu przez fundatora. Jest nietylko skarbnicą przechowującą i udostępniającą zabytki wiedzy, nauki i sztuki, ale żywem źródłem rozszerzającem oświatę po całem rozległem państwie i daleko poza słupy graniczne, gdzie tylko biją serca polskie, gdzie tylko rozbrzmiewa mowa ojczysta.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

CHCIAŁBYM MIEĆ MAŁY SKLEPIK Z ZABAWKAMI

Chciałbym mieć mały sklepik z zabawkami
Nad jakąś rzeką i przy jakimś moście,
Przez który ludzie przechodzą codziennie,
Wracając z pracy.

Chciałbym mieć mały kramik z zabawkami
Dla starszych dzieci, którym życie smutne
I za któremi jak natrętny żebrak,
Troska się wlecze.

Nawet największy biedak lub mizerak
Mógłby do niego wstąpić po sprawunek,
Bo w moim sklepie groszby kosztowała
Każda zabawka.

Temu, kto dawno już się śmiać zapomniał,
Dałbym pajaca z tak zabawną twarzą,
Że w pustce serca znówby zatrzepotał
Motyl uśmiechu.

Dla tych, co próżno marzą o podróżach,
Miałbym okręcik z łupiny orzecha,
Który w marzeniu wiózłby ich do krain
Wysp koralowych.

Tym, którzy cierpią z miłosnej tęsknoty,
Dałbym laleczkę z lokami złotemi,
Która za każdem pociągnięciem sznurka
Powiada: Kocham!

Miałbym w swym sklepie ptaszki śpiewające,
Bąki z ukrytą w środku pozytywką,
Ażeby wlewać w serca skamieniałe
Słodycz muzyki.

A na dodatek do mojej zabawki
Dałbym każdemu flakonik z kryształu,
W który schwytałem dar najbardziej cenny:
Troszeczkę słońca.

OD REDAKCJI

PODZIĘKOWANIE.

Redakcja Sygnałów poczuwa się do obowiązku złożenia podziękowania Prezydjum Miasta Lwowa, Dyrekcji Targów Wschodnich, Dyrekcji Wydawnictw Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oraz Dyrekcji Wydawnictw Książnicy-Atlas za życzliwą pomoc w wydaniu numeru „lwowskiego" naszego pisma.

Redakcja Sygnałów

* * *

Zespół Sygnałów stanowią: Banaś Tadeusz, Baumgardten Aleksander, Blumenfeldowa Stanisława, Frantz Wiktor, Górska Halina, Kawyn Stefan, Kruczkowski Andrzej Zdzisław, Kuryluk Karol, Lewicki Bolesław Włodzimierz, Ochęduszko Jaromir, Promiński Marjan.

* * *

W SPRAWIE ZYGMUNTA NIEDŹWIECKIEGO.

Do Redaktora Sygnałów

Proszę o zamieszczenie w Sygnałach poniższej prośby:

Zbieram materjały do pracy o Zygmuncie Niedźwieckim, noweliście galicyjskim, ur. w 1865 r. w Krakowie. Wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek wiadomości o życiu i twórczości tego pisarza, proszę o łaskawe porozumienie się ze mną. Adres mój: Tadeusz Banaś, Lwów, Szeptyckich 18.

Tadeusz Banaś

* * *

Do Redaktora Sygnałów

Z dniem dzisiejszym przestaję pełnić obowiązki redaktora „Sygnałów", z zespołu „Sygnałów" występuję, w numerze „lwowskim" tego pisma udziału nie biorę.

Lwów, 21. VIII. 1934.

Tadeusz Hollender

* * *

KLISZE Z OBRAZÓW K. SICHULSKIEGO, J. W. ROSENA, ST. MATUSIAKA WYKONAŁ ZAKŁAD „ARS", SYKSTUSKA 32.

MICHAŁ JASIŃSKI

O przyszłość Lwowa

Gdy sięgniemy okiem wstecz i spojrzymy na warunki, wśród jakich rozwijało się życie gospodarcze i kulturalne Lwowa od czasu Niepodległości, to musimy dojść do smutnego wniosku, że w ostatnich latach Lwów nietylko nie idzie po linji rozwojowej, ale chyli się ku upadkowi we wszelkich niemal przejawach życia zbiorowego. Dla Lwowian, którzy znani są z gorącego przywiązania do swego rodzinnego miasta, fakt jego stałej dekadencji jest tem przykrzejszy, że chcieliby oni widzieć Lwów kroczący w blasku chwały na czele innych miast Rzeczypospolitej. Gdy się zważy, że te ambicje lokalne nietylko nie kolidują z interesem ogólnym, lecz przeciwnie leżą na linji ogólno-państwowych interesów, dążność Lwowa do podniesienia swego stanowiska powinna się spotykać z poparciem całej Rzeczypospolitej, zwłaszcza z uwagi na specyficzne warunki, wśród jakich przychodzi Lwowowi pędzić szary, codzienny żywot. Wszak interes Państwa i jego dobrobyt wymagają, by równomiernie we wszystkich ośrodkach kraju pulsowało żywo tętno życia kulturalnego i gospodarczego. Musielibyśmy bowiem uważać za wysoce szkodliwą tego rodzaju politykę, która miałaby zmierzać do podcinania sił wytwórczych poszczególnych ośrodków kraju na rzecz ośrodka centralnego. To też Lwów, uważając, że jego tendencje są najzupełniej zgodne z najżywotniejszemi interesami całego Państwa, czuje się słusznie pokrzywdzony i osamotniony, gdy

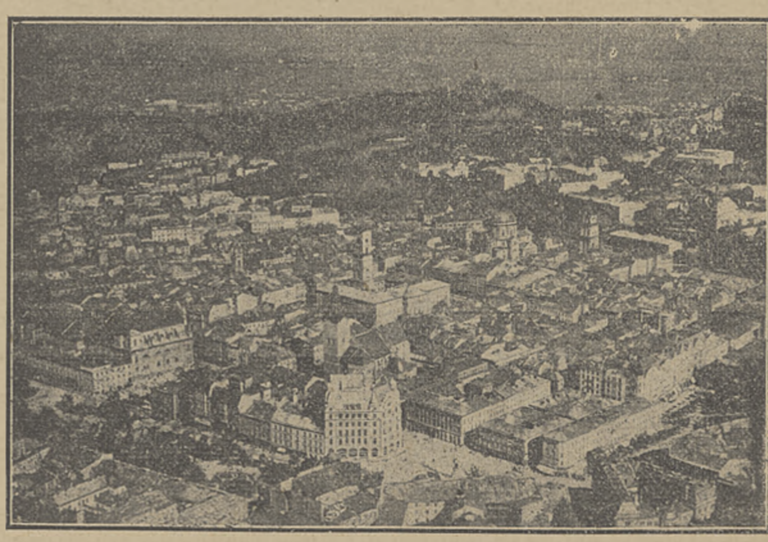


Jeden z pawilonów Targów Wschodnich.

sprawy jego nie znajdują niekiedy należytego zrozumienia. Jestto zwłaszcza tem dziwniejsze, że Lwów — jak może żadne inne miasto w Rzeczypospolitej — zdobył sobie bardzo poważny kapitał sympatji w całej Polsce. Niestety jednak kapitał ten, który powinien być gwarancją rozwoju Lwowa, uległ pewnemu „zamrożeniu", jeżeli można użyć tego wyrazu, tak często spotykanego obecnie w dyskusjach ekonomicznych. Jak wiadomo zaś kapitał „zamrożony" nie przynosi żadnych owoców, a jego ściągalność stoi pod znakiem zapytania. W rezultacie więc sympatje dla Lwowa stają się wartością czysto platoniczną, a Lwów zdany niemal wyłącznie na własne siły i pozbawiany coraz to nowych instytucyj, o ile one nie mają charakteru czysto lokalnego, musi patrzeć na stałą utratę swego znaczenia. — Jakkolwiek doświadczenie życiowe uczy, że dla osiągnięcia jakiegokolwiek celu przedewszystkiem trzeba szukać oparcia i pomocy we własnych siłach, to jednakże nie powinniśmy zapoznawać znaczenia tego kapitału sympatji, jaki nagromadził się dla Lwowa w całej Polsce, a przeciwnie dążyć przecież do jego „odmrożenia". W tym celu konieczne jest zorganizowanie stałej i konsekwentnej akcji propagandowej na rzecz Lwowa, któraby szła na całą Polskę. W tej dziedzinie stoi do spełnienia wdzięczne zadanie przed prasą lwowską. Jak już jednak wyżej wspomniałem, musimy przedewszystkiem szukać wyjścia z dzisiejszej sytuacji w oparciu o własne siły i uczynić wszystko, aby Lwów z powrotem zatętnił pełnią życia. Trzeba zatem wreszcie zdać sobie sprawę z faktu, po jakich torach ma pójść przyszła rola Lwowa. Musimy w szczególności uprzytomnić sobie, że przeszłość minęła bezpowrotnie i że opieranie roli Lwowa na jego znaczeniu z czasów zaborów nie ma żadnej racji bytu. W związku z nowym porządkiem rzeczy i utratą charakteru stolicy całej Małopolski i siedziby licznych władz, Lwów nie może z powrotem odzyskać charakteru miasta urzędniczego. — Licząc się z tem, trzeba szukać innych metod i dróg, wiodących do pomnożenia roli i znaczenia Lwowa dla Rzeczypospolitej. Wybór tej drogi został dokonany już dawniej i dziś byłoby wybijaniem otwartych drzwi, gdyby ktoś chciał dopiero obecnie tworzyć odmienny program. Chodzi jedynie o to, by w umysły ludności m. Lwowa przeniknęła głęboko świadomość jego roli na najbliższą przyszłość i by cały Lwów, jak jeden mąż, stanął do pracy dla realizacji haseł programowych.

Nie trudno domyśleć się, że mówiąc o roli Lwowa, mam na myśli jego działalność na polu gospodarczem, a zwłaszcza handlowem. Rolę tę zrozumieli doskonale ludzie, którzy w mieście naszem przed kilkunastu laty zainicjowali instytucję Międzynarodowych Targów Wschodnich, jako placówkę, która miała postawić Lwów w rzędzie miast przodujących na niwie działalności handlowej.

Jeżeli praca Lwowa pójdzie naprawdę w kierunku, który jest nakreślony obecną sytuacją i jego położeniem geograficznem, wówczas poniesione trudy i wysiłki niewątpliwie wydadzą rezultaty. Gdy zaś we Lwowie zacznie żywiej bić puls życia gospodarczego, pójdzie za tem niewątpliwie ożywienie życia kulturalnego.



Lwów z lotu ptaka.

TŁUMACZENIA aktów urzędowych, prac naukowych, korespondencji handlowej i t. d. —
wykonuje fachowo
Biuro Przysięgłego Tłumacza Sądowego
Lwów, plac Akademicki 1. — Telefon 27-70

ZAKŁAD DENTYSTYCZNY
ORAZ
PRACOWNIA ODONTOLOGICZNA
Z. L. KREMERA
Lwów, — Kochanowskiego 16
TELEFON 26-32

OSTATNIE NOWOŚCI TOW. WYD. „RÓJ“

RÓJ NOWA SERJA

Książki pełnowartościowe starannie wydane po cenie dostępnej dla wszystkich, każdy tom zł. 3.

ADAMS — Zemsta
AVDIEJENKO — Kocham
AVELINE — Podwójna śmierć Fryd. Belot
BADOWSKA — Poeta i mniszka
BOUCHET — Niesamowity lot
BUCK — Błogosławiona ziemia
CURWOOD — Dziewczyna zpoza szlaku
„ Kwiat dalekiej północy
DĄBROWOLSKA — Miłość i praca
DRZEWIECKI — Kwaśniacy
DUVERNOIS — Siostry Hortensias
FRACCAROLI — Raj dziewcząt
GIEŁGUD — Stara szabla
GOJAWICZYŃSKA — Ziemia Elżbiety
GOLDING — Ulica Magnoljowa (2 tomy)
GRABSKI — Bracia
GRABOWSKA — Żółty dom
GUL — Czerwoni dowódcy
GUSTHAL — Bohaterowie bez chwały
HALICZ — Ludzie którzy jeszcze żyją
HUGHES — Orkan na Jamaice
KATAJEW — Naprzód czasie
KRAGEN — Dymy nad Azją
KRZYWICKA — Sąd idzie
LEPECKI — Sybir bez przekleństw
LOCKE — Dziki Amos
„ Septimus
„ Chwalcy bałwanów
„ Wielki Pandolfo
ŁOPALEWSKI — Prowincjusze
MANSFIELD — Listy (2 tomy)
MELCER — Swastyka i dziecko
— Kochanek zamordowanych dziewcząt
MEISSNER — Latający djabeł
MILLER — Fikcyjna postać
MORRISON — Piękne dziewczę z Taorminy
NEUMANN — Potęga
NICHOLS — Dzwon na trwogę
NOWACZYŃSKI — Tylko dla kobiet
NOWIKOW-PRIBOJ — Cuszima
PIASECKI — Prosto z mostu
PRZEDMIEŚCIE — (tom zbiorowy)
ROHMER — Zielone oczy.
ROTH — Marsz Radetzky'ego (2 tomy)
RUBINSTEIN — Szlak Samurajów
SINCLAIR — Sylwja
SINGER — Josie Kalb
SOBAŃSKI — Cywil w Berlinie
SZOŁOCHOW — Zorany ugór (2 tomy)
„ Cichy Don (3 tomy)
SZPYRKÓWNA — Karjera Haneczki
WALPOLE — Ciemny las
WASILEWSKA — Oblicze dnia
WAST — Ukryte źródło
WIESOŁYJ — Rosja krwią zmyta (2 tomy)
ZAREMBINA-SZELBURG — Krzyże z papieru
ZWEIG ST. — Amok

ROSJA SOWIECKA

w powieści i reportażu

Nowy cykl Roju podejmuje między innemi zadanie zapoznania polskiego czytelnika w sposób planowy i przemyślany z literaturą największego naszego sąsiada — Rosji Sowieckiej.

Na czele tego nowego cyklu idzie **Michał Szołochow**, najwybitniejsza bezwzględnie umysłowość nowej literatury rosyjskiej. Jego epopeja „Cichy Don“, napisana z niezwykłym rozmachem i nieporównaną siłą, sięga do czasów wojny domowej i pierwszego okresu t. zw. wojennego komunizmu. Wspaniałe obrazy walk „białych“ kozaków z armją rewolucyjną i teroru szalejącego we wszystkich ogniskach walki w Rosji owczesnej odmalowane są w „Cichym Donie“ ze zdumiewającą plastyką i niezawodnem wyczuciem tragicznego umiaru.

Po tej perspektywie historycznej, jaką znajdujemy w „Cichym Donie“, druga powieść Szołochowa, „Zorany ugór“, przedstawia życie kozackiego chutoru w przekroju współczesnym, w związku z najaktualniejszym problemem sowieckim, z problemem od którego zawisły niemal nietylko losy Rosji, lecz i całego świata — kolektywizacja wsi.

Okres wojennego komunizmu maluje również w znakomitej powieści **Artiem Wiesołyj: „Rosja krwią zmyta“**. Powieść ta nie ma może tej siły skupionego napięcia tragicznego, jakiem uderza „Cichy Don“; obejmuje za to znacznie szersze horyzonty, dając lepszą perspektywę wszystkich terenów walki i obu stron dziejowej barykady. Dalej jeszcze wstecz sięga **„Cuszima“ Nowikowa Priboja**, opisując dzieje wojny rosyjsko-japońskiej i historycznej bitwy pod Cuszimą. Dziś dopiero, po ostatecznym upadku caratu, ocenić można rozmiary tej klęski, jaką poniosła wówczas już nie flota rosyjska, lecz sama Rosja carska, sam jej ustrój i siła.

Odmienny odcinek walki, a przecie równie ważny i równie fascynujący żyje w powieści **Katajewa „Naprzód czasie“**: to świat pełen szczęku maszyn, huku wielkich pieców, łoskotu dynamitem rozwalanych gór, i cichego pogwaru potężnych stacyj elektrycznych, — świat Magnitogorska i powstającej Rosji przemysłowej. Uzupełnia ten obraz niezwykle ciekawy reportaż **Wandy Kragen** o Kuznieckostroju, p. t. **„Dymy nad Azją“**.

Do Azji prowadzi też podróż kapitana **M. B. Lepeckiego**. Obraz Rosji Sowieckiej, zaczęty od stepów nad Donem, rozrastający się centrami okręgów przemysłowych, w książce Lepeckiego **„Sybir bez przekleństw“** sięga już tajg i tundr Syberji, szlakiem wędrówki Józefa Piłsudskiego przemierza nieobjęte przestrzenie Rosji Azjatyckiej, nawiązując kontakt z ostatnimi mohikanami polskiej emigracji przymusowej „na osiedlenie“. A wreszcie do najdalszych kresów tej drogi prowadzi nas **Rubinstein** w swym **„Szlaku Samurajów“**, przekraczając granicę Rosji Azjatyckiej i ponad kotłem chińskim ukazując obraz współczesnej Japonji.

Od zachodu na wschód Z. S. S. R., od problemów zewnętrznych do najistotniejszych zagadnień wewnętrznych, od aktualnego reportażu do czołowej powieści sowieckiej — oto materjał zawarty w książkach nowego cyklu Roju. Spojrzenie zaś syntetyczne daje tom **Melchjora Wańkowicza** p. t. **„Opierzona rewolucja“**: jest to jakby prolog i epilog cyklu. cyklu.

NAJNOWSZE DZIEŁA POLSKICH PISARZY

P. GOJAWICZYŃSKA

Ziemia Elżbiety

Na wielką miarę zakrojony epos ziemi śląskiej, — „Ziemia Elżbiety“ — wysuwa się na naczelne miejsce współczesnej polskiej literatury. Znakomita faktura powieści, nieporównany język, odkrywający przed czytelnikiem niespodziewane skarby mowy, czarujący, pełen prostoty i nieodpartego wdzięku, a zawsze rzetelny i poważny rysunek wielkiej galerji postaci, zawsze trafny, oszczędny w słowach, a przecież pełny i tętniący życiem opis — wszystko to sprawia, iż powieść ta wysuwa się daleko poza regjonalne ramy ziemi, którą opisuje, stając w rzędzie ogólnoludzkich tworów ducha.

E. SZELBURG-ZAREMBINA

Krzyże z papieru

„Krzyże z papieru“ — to książka o pełnem, czystem i jednolitem artystycznem brzmieniu. W szeregu obrazów, sięgających do najrozmaitszych środowisk i najbardziej różnorodnych problematów, autorka wytrwale i odważnie dąży do wyłuskania ich wewnętrznej prawdy. Światopogląd jej, zawsze mocny i jasny, pozwala z jednaką wnikliwością wdzierać się w dusze nędzarzy, rzemieślników, dzieci, a wysokie poczucie dramatyzmu sprawia, iż w tych krótkich nieraz i zwartych obrazkach zamyka się wielkie bogactwo myśli.

W. KRAGEN

Dymy nad Azją

Jest to pierwszy w Polsce i jeden z niewielu w literaturze światowej kobiecych reportaży o współczesnej Rosji. Jak potrzebne było, — wśród mnóstwa reportaży publicystów, ekonomistów i literatów — takie świadectwo, tego najlepszym, najwymowniejszym dowodem jest właśnie ta książka. Jakkolwiek jej autorka dotarła aż do okręgów przemysłowych Kuznieckostroju, jakkolwiek i ona poświęca wiele uwagi zagadnieniom ekonomicznym, — przecież widzi i mnóstwo innych spraw, niewidocznych naogół dla mężczyzny. To przydaje reportażowi pani Kragen wartości zgoła wyjątkowej.

M. B. LEPECKI

Sybir bez przekleństw

Najnowsza książka kpt. Lepeckiego, adjutanta Marszałka Piłsudskiego i jednego z najwybitniejszych pisarzy polskiej literatury podróżniczej, daje obraz obecnego, porewolucyjnego wyglądu tych szlaków, które kiedyś przemierzały stopy polskich zesłańców. Idąc śladem wędrówki, jaką niegdyś odbył w tym kraju Piłsudski, dociera autor do najdalszych krańców Syberji, odnajduje ostatnich żyjących jeszcze zesłańców polskich i daje w istocie rzetelny, bezstronny i prawdziwy obraz tej ziemi, o której dotychczas mówiliśmy jedynie z przekleństwem na ustach.

LITERATURA ŚWIATOWA

Nowość! **Przeciw jutrzejszej wojnie!**

BEVERLEY NICHOLS

Dzwon na trwogę

Wypadki dnia wczorajszego w Austrji i mobilizacja czterech roczników włoskich, wciąż ponawiający się konflikt japońsko-sowiecki na Dalekim Wschodzie, nieustający ferment w „Trzeciej Rzeszy“, gorączkowe pertraktacje dyplomatów całego świata, — wszystko to budzi coraz większy niepokój szerokich rzesz, obawiających się nowej międzynarodowej rzezi. Nichols nie należy do plejady „pisarzy wojennych“, którzy wzrośli w okopach wojny europejskiej; ale jego „Dzwon na trwogę“, otwierający się listem do H. G. Wellsa, — jest wielkim i potężnym głosem współczesnego pacyfizmu. Demaskuje on przygotowania wojenne wielkich mocarstw, odsłania kulisy machinacyj dyplomatycznych i niejako zgóry już ustala odpowiedzialność za przyszłą wojnę, jaka zawiśnie nad ludami.

Przeczytanie tej książki jest obowiązkiem każdego kulturalnego człowieka.

K. MANSFIELD

Listy I/II

Katarzyna Mansfield, wybitna nowelistka angielska, która w czasie wojny, złamana chorobą, znlazła się we Francji, nie pisała tych listów z myślą o ich opublikowaniu. Są to jej listy do męża i do kilku najbliższych przyjaciół, — listy o małych, codziennych przeżyciach człowieka chorego i o największych, historycznych sprawach rozgrywających się „za oknem“. Nieodparty urok tych listów, ich subtelny humor, głębia liryzmu i najwyższy poziom artystyczny sprawiają, iż spoza nich wyłania się piękna, smutna i wspaniała zarazem postać człowieka.

S. ZWEIG

Amok

Dla znawców i wielbicieli talentu Stefana Zweiga „Amok“ będzie prawdziwą ucztą, dla tych, którzy go nie znają — nieodpartą rewelacją.

I. SINGER

Josie Kalb

Środowisko, w którem rozgrywa się dramat Josie Kalba — to dwór rabina w małem miasteczku galicyjskiem. Pierwszy to w literaturze polskiej obraz wnętrza takiego dworu; obraz odważny, nieukrywający jego ciemnych plam, a przytem objektywny i nierzadko piękny. Pośród hałaśliwych komnat tego „dworu“ snuje się tragiczna, niezrozumiana i wyklęta postać rabinowego syna, — Josie Kalba, — który ściągnął na siebie klątwę grzesznej miłości. Książka I. Singera — to nietylko dokument odwagi i znajomości środowiska; to przedewszystkiem znakomita w napięciu dramatycznem, bogata i rewelacyjna w oświetleniu psychologicznem powieść.

P. BUCK

Błogosławiona ziemia

Najdziwniejszy, nieomal fantastyczny życiorys P. Buck niewątpliwie wyrył swe piętno na tej dziwnej, pięknej i niepokojącej książce. Opowiada ona o życiu chłopów chińskich, o ich walce i przywiązaniu do ziemi; są to jakgdyby „Chłopi“ Reymonta z ziemi chińskiej. To też śmiało nazwać można „Błogosławioną ziemię“ epopeją prawdziwych Chin.

S. ZWEIG

Strach

Znakomity znawca podświadomych stanów duszy daje w tym tomie pełne i nieporównane studjum ludzkich namiętności. Jest to jedna z tych twórczych książek, które torują drogę przyszłym uczonym — psychologom; odkrywa ona bowiem takie głębie ludzkiej duszy, do jakich dotychczas nie dotarł nikt.

J. ROTH

Marsz Radetzky'ego

Wojna europejska zmiażdżyła i cisnęła w odmęt niesławnej niepamięci ten dziwny twór, jaki zwał się niegdyś monarchją Austro-węgierską. Dziś ten tak niedawny, a tak przecież odległy świat żyje już tylko w literaturze, — w niezapomnianym „Szwejku“, a nadewszystko w książkach Józefa Rotha. „Marsz Radetzky'ego“ — to znów ten dawny, przedwojenny, wspaniały i śmieszny zarazem Wiedeń, któremu danem było raz jeszcze odżyć pod dotknięciem czarodziejskiego pióra Rotha.

WSZYSTKIE POWYŻSZE DZIEŁA SĄ DO NABYCIA W KAŻDEJ KSIĘGARNI W CENIE ZŁ. 3·— ZA TOM

Żądajcie bezpłatnych prospektów! — TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“ — Warszawa, Kredytowa 1.

KONTO P. K. O. 9880.

M. WAŃKOWICZ — **W DRUKU**

Szczenięce lata
Ze znakomitą swadą i humorem opowiedziane wspomnienia młodości.

Opiekowa rewolucja
Najnowszy reportaż z Sowietów

Najpoczytniejsze Dzienniki
Małopolski i Kresów Wsch.

Najskuteczniejsza
Siła Reklamowa!

WIEK NOWY

ILUSTROWANY
EXPRESS
WIECZORNY

SYGNAŁY

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

reprezentują młodą polską twórczość literacką

zajmują się współczesnemi prądami ideowemi, naukowemi i społecznemi

posiadają stałe kolumny: nauki, sztuk plastycznych, spraw ukraińskich i żydowskich

Adres redakcji i administracji:
Lwów, Krasickich 18a, tel. 29-19
Prenumerata roczna 6 Zł.
Konto P. K. O. 503.400 —

Drukarnia Polska

(B. WYSŁOUCHA)
Lwów, Krasickich 18a
TELEFON 29-19 — TELEFON 29-19

WYKONUJE
WSZELKIE DRUKI

Specjalność: **czasopisma książki, broszury.**

Ceny konkurencyjne.

KSIĄŻNICA-ATLAS S. A.

LWÓW, Czarnieckiego 12. — WARSZAWA, Nowy Świat 59.

ST. BARABASZ: Sztuka ludowa na Podhalu
Cz. I i II. Spisz i Orawa 44 tabl. z rys. piórk. 8·—
Cz. III. Witów. 38 tabl. z rys. piórk. i fotogr. 16·—
Cz. IV. Dębno. 40 tabl. z fot. i ilutr. barwnemi 20·—

I. CHRZANOWSKI: Marcin Bielski. Monografia literacka . . . . . 12·—

A. FISCHER: Etnografja słowiańska
Zesz. I. Połabianie . . . . . 2·40
Zesz. II. Łużyczanie . . . . . 4·80
Zesz. III. Polacy . . . . . 7·20

H. GAERTNER: Gramatyka współczesnego języka polskiego
Cz. I. Głosownia . . . . . 4·—
Cz. II Właściwości semantyczne morfematów. Kategorje wyrazów . . . . . 4·—
Cz. III. Słowotwórstwo . . . . . —·—
Cz. IV. Fleksja . . . . . —·—
Cz. V. Składnia . . . . . —·—

J. KOCHANOWSKI: Satyr. Facsimile pierwodruku . 5·—
" Zgoda. Facsimile pierwodruku . 4·—

T. LEHR-SPŁOWIŃSKI: Zarys gramatyki języka staro-cerkiewnego-słowiańskiego. Wyd. II. . . . . . 3·—

St. MIERCZYŃSKI: Muzyka Podhala. Melodje góralskie. Z ilustracjami barwnemi Z. Stryjeńskiej . 50·—

K. WOJCIECHOWSKI: Dzieje literatury polskiej. Brosz. 12·—
płótno 15·—
" Henryk Sienkiewicz . . . . . 2·40
" Uwagi wstępne do badań nad nowszą literaturą polską . . . . 1·50
" Przewrót w umysłowości polskiej po r. 1863 . . . . . 7·60

Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury

ŚWIAT I ŻYCIE

Red. nacz. dr. ZYGMUNT ŁEMPICKI

Prenumerata miesięczna zł. 4·80, — półroczna zł. 23·30, — roczna zł. 45·15.

Prospekty na żądanie bezpłatnie.

GALICJA
DROHOBYCZ

CENTRALA HANDLOWA
LWÓW
KOŚCIUSZKI 8. TEL. 99-80/85

Rafinerja: DROHOBYCZ
Kopalnie: BORYSŁAW

poleca:

WSZELKIE PRODUKTY NAFTOWE
oraz WYROBY SPECJALNE: OLEJE
I SMARY SAMOCHODOWE — — **„GALTOL“**
ASFALTY DROGOWE: **„MOLFALT“** i **„GALBIT“**
MATERJAŁY IZOLACYJNE-BUDOWL.
WODOCHRON i SZCZELNIT — — —
WAZELINA TECHNICZNA oraz FARMAUCEUTYCZNA
PREPARAT do NAWANIANIA GAZÓW — **„DETEKTOL“**
ROZMAITE PREPARATY SADOWNICZE
PREPARAT do TĘPIENIA OWADÓW **„POLTOX“**
WOSKI SPECJALNE — WOSK do NART
„TELEMARK“ — OLEJE GARBARSKIE
i wiele innych preparatów.

Szczegółowe prospekty na żądanie.

Oddziały i składy w całym kraju.

FABRYKA FARB I LAKIERÓW
HENRYKA BLUMENFELDA
LWÓW, UL. JAKÓBA HERMANA L. 31 — TEL. 10-83.

poleca wszelkiego rodzaju lakiery w najwyższych gatunkach:

I. Lakiery i emalje nitrocelulozowe niedoścignionej marki „OXYLIN“.

II. Lakiery i emalje olejne do malowania drzwi, okien oraz mebli drewnianych i koszykowych.

III. Lakiery dla przemysłu, izolacyjne, do robót piecowych, kwaso i sodoodporne oraz wytrzymałe na wysoką temperaturę.

„KARPATY“
Sprzedaż Produktów Naftowych
Spółka z ogr. por.
Organizacja Krajowej Sprzedaży Koncernu Naftowego
„MAŁOPOLSKA“

POLECA:

Benzynę lotniczą, samochodową, traktorową,
Naftę rafinowaną: zwykłą, silnopłomienną, przemysłową
Oleje maszynowe, samochodowe, cylindrowe,
Smary maszynowe, do wozów i trybów
Asfalty drogowe, budowlane, papowe,

oraz
Oleje i Smary Specjalne
MARKI
„GALKAR“

Centrala: Lwów, Batorego 26,
Oddziały i składy we wszystkich większych miastach Polski.

! 500 STACYJ BENZYNOWYCH W KRAJU !

PARAFFINUM LIQUIDUM „GLIMAR“
pro usu interno
odpowiada idealnie wszelkim przepisom obowiązujących w Polsce farmakopei —

OLEUM FASELINI ALBUM „GLIMAR“
bez smaku i zapachu
do celów farmaceutycznych i kosmetycznych —

Dostarczamy w balonach po 50, 25 i 10 litrów.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD HIGJENY — DZIAŁ CHEMJI
orzeczeniem Nr. 256/34 z dnia 14. III. 34 uznał, że
PARAFFINUM LIQUIDUM „GLIMAR“
pro usu interno
odpowiada przepisanym wymaganiom. —

PARAFFINUM LIQUIDUM „GLIMAR“
dostarczamy w oryginalnem opakowaniu
po 1 ltr.
po 1/2 ltr.
po 1/4 ltr.

ZASTĘPSTWA we wszystkich wojewódzkich miastach POLSKI
„GLIMAR“ Spółka z ogr. odp. Lwów, ul. Batorego 26

„GAZY ZIEMNE“
SPÓŁKA AKCYJNA
DLA PRZEMYSŁU NAFTOWEGO

CENTRALNE BIURO:
LWÓW, ul. Akademicka 7, III. p.
Telefon 2-06 i 26-95.
Rafinerja: LWÓW-ZNIESIENIE

Z najnowszych urządzeń destylacyjnych systemu amerykańskiego „FOSTER-WHEELER“ gwarantujących najprzedniejszą jakość produktów poleca:

benzyny dla celów przemysłowych i rolniczych, benzyny ekstracyjne, **naftę** świetlną, prymusową i motorową, **olej gazowy, oleje maszynowe i cylindrowe** dla pary przegrzanej i nasyconej specjalne, wulkanowe, asfalt wszelkich gradacji, **kwasy naftowe, mydła naftowe.**

Oleje samochodowe marki „FINISH-OIL“

EMULSJA BENZYNOWA patentu prof. Dra Pilata konieczna dla każdej fabryki mydła celem polepszenia ich wytworów.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO KSIĄŻEK SZKOLNYCH
WE LWOWIE, UL. KURKOWA 21

wydało swym nakładem następujące książki z zakresu Bibljoteki Życiorysów Wielkich Ludzi:

St. Wasylewski: — „Mikołaj Rej“
Boy-Żeleński: — „Balzak“
Leopold Staff: — „Michał Anioł“

SULFOCOL „LAOKOON“
leczy najpewniej kaszel, chrypkę i wszelkie choroby dróg oddechowych
CENA 1 FL. SYROPU Zł. 2·80
— Do nabycia we wszystkich aptekach —

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK
przyjmuje:
w czwartki i soboty od godziny 13 do 14-tej

Wydawca: JAROMIR OCHĘDUSZKO
Redakcja i Administracja: LWÓW, KRASICKICH 18 a
Telefon nr. 29-19

Redaktor odpow.: TADEUSZ BRATKOWSKI
CENY OGŁOSZEŃ WEDLE UMOWY

Prenumerata kwartalna: 1·50 zł, półroczna: 3·00 zł, roczna: 6·00 zł.

Prenumeratę prosimy wpłacać na nasze konto w PKO. 503.400.

Tłoczono w „Drukarni Polskiej“, Lwów, ul. Krasickich 18 a, pod zarządem Aleksandra Skrzywana.